

WACŁAW SIEROSZEWSKI



J. W. JAKUBOWSKI
BRZEŃSKO

OL-SONI KISAŃ



POWIEŚĆ



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1906



72489

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

K-52/77/78840

I. STRYJASZEK.

Żółty kolor jest kolorem dworskim. Najpiękniejszy, jaskrawo-żółty jego odcień, jako własność rodziny królewskiej, został już przed dwoma tysiącami lat surowo wzbroniony zwykłym śmiertelnikom przez monarchę Si-dzo z dynastyi Pak. Następni władcy Krainy Cichego Poranku nie omieszkali zakazu tego potwierdzić. Ale ponieważ kolor żółty posiada co najmniej tyle odmian, ile mają stopni Wielkie Schody powodzenia, może więc każdy z wędrowców ku Słońcu, nie naruszając prawa, pięści oczu swych gości miłym sercu napomknieniem... A ma ta barwa tę dziwną właściwość, że otwiera nie tylko ludzkie serca, lecz i ich kieszenie. Baczyć wszakże należy, aby nie była jota w jotę taką, jak królewska, oraz aby miejsce działalności administratora nie leżało zbyt blisko stolicy.

Powiat Ko-uōń zajmował jedną z najbardziej

zapadłych okolic gór Dyamentowych. Dlatego pewnie druga poczekalnia pana Kim-juń-sika, naczelnika powyższego powiatu, miała nietylko żółte obicia i żółte maty na podłodze, ale również żółte, płaskie poduszki do siedzenia, żółty malowany parawanik i żółtą szafę, w której szeregiem stały stare, pękate książki w niebieskich teczках chińskich.

Prócz żółtego koloru lubił Kim-juń-sik stare obyczaje i posłuszeństwo.

Właśnie znowu mówił o tem, siedząc z podwinętymi nogami na cieplej, z dołu ogrzanej podłodze swojej poczekalni. Przed nim klęczał z pochyloną głową, z rękami opartymi na ziemi, jego synowiec, młody Kim-ki. Światło dzienne, z trudnością przedzierając się przez papierowe okienka, łagodnie opływało białe fałdy i zwoje ich perkallowej odzieży domowej. Wyprostowany Kim-juń-sik wyglądał jak wspaniały stóg śniegu, uwieńczony siwobrodą głową w czarnym, przejrzystym kapeluszu a pochylony na czworakach Kim-ki w wielorogim studenckim birecie był bardzo podobny do kozła. Nieruchome postacie ich całkowicie wypełniały malutki, żółty pokój, sufit nisko zawisał nad nimi a z pod sufitu spoglądały na nich poważnie wielkie czarne hieroglify chińskiego napisu, skreślonego na długiej i szerokiej wstędze białego papieru, w szarej tekturowej ramie. Było to słynne zdanie Kon-fu-tsy:

„Człowiek wzniosły poświęca się dla dobra ludu.”

— Niedługo kończysz żałobę po ojcu. Nadchodzi czas, aby pomyśleć o przyszłości. Czy czujesz się już na siłach udać się do Seulu i zdać egzamin państwowy? — mówił wolno i z przestankami Kim-juń-sik. — Gotów ci jestem dopomóc, gdyż widziałem, że uczyłeś się pilnie. Wiedza i cnota są ozdobami człowieka, ale wymagają oprawy, jak szkła okularów. Dam ci list do naczelnika naszego rodu, do samego Kim-okkiuma. Jest wielkim panem, szafarzem skarbu królewskiego. Skoro mu się spodobaś, uczyni cię, czem zechce. Ale pamiętaj, że na wysoką górę liczne wiodą stopnie i, aby uniknąć upadku, nie należy pomijać żadnego. Bądź uważny, grzeczny, nie pozwalaj się unosić nigdy namiętnościom, nie używaj nigdy brzydkich, ostrych wyrazów i nie postępuj porywczo... Sądź o wszystkim z wysokości Nieba i Ziemi i rozważ, o ile ucierpiałoby one, gdybyś nie osiągnął zamierzonego celu przez nierozwagę. Staraj się przede wszystkim o wewnętrzne udoskonalenie i zgodę swych postępów z przekonaniem. Umiejętnie wybieraj sobie towarzyszy, miłuj cnotę a gardź występkiem. Przede wszystkim zaś czeć starszych, słuchaj przełożonych, staraj się pozyskać ludzkie serca skromnością i małomównością.. Lepsza chwila miłezania, niż godzina mowy...

Kim-ki poruszył się z lekka, słuchał już dość

długo, pot wystąpił mu na czoło a co gorsza, rogaty beret zsunał się cokolwiek z czubka głowy i groził spełnieniem na bok, rozwiązując po drodze wspaniały kok, dumę wszelkiego, szanującego się, żonatego mężczyzny. Wiedział wszakże, że stryj posiada nieprzebrane zapasy mądrości, więc skorzystał natychmiast z jego rady, powściągnął swoje namiętności i nieznacznym ruchem głowy postarał się przywrócić równowagę swemu beretowi.

— Jesteś szlachecciem i musisz pozyskać urząd. Choć słyszałem, że z woli naszego Najmiłościvszego Monarchy mają zostać zrównane obecnie wszystkie stany, ale posada rządowa zawsze pozostanie dla szlacheica kwiatem życia, owocem drzewa... Zresztą cóżbyś robił innego? Gospodarować na wsi nie umiesz i nie masz na to pieniędzy! Handel wymaga większych jeszcze środków i nieodpowiedni jest dla osób twego pochodzenia... Masz obowiązki względem twego rodu!... Los rzemieślnika lub drobnego rolnika godny jest pożałowania! Cóż więc poczniesz, skoro nie dostaniesz urzędu?

Nastąpiła dłuższa przerwa, podczas której Kim-juń-sik ssał zaciekle metalowy cybuszek swej fajeczki i przyglądał się z pod oka pochylonej pokornie głowie siostrzeńca. Przegląd wypadł pomyślnie, lekki uśmiech przewiniął się mu po ukrytych pod wąsami ustach.

— Zostało ci trochę ojcowizny, masz ziemię... ale dzierżawcy obecnie płacą jedynie tym, którzy są w stanie do tego ich zmusić... Płacą sianem, sałatą, rzodkwią, włóknom pokrzywy, bawełną... Tak było od wieków i będzie zawsze, gdyż lud nigdy nie będzie miał pieniędzy. Co poczniesz gdy będziesz stąd daleko, albo gdy mnie stąd przeniosą na inne miejsce? Kto zajmie się odbiorem i sprzedażą należnych ci zbiorów? Przyszło mi do głowy, iż najlepiej, abys ziemię sprzedał.

Kim-ki podniósł głowę i usiadł.

— Dużo nie dostaniesz, ale nawet nieduża suma gotówki może ci zapewnić powodzenie!... — ciągnął stryjasek, nie spuszczać zeń oka.

Rzęsy chłopaka zadrgały, ale obyczaj nakazywał mu milczenie.

— Jako opiekun twój i najbliższy krewny mógłbym rozporządzić się twoim majątkiem zgoła bez twojej zgody, wiesz o tem dobrze... Jeżeli nie czynię tego, winienesz rozumieć pobudki, płynące z mego dobrego serca, łagodnego usposobienia i pojęcia sprawiedliwości... Cóż mi na to odpowiesz?

— Cokolwiek uczynisz, wiem, że uczynisz dla mego dobra!

Kim-juń-sik ujął w palce prawej ręki koniec brody i odchrząknął.

— A więc zgadzasz się?!... Chodzi obecnie

o kupca... Trudno, bardzo trudno znaleźć gotówkę... A potrzebujesz przede wszystkim pieniędzy. Za obietnicę nie najmiesz nauczycieli, nie kupisz na kredyt urzędu. Komu więc możnaby ofiarować twą ziemię? Może masz już kogo upatrzonego?... Doprawdy tracę głowę!... Stary Pak-sen właśnie nabył niedawno spory działek roli i wydał pewnie, co miał. Niu-san obieca góry srebra, ale nie dotrzyma... Moznaby w Towarzystwie pożyczkowym wziąć na zastaw małą sumkę, ale... miałbyś wciąż kłopot z dzierżawcami... Troska przeszkadzałaby ci w naukach... Nie wiem doprawdy, co zrobić z twoim majątkiem!

Kim-juń-sik umilkł i wyczekująco spojrział na siostrzeńca, ale ten niczego się nie domyślał i milczał pokornie.

— Widzisz, ta ziemia jest właściwie naszą ziemią — zaczął naówczas z pewnem rozdrażnieniem. — Należy do rodu naszego z tej samej zasady, z jakiej ty jesteś moim synowcem. Ojciec twój odziedziczył ją po przodkach, a chociaż dużo następnie dokupił, zrobił to jedynie dlatego, że miał już dziedzictwo i że miał poparcie rodu. Gdyby go nie miał, ziemiby nie nabywał, rzecz prosta... Wistocie więc początek twej własności pochodzi od przodków, od dziada, który pierwaj był moim ojcem, niż twoim dziadem.. Przed twem urodzeniem się należała ona do mnie i w razie twej śmierci wróciłaby do mnie... Do-

póki nie masz syna, jest ona moją własnością... Ale nie bój się, zapłacę ci! Przecie jesteś moim synowcem... Dam ci...

Nałożył fajeczkę tytoniem i łaskawie podsunął Kim-ki swój jasno-zielony kapciuch. Czas jakiś palili obaj w głębokim milczeniu.

— Musisz przyzwicie wystąpić w Seulu, ofiarować ładny podarunek Kim-ok-kiumowi, opłacić egzaminatorów, patent, musisz dać podarunki urzędnikom w ministerjum, gdzie będziesz się starał o miejsce... Musisz drogę odbyć konno i stanąć w stolicy w przyzwoitym hotelu, gdyż inaczej wszystko ci pójdzie o wiele trudniej. Wiesz co, niech stracę, ale dam ci pięć tysięcy srebrnych jenów japońskich, gdyż mniej nie wystarczy ci...

Kim-ki nie odrzekł, ale żał mu nagle ścisnął serce. Ee...e Więc to zaraz, za chwilę ma się wyrzec starego domu na wzgórku pod olbrzymimi kasztanami, rzeczki bulkokącej nieopodal w głębokim jarze, omszałej, dobrze znanej ryżowej tłuczki pod słomianą strzechą, cmentarzyska ojców, dokąd rodzina cała urządzała sobie wesole wycieczki... A Sim-czen?... Co się z nią stanie?

— A Sim-czen? — spytał nieśmiało.

— Co? Sim-czen?!... Sim-czen zostanie dalej u swego ojca! Przecież żaloba nie skończyła się jeszcze, więc nie weźmiesz jej z sobą. Zresztą w stolicy trudno dać sobie radę z młodą żoną...

Tysiące pokus!... W ostateczności Sim-czen będzie mogła zamieszkać u mnie, dopóki nie pozyskasz odpowiedniego twemu urodzeniu urzędu...

Twarz starego dziada zwolna czerwieniała, gdy mówił o młodej kobiecie, w oczach latały mu niespokojne ogniki, ale Kim-ki nie zauważył tego; myślał już błdził gdzieindziej, był w Seulu, zdawał egzamin, zdobywał urząd i wprowadzał wesolą, różową Sim-czen do własnego gniazda, do małych, ciepłych pokoików, wyklejonych jasnym obiciem...

— Dodam ci jeszcze 500 jenów! — bąknął wspaniałomyślnie stryj, zupełnie opacznie tłómacząc sobie zamyślenie synowca. — Razem pięć tysięcy pięćset jen... Przecież nie powiesz, że to mało!

— Nie, stryju, zapewne, że wystarczy! — odrzekł zupełnie szczerze.

Kim-juń-sik wytrzymał starannie popiół z fajeczki i ściągnął sznureczki kapeciucha, co znaczyło, że posiedzenie na teraz skończone.

Kim-ki z uczuciem ulgi wymknął się z dusznej komnaty, poczem w ustronnym kąci podwórza, za pomocą deski rachunkowej zamienił jeny japońskie na jany i phuny korejskie.

— Dwadzieścia pięć tysięcy janów, całe dwa many (miliony) pięćset tysięcy phunów. Jeżeli codzień wydam nawet 350 phunów, to mi starczy na dwadzieścia lat! Ale na co mogę wydać 350

phunów dziennie? Wydam o wiele mniej i zrobię nawet oszczędności; zato dobrze zapłacę za mieszecę, nie pożałuję... kupię sobie odrazu wysoki urząd, znaczne dochody i zabiorę niezwłocznie Sim-czen... Zle jej tu będzie u starego!... Skąpy stary i chociaż szczególnie ją lubi i wyróżnia, będzie zawsze wołała być panią u siebie w swoim domu... Czy to mieliśmy czas się z sobą nacieszyć, wciąż żałoba i żałoba: wkrótce po ślubie umarła jej matka a rychło potem mój ojciec... Rozłączono nas... Tyłem ją miał, co nie!

Z młodzieńczą pożądlivością rozmyślał o piękności swej żony i postanawiał jak najrychlej zdobyć sobie byt niezależny.

II. RUDY PIES.

Cały czas do samego odjazdu stryj był dla niego niezmiernie dobry. Dodawał mu otuchy, radził, aby nie odwiedzał teraz żony i nie roztkliwiał się daremnie i podarował mu starego Chakki, niewolnika, którego był nabył wraz z gospodarstwem a który należał od niepamiętnych czasów do rodziny Kimów i młodego Kim-ki wypiastował na ręku. Wprawdzie sługus był już bardzo stary, w polu pracować nie mógł, lecz zato i jadł niewiele, gdyż miał popróchniałe zęby. Pamiętał on dobre czasy Kimów i młodość spędził w stolicy, więc przedstawiał znaczną wartość dla młodzieńca, jako doradca i orędownik. Wiedział, jak powinien zachowywać się sługa możnych ludzi i co podtrzymuje blask rodu. Za ten podarunek Kim-ki poczuł dla stryja nieklamana wdzięczność. Rozstał się ze swym opiekunem i całą jego rodziną bardzo czule. Chakki również był

zadowolony ze zmiany pana i nadziei odwiedzenia raz jeszcze przed śmiercią Wielkiego Miasta.

W pieczołowitości swej, z obawy przed rozbójnikami, stryj dał Kim-ki'owi tylko część pieniędzy do ręki a resztę miał wypłacić mu w Seulu Kim-ok-kium zgodnie z prośbą zawartą w liście. Droga do stolicy biegła wprost na południe wzdłuż brzegów morza. Miejscami, z siodeł przełęczy podróżnicy dostrzegali na wschodzie olbrzymią szmaragdową, kołyszącą się wodną równinę, roztapiającą się w blaskach słońca i błękitach nieba. Słowny jej oddech i szum fal opadających na brzegi czuć było i słyszeć nieustannie nawet w wąskich dolinach, wypełnionych polami ryżowemi, ubogiemi wioskami i czarnymi skibami, wpelzającymi wysoko na strome zbocza.

Kim-ki słuchał z rozkoszą tych znanych mu od kołyski szmerów i myślał, że wkrótce zawróci w głąb lądu i pożegna się z nimi na długo, psuła mu radość młodości, po raz pierwszy wyruszającej samodzielnie w szeroki, nieznany świat. Długie smutki nie leżały wszakże w jego naturze.

Zwycięska, rozwichrzona wiosna drąc i zrzucając resztę szat zimowych, leciała nad ziemią. Śniegi pozostały jedynie na szczytach gór. Doliny zieleniały, oziminy w wielu miejscach już zwijały się w dutkę, pęki kwiatów — żółtych, czerwonych, fioletowych, białych — niby języki podziemnych ognia, tryskały z przydrożnej mu-

rawy. Ciemne gaje sosnowe połyskiwały młodą śniedzią pędów smolistych. Konary ogromnych kasztanów, opływające dymem różowego kwiecia, zionęły zapach słodki, mocny, niby wielkie kadzielnice ziemi. Stałowe gałązki drobno-luszczytych ilm obrastały blado-zielonym puchem. Błękitny blask, bijący od nieprzejrzanego pola ryżowych, zalanych wodą, rozświetlał niebo, ziemię, powietrze i gaje, topiąc kolorowe plamy chmur szarych, niebosiężnych wiszarów, kępy drzew, zieleń rozłogów i bukiety kwiatów w powodzi jasnej i lśniącej poświaty. Wielkie, czerwonozielone klony gorzały wśród blado-zielonych lasów, jak ogromne ogniska. Z dziobów skał, niby z nachylonych dzbanów lały się zimne, kryształowe potoki pieniących się wód i ginęły rozbite w tęczowych mgłach przepaści. Srebrne węże rzeczulek i niezliczonych kanałów sunęły z szelestem w łożyskach.

Wśród wód, wśród pól majaczyły ogromne kapelusze, pochylone, brązowe plecy pracujących półnagich wieśniaków lub kołysały się nisko nad zagonami jaskrawe chusty i kaftany ich żon i córek. Po drogach i ścieżynach ciągnęły sznury przechodniów w białych powłóczystych szatach i czarnych, przejrzystych cylindrach. Skrzypiały nieliczne wozy, szły rządy objuczonych wołów i koni.

Zbliżali się do Uon-sana, miasta otwartego

dla handlu z cudzoziemcami. Kim-ki pilnie się rozglądał i wytrzeszczał oczy, spodziewając się co chwila zobaczyć »zamorskiego dyabła«. Jechał konno, jak przystało na szlachcica a przodem szedł wierny Chakki.

— Słuchaj, Chakki, czy to nie oni, ci z prawej strony drogi w opiętych ubraniach?

— Nie, panie, to są japońscy żołnierze. Oni też chodzą kuso... — odpowiadał niewolnik, przyjrawszy się przechodniom z pod dłoni.

— Kiedyż ich zobaczymy?

— Kto szybko je, ten się dławi. Zejdź, dziecko, z konia i daj sobie i zwierzęciu wypocząć!... Widzisz jak się zdyszał... A Chakki nic... O, Chakki dobre jeszcze ma nogi... Chakki jeszcze się przyda... Zobaczysz, panie, iż nie będziesz żałował, że wziąłeś starego sługę...

— O, Chakki, jak możesz o tem mówić?!... Przecie po ojcu i matce ciebie najczęściej widziałem obok siebie...

— Byłeś zawsze nieposłuszny i porywczy, ale miałeś dobre serce... Widzisz tę górę u drogi z obnażonym bokiem? W jej szparze za czasów Korio żyła pół-stonoga, pół-kobieta. Co rok mieszkańcy okoliczni składali jej w ofierze młodą dziewczynę. Dziewczyna znikwała bez śladu, poczem na kraj spływało wielkie powodzenie. Gdy zabroniono obyczaju, lud pograżył się w nędzy...

— I nie wstyd ci, Chakki?! Czyżbyś istotnie

chciał, aby i teraz zabijano młode dziewczęta? Pozostaw ich lepiej nam... Niech żyją dla radości i kochania...

Gawędzili, siedząc z fajeczkami na brzegu gościńca, koń puszczone na długiej tręzli, skubał sobie trawę.

— Ty, nęg-kam (młody panie), słyszałem, że sprzyjasz nowym poglądom... Sam byłem niegdyś taki, marzyłem o zniesieniu niewolnictwa. Uciekłem z burzycielami w góry... Twój dziad uśmiechał w naszej okolicy powstanie, schwycił mnie wraz z innymi, ale ulitował się nad młodością i głupotą moją, kazał mi tylko obciąć ucho i darował mi życie... Odtąd poczułem głęboką mądrość Pana Niebios, który stworzył jan-baniów (szlachtę) i niewolników, panów i sługi... Nakreślił po wsze wieki w księdze przeznaczeń, aby służyli sobie... Zestarzałem się w rodzinie twojej... Ojciec twój był mi jako syn a ty jesteś jako wnuk... Swoich nie miałem...

Starzec umilkł i w zamyśleniu patrzył szklistym wzrokiem na wijącą się daleko wstęgę drogi, po której szli. Kim-ki siedział bokiem na koniu i kiwał się do taktu z jego krokami.

— Jak myślisz, mój stary — zapytał po chwili — czy na przyszły rok o tej porze już będę miał urząd?... Chciałbym z Sim-czen spotkać się na wiosnę, kiedy kwitną kwiaty i ptaki śpiewają młodym głosem!...

Stary czas jakiś nie odpowiadał, poczem zwrócił się z koniem, położył mu rękę na szyi i zaczął szeptać przyciszonym głosem:

— Złe się stało, że przed tak ważnym przedsięwzięciem nie pomyśleliśmy o przyszłości. Wiem, że niedaleko stąd na przedmieściu Uou-sania mieszka słynna wróżbiarka... Uczynimy, jak czynili zawsze starodawni ludzie!... Naprawimy, co zaniedbał twój stryj, obarczony sprawami urzędu...

Kim-ki zgodził się z radością, gdyż nowe jego poglądy nie sięgały znowu zbyt daleko. Czuł, że mu czegoś brak i natychmiast zrozumiał, że trawiący go niepokój płynie właśnie z nieznannej mu... przyszłości.

Przed samem miastem Chakki skręcił w bok i wkrótce zatrzymał się przed nędzną lepianką, podobną do bezładnej kupy gruzów i śmiecia. Wejście do tej nory zawieszane było słomianą »pari«; gdy uchylili ją, dostrzegli pośrodku izby na wytartej macie starą kobietę, spożywającą posiłek. Skoślawione czarno-siwe włosy spadały jej na kark i ramiona, jak kłęb węzów, twarz ciemna, ptasia, chyliła się nad misą ryżu, niby sowi dziób. Nie ruszyła się, nie przerwała wieczerzy. Gdy przykucała na piętach u progu, obrzuciła ich jedynie krótką błyskawicą żółtych, przenikliwych oczu.

— Uasso! Nae-nasso! (przyszliśmy!) — powitali ją.

— Czy jedliście waszą kaszę?... — odburknęła niechętnie.

— Dziękujemy!... Jedliśmy, jedli!...

— Poco przychodzicie?

— Po wróżbę. Przepowiedni i rady twej pragniemy, czeigodna Kwan-si-tun!

— Kto?

— Mój młody pan, Kim-ki!

— Jedzie do stolicy zdawać egzamin?... Rzuca młodą synogarlicę na pożarcie staremu krogulcowi?!...

Umilkli, cokolwiek wylękli i zdziwieni.

— Zgadłaś, starożytna Kwan-sin-tu!... — zamruczał Chakki.

— Niechaj połóż tu srebrną monetę... — mówiła dalej urywanym, głuchym głosem. — Ma pieniądze, sprzedał ojcowiznę i groby ojców... Przepaść po za nim... wertep ognisty przed nim...

Naciągnęła na chude ramiona brudną czarną opończę z kabalistycznymi znakami, schwyliła z małego pudełeczka garść suchego ryżu. Rzuciła ziarna na ziemię.

Wszyscy troje pochylili się ciekawie nad białymi kruszynami, rozpierzchniętymi bezładnie po złotej macie. Kim-ki wstrzymał dech w piersiach. Czarownica wodziła szponem od ziarna do ziarna i mruzczała niewyraźnie. Chakki pilnie nadstawiał jedyne swe ucho.

— Osiągniesz, coś zamierzył, ale strzeż się...

rudego psa!... Rudego psa z białymi piersiami... Precz!... Idź precz!... — wybuchnęła groźnie i zapalczywie.

Wyskoczyli pośpiesznie, szepecząc uprzejmie:

— Na-kao! (odchodzimy).

Kim-ki czuł się niezmiernie wzruszonym, wargi mu drżały i twarz mu pobladała. Chakki w milczeniu podał mu konia.

— Dlaczegoś mię zaprowadził do tej złośliwej wiedźmy?... Czyż niema grzeczniejszych?!...

— Złośliwa, ale mądra!... Zawsze się jej przepowiednie sprawdzają... Śmiałe serce, lubi prawdę!...

Słońce zaszło za góry, pajęczyna siwych oparów i dymów wieczornych zasnęła lustra pól ryżowych. Figury przechodniów i wieśniaków znikły z dróg, wsiąkły do wiosek lub w ulice przedmieścia, którego skrajem dążyli do Uon-san'a, tonącego w obłokach kurzu. Spóźniona lektyka minęła ich, tragarze prawie biegle, pokrzykując z cicha... Z poza zadzieganych firanek pudła mignęła świeża twarzyczka kobieca. Rosły krajowiec, który podążał za lektyką, obrzucił Kim'a i jego sługę brzydkim, podejrzliwym spojrzeniem. Szli samotnie pustą, boczną drożyną, na tyłach nędznych, wpółrozwalonych, niezamieszkałych napozór budynków.

— Chakki! — krzyknął nagle Kim-ki przeźrąliwym głosem.

— Co?



— Zatrzymaj się, Chakki!... Czyż nie widzisz?!...

Niewolnik stanął, przysłonił oczy dłonią, jak daszkiem, nagle wzdrygnął i wyprostował swój pałakowaty grzbiet. Niedaleko, na pagórku, odryzując się ostro na mlecznej zasłonie tumanu dymu i kurzu stał... pies. Po za nim niewyraźnie rysowało się ciemne miasto z błyskającymi już gdzieniegdzie ogniami. Podróżnicy zatrzymali się i mimowoli zbliżyli ku sobie.

— Ach!... To nie!... On jest czarny!... — uspokoił wreszcie młodzieńca starzec. — Zresztą sądzę, że wcale nie o psa jej chodziło... Kwan-si-tun nigdy wprost nie mówi... Dobrzy wróżbiarze nie wskazują palcem. Wcale nie o psa jej chodziło... Powiedziała: »z białymi piersiami«! Uważasz?...

— Więc cóż to ma być? Czyż niema psów z białą piersią?

— Hm... Przypuszczam, że co innego miała na myśli wróżbiarka, że to ma być... kobieta... europejska kobieta!... Podobno w Seulu ich dużo...

— Czyż one są podobne do psów? Na rysunkach ludzkie mają twarze...

— Twarze mają ludzkie, ale na rysunkach są zawsze w ubraniach...

— Czyżby tam dalej były podobne do psów? — zawołał Kim-ki z nietajonym wstrętem. — Skąd ty wiesz? Czy widziałeś je kiedy nago?

— Widziałem raz... Było to za twego dziada

który rządził wówczas w Pöp-son-pho, mieście na zachodnim wybrzeżu... Fale morskie przybiły statek z białymi... Wśród nich była kobieta. Podług dawnych praw Dzo-siön wszyscy cudzoziemcy zostali zamordowani a kobietę oddano żołnierzom. Ale brzydzili się nią i lękali jej nawet oprawcy i policyanci. Gdy zdarto z niej odzież, włosy, związane w węzeł na głowie, rozsypały się i pokryły ją całą rudą sierścią. Zamieniła się nagle w lisa i jedynie białe piersi błyszczały jej z pod futra, zgodnie z tem, co powiada Kwang-si-tun... Zapamiętałem to sobie doskonale... Wybieg jednak nie udał się... Starodawni ludzie byli mądrzy. Pochwycili ją za żółte włosy, zadarli głowę i zdjął przebili długą szyję gęsią... Dzień cały leżała na rynku i mieszkańcy przychodzili z daleka oglądać jej ostrą twarz i dziwaczne ciało...

III. KLASZTOR.

Dużo przebyli dolin, przebrnęli wiele rzeczulek i strumieni, okrążyli moc skalnych wiszarów po ścieżkach, dostępnych jedynie dla ptaków, zanim dotarli do podnóża gór, w których pazusze krył się słynny klasztor »Królewskiego Uśmiechu«. Stryj kazał im koniecznie odwiedzić ten święty przybytek, gdyż na progu nowego życia należało oddać się przedewszystkiem pod opiekę Duchów Panującej Dynastji. Tam one miały swój główny ołtarz, tam pierwszy z królów »I«, jako buddyjski służka klasztorny, uczył się skromności, zaparcia siebie, pogardy dla rozkoszy doczesnych, oraz ćwiczył się w rozmyślaniach prawd, objawionych światu przez Dobrośliwego Pu-sa (Budde).

— Nie jesteś wprawdzie buddystą, ale mogą was w stolicy o ten klasztor zapytać... Co uczynicie?! Nie wypada okazywać obojętności dla

miejsce świętych. Czasu macie dużo, a z drogi zboczyć trzeba niewiele! — dowodził przezornie stary urzędnik.

Uślułali rozkazu i po trzech dniach podróży przed samym wieczorem znaleźli się u stóp górskiego łańcucha, stromo wznoszącego się z dna płaskiej doliny. Gęsty las, granatowy od ukośnych promieni zachodu, kędzierzawy, jak runo dzikiego barana, porastał zbocza od podstaw do samego wierzchołka. Chociaż Kim-ki bynajmniej nie był religijnym a Chakki zawsze wyznawał wiarę swoich panów, obu ogarnął uroczysty dreszcz, gdy weszli pod rozłożyste konary drzew i gdy z zielonawego ich zmroku wynurzyły się wysokie, strzeliste, jak pnie cedrów, czerwone, jak ogień, figury »straży gościńca«. Garbate ich nosy, spiczaste brody, dziko wylupione oczy, białe kły, błyskające z szyderczo wykrzywionych ust, wielkie zrobiły na Kim-ki'mie wrażenie, pragnął raz jeszcze spojrzeć na widziadła a jednocześnie bał się za siebie obejrzeć. Chakki siedł tuż blisko u jego strzemienia.

— Słuchaj, stary, czy to stąd daleko? Czy będziemy w klasztorze przed nocą?

— Byłem tutaj tak dawno, że nie pamiętam, ale zdaje się, że niedaleko.

W lesie nocna nadchodziła cisza, ustawał świegot ptaków, milkło stukanie dzięciołów, nawet nie wiał wiatr. Jedynie potok niewidzialny szu-

miał w głębokim jarze, którego krawędzią wila się droga. Rozpylony, brunatny zmierzch, lecąc z ciemnych wąwozów, z zacienionego leśnego podszycia, szybko wypełniał osnowę słabo ulścionych wiosennych gałęzi koron, bujających w różowej zorzy wieczornej. Na zwrotach dróg, gdzie biodra dźwigających je urwisk przebijały pokrowiec lasów, podróżni widzieli w dole pod sobą niezmierną dolinę, zamkniętą ognistym pasem zorzy i smugą szarosrebrnych chmur. Siwa mgła wypełniała dolinę, grzbiety pagórków czerniały z tumanów jej, jak wyspy; krzywe sosny wynurzając się ponad opary, przeglądały się w nich, jak w przyćmionych lustrach: nieliczne, wyżej położone chaty krajały ostrymi kantami szarych dachów białą chmurniawę, niby zręby głazów, przewierconych iskrami ognia. Ogrody, niwy uprawne, zaorane role, ucichłe wioski z świecącymi się oczami okien, lśniące rzeczułki i stawy nawodnionych pól, kędzierzawe gaje, kręte tasiemki drożyn z garbatymi mostkami rysowały się w mlecznej powodzi blade i nikłe, jak dawne, ubiegłe wspomnienia.

Kopyta konia, stukając po ubitej drodze, miarowo jak paciorki różańca, unosiły podróżnych coraz dalej od zamglonej ziemi, coraz bliżej do śnieżnych szczytów, omytych różowymi, zimnymi kryształami powietrza, opartych o obłąk szafirowego nieba z drżącymi gwiazdami.

Minęli kilka cichych, posępnych bram, z wygiętymi dachami chińskimi i utonęli w głębokim ocieniu roslących drzew i prostopadłych opok. Potok szumiał gdzieś pod nimi daleko i głucho. Coraz częściej, nisko, tuż nad gościńcem, z ociosów skał zasępionych brwiami czochratych gałęzi, lub z wysoka, z oblicza wyniosłych szarych urwisk spoglądały na nich wielkie, czarne, skręcone wyrazy napisów, podobne do mądrych, przenikliwych żreń. Kim-ki czytał je przelotnie, pełen rosnącego lęku:

»Z miłości płynie cierpienie, z cierpienia rodzi się trwoga...«

.....

»Nie szukaj śmierci, nie pragnij życia, lecz jako sługa zapłaty, czekaj kresu...«

»Niema ognia płomienniejszego od żądzy, niema obłudy równej nienawiści, niema zasadzki, głębszej niż głupota, ani potoku, chłonniejszego, niż chciwość...«

.....

»Wielcy pasterze, Śmierć i Czas pędzą przed sobą stado życia...«

Wreszcie wszystko znikło w mglistym zmroku. Niebo, skały, drzewa, parów i droga przestały istnieć, stopione w nieprzejrzaną całość węglową.

Stary Chakki schwycił konia za cugle i powiodł go, rozpoznając drogę już nie oczami, lecz dotykiem nóg. Dotarli omackiem do kamiennego

mostu, arkadą rzucanego przez ryczący, jak wodospad, strumień.

— Już niedaleko!... — pocieszał sługa pana, sam wystraszony fantastycznością otoczenia. Nie wszakże nie dostrzegali w ciemnościach, które przylegały im do źrenic, niby upadłe na oczy ciężary. Nagle, wśród tej hebanowej czarności, tuż tuż przed nimi, błysło czerwone światelko; koń podniósł głowę i żwawiej zastąpił, podróżni poweselili. Ale światelko rychło znikło.

— Co to?... Może wodzi nas?!... — bąknął Kim-ki.

— Nie wspominaj brzydkich wyrazów!... Przecież tu święte miejsce...

— Dla buddystów!... Ale my czciciele Konfu-tsy...

— Dobrotliwy Pu-sa wszystkich ogarnia swą łaską...

— Cicho! Słyszalesz?!

Chakki zamilkł i ucha nadstawił; zdawało się, że dole zabrzmiał nieznan, przeciągły dźwięk...

— Strzelcy tygrysi grają na »nabari« (rogach) — z drzeniem w głosie szepnął stary i konia gwałtownie pociągnął. Jednocześnie w klasztorze ozwał się dźwięk podobny. Byli prawie u samych wrót. Za chwilę stukali do olbrzymiej, blachą okutej bramy. W okragłym okienku, wysoko w murze, zapłonęło światło czerwone, wysunęła się zeń ręka w białym rękawie z płonąca

pochodnią w garści i duża, ogolona głowa mnicha. Obejrzał ich uważnie przy czerwonym blasku smolniaka, poczem cofnął się jak żółw w otwór okienka i zniknął. Po długim, nadaremnie czekaniu, znowu zaczęli się do bramy dobijać. Znowu w okienku pojawiła się blada łysina mnicha, tym razem bez pochodni.

— Kto jesteście i czego chcecie? Naco tyle robicie hałasu?...

— Jesteśmy zmęczeni i przeziębili podróżni... Przybyliśmy uczcić słynny przybytek Dobrotliwego!...

— Nie znamy was... Przyzwoci ludzie nie włóczą się po nocy... Dlaczego nie zanocowaliście pod górą? W okolicy grasują bezwstydni psuhan-dang!... Nie znamy was!... Czyż więc możemy was wpuścić?!

— Zlitujcie się! Przecie nie każecie nam wracać po nocy?! Jesteśmy z rodu Kim. Mój pan, Kim-ki, jedzie do Seulu na egzamin; stryj jego jest naczelnikiem powiatu Ko-uń; jego dziad znany pogromca cudzoziemców, Kim-cza-sań, był słynnym gubernatorem na zachodnim wybrzeżu... a ojciec rządził czas jakiś naszą prowincją!...

Głowa mnicha znikła z okienka; następnie odbyły się jakieś narady za zamkniętą bramą, poczem zazgrzytały wrzeczadze i wieże rozwarły się szeroko. Podróżni wstąpili pod wysokie, ciemne sklepienie, pod którym głucho zadudniło echo

kopyt i w końcu którego stał biało ubrany służka, oświecając pochodnią nieduże podwórkę, wyłożone kamiennymi płytami. Po drugiej stronie podwórka kamienne, szerokie schody wiodły wprost do przednich komnat gościnnych, pod długi ganek na wzniesieniu; pokoje pośrednie mieściły się niżej, na prawo, koło kuchni i czeladnej; schody wiodące ku nim były mniej okazałe. Na lewo przylegała do kamiennego budynku wielka szopa na wysokim podmurowaniu, nakryta ciężkim dachem chińskim z podwiniętym do góry okapem. Wspierał się on na licznych filarach, olbrzymich pniach cedrowych, odartych z kory. Wszystko wyglądało jak kupa kanciastych bloków kamiennych, ustawionych w nierównym szeregu. Pod szopą, wśród filarów, bieleło niby stado owiec, mnóstwo ludzi rozpostartych na ziemi. Niektórzy, zbudzeni, powstali i wsparli się o filary, inni przysiedli z opuszczonemi nogami na krawędzi fundamentu i przyglądali się pilnie przybyłym.

Gdy konia podróżników rozsiadłano i odprowadzono do stajni, pochodnia zagasła. Kim-ki'ego z Chakki'm umieszczono w małym pokoiku gościnnym, w gorszym skrzydle klasztornej przytulki. Ale i tu było dość czysto i przyjemnie. Cienkie maty z sitowia leżały na ogrzanej z dołu podłodze, której ciepło przyjemnie działało na zziębłe, obrzmiałe w podróży ich członki. Niezadługo podano im skromną wieczerzę z ryżu, kwa-

szanej sałaty i rzodkwi. Jednocześnie zajrzał do nich mnich i wypytał szczegółowo: kto są? skąd i dokąd idą? poco przybyli?

Chakki aż ręce uniośł do góry:

— Któż z przejezdnych może oprzeć się urokowi klasztoru »Królewskiego Uśmiechu«. Wszak umyślnie zawracają ludzie i nawet odbywają długie podróże, aby nasycić wzrok ślicznym widokiem świętego przybytku i orzeźwić ducha mądrą rozmową z wielbnyimi ojcami... Słyniecie po całym kraju z mądrości, z gościnności i z przywiązania do tronu, o co nam głównie chodzi w chwili obecnej, kiedy wступujemy na drogę nauki i zaszczytów... Nasz opiekun, Kim-juń-sik, stryj mego młodego pana, stanowczo nam polecił prosić wielbnych ojców o błogosławieństwo, o wskazówki i modlitwy i kazał złożyć odpowiednie ofiary...

Lekki uśmiech przesunął się po gładko wygolonej twarzy mnicha, uśmiech prawie niedostrzegalny.

— Jego Królewska Mość — niech Dobrotliwy darzy go wieczną łaską — nie zapomina o skromnem schronisku swych przodków. Niedawno otrzymaliśmy złotem pisany list, ale transport ryżu, który miał przyjść w ślad za listem, jeszcze nie przybył... Czy zapiszecie wasze dostojne nazwiska w księdze?

Podał przybyłym księgę z tuszownicą i pędz-

lami, a gdy podpisali, oddalił się z niskim ukłonem i japońskim życzeniem:

— Komba-wa (dobranoc).

— Japończyk?! — obruszył się Kim-ki po jego odejściu.

— Nie. Ale te żółte szczury buddyjskie zawsze ciągną do Japonii. Słusznie twój dziad, Wielki Kim-cza-sań, wielkorządca zachodniej prowincji mówił: buddysta zawsze półjapończyk. Dlatego religia ich jest w pogardzie i oni słusznie uważani są za korejczyków mało lepszych od chrześcijan...

Długo jeszcze Chakki gadał, wzdychał i mruczał w ciemnościach, podczas gdy Kim-ki dawno już spał znużony całodzienną jazdą. Śniło mu się, że jest młodym chłopaczkiem, że zaplatają mu warkocz w dzień wesela, że Sim-czen czeka nań za kotarą... Ale gdy chciał pocałować dziewczynę, zamieniła się niespodzianie w stryjaszka, który patrząc nań surowo powiedział: »Skromność i wstrzemięźliwość upiększają wiek młody«... W tej chwili zbudził go dźwięk rogów blizki i przejmujący. Zerwał się i usiadł w ciemnościach, niepewny, czy słyszane dźwięki są snem, czy rzeczywistością. Na zewnątrz działo się coś niezwykłego, skrzypiały wrzeczadze, dudniały końskie kopyta i czerwone, jarzące światło wdzierało się ze dworu przez szpary źle dosuniętych drzwi.

— Rozbójnicy! — pomyślał młodzieniec i pod-

pełznął ostrożnie do proga. Ale to, co dostrzegł przez otworek, wydało mu się tak dziwaczne, iż ciekawość i żdziwienie pokonały strach. Kopnął nogą niewolnika:

— Chakki, co to jest?

— Nie wiem, co to jest! — szeptał stary, przyglądnąwszy okiem do szpary. — Może wojna, a może... sam król zjeżdża do klasztoru... Ci ludzie w futrach, z oszczepami w ręku, to myśliwcy na tygrysów... Ci w żółtych kaftanach, to łucznicy klasztorni... Poco oni się zebrali? Poco ta gromada chłopów? Jedzie, widzisz, mówiłem, że jedzie!...

Aby lepiej zobaczyć, co się dzieje, Kim-ki nawet drzwi nieznacznie rozsunął. Z czarnych czełusci roztwartych wrót wynurzył się właśnie łeb konia w bogatym rynsztunku, dalej figura jeźdźcy w jedwabnej niebieskiej sukni, wzorzysto wyszytej na przedzie. Na głowie miał kołpak futrzany z rozwartej paszczy tygrysa. Wąsy zwierza sterczały mu nad czołem, jak kity, białe kły szczyrzyły się tuż nad brwiami, dalej skóra pstra spływała na ramiona i na plecy, spięta na piersiach łapami. Nogi w chińskich, aksamitnych butach opierały się na ciężkich, srebrem wykładanych strzemionach. Twarz miał smagłą, bez zarostu, bystre, płomienne oczy, nos prosty z rozdętymi nozdrzami, usta małe i zaciśnięte. Za pasem miał zatknięty miecz w czarnej, lakowej pochwie. Z za pleców

wystawały mu łuk i sajdak, pełen skrzydlatych strzał.

Pachołkowie, prowadzący z dwóch stron konia za cugle, przywieśli go do samych schodów kamiennych, gdzie po obu stronach na słupach zakończonych kamiennymi tarczami, płonęły stosy smolniaka i gdzie na skrzydłach stały gromady biało ubranych pątników oraz zbrojnych myśliwców, mnichów i rycerzy. Orszak przybysza zatrzymał się opodal u wrót i zsiadał porywczco z siodeł; on zaś zeskoczył zręcznie na ziemię i czekał skromny i poważny na schodzącego ku niemu przełożonego klasztoru w żółtej wspaniałej szacie powłóczystej, w żółtym kołpaku na głowie, z srebrną misą w ręku. Z obu stron kapłana szło dwóch, również żółto ubranych mnichów, którzy podtrzymywali pieczołowicie końce niezmiernie długich rękawów jego szaty. Rycerz ręce przycisnął do piersi, wziął misę, uniósł ją wyżej głowy i wychylił niezwłocznie przyjemny napój chłodzący z wody i miodu: następnie w towarzystwie mnichów rozmawiając z nimi uprzejmie, wstąpił na schody i znikł w szeroko rozsuniętych drzwiach górnej komnaty. Ognie na słupach dogasły, ludzie rozeszli się, konia zaprowadzono do stajni. W pokojach, zajętych przez przybyłego rycerza, długo paliło się światło i długo stamtąd dobiegały szmery rozmów, lecz trudno było rozpoznać, o czem tam radzą. Daremnie na-

słuchiwał Kim-ki, daremnie Chakki wysunął się na zewnątrz — nie dowiedzieli się nic. W pokojach mówiono w obcym języku, może po japońsku a może gwara tygryśników, znaną jedynie bractwu wtajemniczonych myśliwców.

Dopiero nazajutrz zbudził młodzieńca wierny Chakki i z trwogą oznajmił:

— Śpiesz się!... Uciekajmy!... To jacyś spiskowcy, może sami ton-hacy!... Łatwo dać głowę w tej sprawie!... Słyszałem, jak ten wczorajszy rycerz mówił do ludu pod filarami, że należy oswobodzić króla od wpływu cudzoziemców, że należy żądać ziemi i zrównania stanów, uczynienia wszystkich szlachtą... Słychana rzecz?!

Młodzieniec natychmiast zerwał się i pełen przerażenia z pośpiechem przygotował się do drogi. Klasztoru, rzecz prosta, nie obejrzel.

IV. DOSTOJNICY.

Kim-ok-kium był zachowawcą nie tylko dlatego, że wysoki zajmował urząd i nie dlatego też że ród jego z dawien dawna należał do zachowawczej partii »No-in«, lecz przede wszystkim dlatego, że nawet w szczegółach miał starodawne upodobania. Zgodnie więc z obyczajem koreańskim spał nago pod grubo watowaną kołdrą na cienkim materacu, rozesłanym wprost na ciepłej, wyklejonej grubym, żółtym papierem, ogrzanej z dołu podłozie sypialni. Obok sypiała, co noc inna, z jego trzech żon i tyłuż nałożnic. Tym razem spała z nim najmłodsza. Ale skoro Kim-ok-kium się ocknął, już jej nie znalazł; obudził go właśnie przykry ehlód, jaki wdarł się pod ciężkie sklepienie kołdry, przez szczelinę uczynioną wysłiznięciem się ciała kobiety. Słyszał jej głos cienki i przenikliwy w rozgwarze innych głosów i brzęku naczyń, dochodzących z dołu, z kuchni, jak kłó-

cił się tam z drugim głosem kobiecym, głosem głuchym i pokaszującym. Jeszcze dalej, może na dworze albo na innym podwórku, płakało dziecko.

— Już się gryzą!... — mruknął. — He, Sam-si!

Na to wołanie zaszeleściło u progu drzwi, u dołu wielkiej, pięknie rzeźbionej ramy, powleczonej naoliwionym papierem — jedyne źródło szarego, łagodnego światła, rozwidniającego słabo sypialnię. Z niejakim oporem przejrzysta rama odsunęła się, buchnął jaskrawy potok dnia i rozbił zmierzch. Na tle przeciwległej papierowej ściany okna, jaśniejszej i jak porcelana matowej, pociętej misterną czarną kratą, zarysowała się blisko u wejścia postać małej dziewczynki na klęczkach. Pochyliła się na wystawione przed siebie dłonie i oddała czolobitny ukłon rodzicowi.

— A gdzie Ko-ku?

— Płacz. Oblał wodą swoje nowe spodnie!

Kim-ok-kium uniósł się na łokciu, sięgnął pod materac, dostał kapciuch i metalową fajeczkę, nabił ją tytoniem i zapalił. Sam-si tymczasem wstąpiła z ręcznikiem do sypialni leciuchne bambusowe szaragi z przewieszoną przez nie świeżą odzieżą. Poruszała się lekko, z ręcznikiem, pelzając na klęczkach po gładkich matach i ślizgając się bezdźwięcznie po papierowej posadzce. Kim-ok-kium patrzył życzliwie z pod oka na jej małe, zgrabne rączki, na chude łopatki, poruszające się pod małą bluzką jedwabną. Dziewczynka pilnie

szykowała rzeczy do ubierania, odstawiła od wez-
głowia bukiet kwiatów, odsunęła spluwaczkę...
Gdy była blisko Kim-ok-kiuma, oparł dłoń na
jej gładko zaczesanej głowce i pieszczotliwie prze-
sunął ją dalej na warkoczyk, zwisający na kar-
czek dziewczęcia. Dziewczynka podniosła do góry
twarzyczkę zarumienioną od szczęścia i w różo-
wej łunie poranku, bijącej z wielkich okien ze-
wnętrznych, wyglądała jak biały, zapłoniony kwia-
tuszek.

— Czy pogoda na dworze?

— Pogoda, ojcze, ale wietrzno!... — odrzekła,
patrzac z przywiązaniem w szeroką i mięsistą
twarz dostojnika.

— A co robi Czun-hań?

— Młoda Pani... rozmawia z Starą Panią —
szepnęła ostrożnie, oblewając się jeszcze goręt-
szym rumieńcem.

Gwar i krzyki w kuchni wciąż rosły.

— Biegnij, zawołaj ją, żeby przyszła mię
ubrać... Niech śpieszą się ze śniadaniem, bo mu-
szę wyjść rychło!

Sam-si znikła za drzwiami, cichutko jak
myszka.

Kim-ok-kium chwilkę rozmyślał z namarszczo-
nem czołem, leżąc na wznak, poczem mocno west-
chnął. Zaleciała go woń wędnących kwiatów
zmieszana z zapachem perfum europejskich i ciała
młodej, złej, rozrzutnej, ale umiłowanej żony.

— Ha! Niech co chce będzie... Wypędzę starą!..

Przeciagnął się, ziewnął i usiadł porywczo.

We drzwiach pojawiła się ciemna sylwetka
Czun-hań, odzianej w niebieski jedwab. W rękach
niosła wielką miednicę, pełną dymiącego się
ukropu. Ukłękła przed mężem i powitawszy go
czołobitnym ukłonem, jęła obmywać mu piersi
ramiona, plecy, łędrzwy i stopy płatem flaneli
zmaczanej w gorącej wodzie. Piers młodej ko-
biety mocno falowała.

— Niepodobna... Takich obelg... takiego poni-
żenia w Waszym, Panie, domu... — zaczęła mó-
wić głosem przerywanym.

— Czy nikt nie przychodził z Pałacu? —
przerwał spokojnie Kim-ok-kium.

— O tej porze?... Kogóż oczekujesz tak wcze-
śnie? — Udała żdziwienie, lecz po chwili złe
ogniki zamigotały w jej czarnozłotych oczach,
jak łuska pelzającego węża.

— Nie chcesz, Panie, wysłuchać skarg mych...
Tymczasem ta stara wiedźma, ta przekłeta, wy-
zuta z twarzy intrygantka... Ta matka buntow-
ników, wrogów króla i ojczyzny, naruszcycieli sta-
rych obyczajów!...

Kim-ok-kium nachmurzył się.

— Dość tego!... Mówilem ci ja, żebyś mi ża-
dnych nie zносиła plotek!...

Spojrzała nań, rozděła nozdrza, lecz w mgnie-
niu oka podwinęła rozstrzęsione wargi i zamiast

gniewnych wyrazów z krtani, polały jej się z oczu rzęsiszte łzy. Kim-ok-kium zdawał się ich niedostrzegać.

Zona podała mu wody gorącej w małej miseczce, z której on wyjął sam namokłą flanelę, i, wyżawszy ją, umył sobie nią twarz i ręce. Potem Czun-hań zrecznie rozplotła mu włosy, uczesała i znów zwinęła je w piękny węzeł na czubku głowy. Następnie ubrała go w króciuchną, nie sięgającą do pasa, perkalową kurtkę i szerokie hajdawery, na to narzuciła dłuższą jedwabną kurtkę, oliwkowego koloru i także spodnie. Na nogi wdziała mu białe skarpetki i chińskie trzewiki na grubej podeszwie. Na głowę włożyła misternie plecioną ażurową mykę, »man-get«, a na nią skrzydlaty, przejrzysty kołpak dostojnika. Wreszcie podała mu małe lustro, srebrne szczypce do wrywania włosów i kościany nożyk do gładzenia brwi. Skłoniła się w milczeniu, zabrała miednicę i wyszła.

Kim-ok-kium przejrzał się, poglądził rzadki zarost i udał się do następnego pokoju. Jednocześnie ukazała się tam druga z kolei jego żona, Pi-nan-san, niewysoka, dorodna, pulchna kobieta, z twarzą okrągłą, jakby z białego ulepioną ciasta. Niosła niziniki stolik, zastawiony śniadaniem.

— Pewnie, Panie, tu dziś będziesz spożywał swój ryż, gdyż na ganku wieje!...

— Dobrze! Postaw i rozsuń ścianę.

Umieściwszy starannie pośrodku pokoju stół, postawiwszy obok miedziany imbryczek z grzaną »sake« (rodzaj rumu), Pi-nan-san silnym rozmachem rąk rozsunała papierowe ramy. Orzeźwiający powiew wpuściła falą gwałtowną. Kim-ok-kium siadł na ziemi przed stolikiem i zaczął spożywać gorzkie, słone oraz pieprzne kwaszone rzodkwie, przekąski i solone raczki, obficie podane na małych spodeczkach. Oczy jego tymczasem przeglądały uważnie liczne dziedzińce jego obszernej domostwa, których większość doskonale widać stąd było. Wszędzie prawie snuli się ludzie, przeważnie kobiety i dzieci, dolatywał stuk naczyń i uderzenia bijaków do gładzenia bielizny, powiewały sztuki rozwieszonych na żerdziach i sznurach odzieży. Domostwo tworzyło całe, ściśle w sobie zamknięte państwo, poza którem widniały szeregi, morze całe, podobnych budowli, dachów i murów, spowitych dymem porannych ognisk, przeplecionych zielonym tumanem ogrodów. A ponad wszystkim w dali wznosiły się szczyrbate, różowo-złote szczyty białych gór, strzegących wokoło stolicy, ponad którymi sklepiło się już tylko błękitne niebo.

— Cóż, czy Ko-ku wysuszył już swoje nowe spodnie? — spytał Kim-ok-kium, spoglądając z uśmiechem na Pi-nan-san, która, klęcząc obok, napełniała jego talerz ryżem, w miarę jak go spożywał.

Kobieta podniosła nań pokornie czarne, podługne oczy...

— O, tak! Zaraz przyjdzie!... Ko-ku, ojciec woła, śpiesz się!...

— Już jestem!... — odpowiedział mały obywatel, z trudnością drapiąc się na ganek po schodach. Był odziany zupełnie jak rodzic i bardzo do niego podobny. Niósł w ręku wazonik z bukietem świeżych kwiatów, który postawił z głębokim ukłonem przed ojcem.

— Opowiedz, jak to się stało?

— Chciałem, ojcze, obejrzeć dno dzbanuszka... Wody wcale nie myślałem wylewać. Wtem wylała się sama...

— Widzisz, trzeba zawsze myśleć o skutkach swojego postętku. Ludzie rozsądni długo namyślają się, nim coś przedsięwzięją...

Morał przerwała Sam-si, która wbiegła zdyszana na górę i, przysiadłszy koło braciszka, wyszeptwała:

— Przyszedł Ni-men-san, główny eunuch! Czeka na ojca w poczekalni...

Kim-ok-kium, bez widocznego pośpiechu, wypalił fajeczkę, wytarł ręce flanelą umoczoną w gorącej wodzie, wypłukał usta, poczem wstał i przyjął z rąk żony wspianą chałat z szafirowego jedwabiu, z obszernymi, zwisającymi rękawami, na który wdział z kolei czarną jedwabną narzutkę bez rękawów i tak wystrojony, spokojny, wynio-

śły, wolno zstąpił po schodach na wyłożone kamiennymi płytami podwórko. Obok w otwartej kuchni rój sług i dzieci umilkł na jego widok a siedząca na wysokim zydłu wysoka, chuda niewiasta, w białym ubraniu, podniosła się i złożyła mu chiński ukłon, krzyżując ręce na piersiach. Nie dostrzegł jej i nie odpowiedział. Minał jedno podwórko i drugie, skąd opleciona winem, okrąglą jak koło brama, prowadziła do maluchnego, pełnego kwiatów, słońca i motyli ogrodu, aż znalazł się przed długim, poprzecznym budynkiem, z szerokim gankiem na słupach, biegnącym dookoła. Po schodkach kamiennych wszedł do pierwszej izby, gdzie kilku krajowców siedziało pod ścianami na piętach, w kapeluszach na głowach i z fajeczkami w zębach. Odpowiedział skinieniem głowy na ich głęboki ukłon i wszedł szybko do następnego pokoju. Tam pośrodku, na płaskiej poduszce, siedział otyły mężczyzna, jota w jotę w takim samym, jak on, ubraniu. W kołpaku jedynie zachodziła mała różnica, miał on u przybysza więcej podobieństwa do tyary mnichów buddyjskich, niż do nakrycia głowy wyższych dostojników i rycerzy. Zato jedwab jego powłóczystej szaty był o wiele lepszego gatunku, niż ten, który nosił Kim-ok-kium. Bystre oczy Kim'a dostrzegły to natychmiast.

— Bezczelny rzezaniec! — mruknął, przysiadając i schylając się w niskim ukłonie.

Obaj dostojnicy chwilę stali na czworakach, zwrócenii do siebie łbami, jak barany. Obaj mruzczei na wyścigi zwykle przywitania i komplimenty, obaj zawzięcie wciągali w siebie powietrze, obyczajem zapożyczonym z Japonii, obaj pilnie baczyli, czy oparte na podłodze dłonie współbiednika odrywają się nareszcie od maty, czy nie. Czy dlatego, że gospodarz był grzeczniejszy, czy może dlatego poprostu, że był mniej otyły, dość, że ręce eunucha drgnęły wcześniej. Wtedy Kim-ok-kium wyprostował się dumnie.

— Naje-uasso! (przychodzę!) — powitał gospodarza przybyły.

— Rad jestem widzieć w cichym swym domku tak dostojnego gościa o każdej porze dnia!... Im wcześniej, tem lepiej!

— Spieszyłem się, aby w domu zastać cię, ręko monarchy, gdyż wiedziałem, iż troska o sprawy państwowe, rychło wypłoszy cię z rodzinnego koła!... — odpowiedział eunuch ze słodkim uśmiechem.

Służący wniósł na małej tacce na nóżkach herbatę, owoce, słodycze.

Rozmowa znów potoczyła się na światowatej nieznaczących frazesów.

— Rok obiecuje być dzystym i budowa nowego pałacu wymagać będzie pośpiechu!... — ostrożnie wstawił w gawędę Ni-men-san.

Męska twarz Kim-ok-kiuma spoważniała. Ni-

men san bacznie śledził go swemi małemi, zapłniętymi tłuszczem oczkami.

— Wola monarchy jest jak ciepło i jasność, jak słońce przenika wszędzie... Ale serce Jego jest w ręku Nieba... Kto wie, kiedy i komu powierzy budowę swego przybytku?

— Pani Miń-om stara się, aby robotę oddano Miń-riok-sik'owi... — szepnął eunuch cicho, ale śmiało.

Oblicze Kim-ok-kiuma zachowało nieprzeniknioną powagę.

— Miniowie znowu biorą górę, wyłazą ze wszystkich szczelin, jak karaluchy. Wkrótce w pałacu, a może i w całym kraju dla innych miejsca nie starczy!

Kim-ok-kium szukał w milczeniu kapeiucha i fajeczki.

— Wiesz, dostojny strózu praw, iż nawet dynastyi może grozić niebezpieczeństwo. Pani Miń-om ma syna i choć jest nałożnicą, łatwo może zostać królową...

Kim-ok kium zapalił fajeczkę i podał ją grzecznie gościowi.

— Następca tronu doznaje coraz mniej u ojca posłuchu... — ciągnął Ni-me-san, pykając dymek.

— Cóż czynić?! Niepodobna wchodzić między ojca i syna.

— To prawda, dostojny panie, ale... w starych księgach powiedziano, iż nie dobrze, gdy myśli

monarchy zbyt długo spoczywają na jednej kobiecie...

Brwi Kim-ok-kiuma niepostrzeżenie drgnęły.

— Sam mówiłeś mi, czcigodny Ni-men-sanie niedawno, iż łożnica naszego Pana pilnie jest strzeżona, że wszystkie piękniejsze, nieodpowiednie służebnice zostały wytracone albo rozpedzone, że pojawienie się kogoś nowego w pałacu jest wprost niemożliwe...

— Niemożliwe wprost, ale... pogłoska przenika najgrubsze mury... Najjaśniejszy Pan nudzi się!... Częstokroć noc całą, daremnie szukając ulatującego snu, każe tańczyć tancerkom i wróżyć wróżbiarzom... Lecz wszystko już widział tylekroć razy, iż zbawczy sen i spokój nie przychodzą...

— Mów jaśniej, poważny Ni-men-sanie. Wiem, iż Miniowie czyhają na moją zgubę, ty zaś pamiętaj, że przedsiębiorca Cza-po-gi grubą obciąż sumę, jeżeli dostanie budowę.

— Cza-po-gi jest doskonałym budowniczym... Chodzi wyłącznie o dobro króla naszego i Pana...

— Cóż więc radzisz?

— Należy wprowadzić do Ogrodów Rozkoszy nie kobietę, ale jej cień... Tego zabić niepodobna...

— Nie znam kobiety zdolnej wysłać cień...

— Rozumiem, zajęty sprawami państwa, nie masz czasu, opiekunie cnoty na małostki, ale ja znam taką, gdyż to jest moje rzemiosło!... —

Uśmiechnął się przebiegle i zajrzał wprost w oczy Kim-ok-kium'owi.

— Przybyła niedawno z południa. Przywiózł ją dziobaty pies Cu-ireni. Podobną jest do kwiatu rozkwitającej gruszy i tańczy nowe tańce zamorskie... Zwie się Ol-soni... A może wasza dostojność słyszała już to imię?

Znowu spojrzał mu w oczy uważnie.

— Nie, nie słyszałem! — zaprzeczył gospodarz, szczerze zdziwiony znaczącem spojrzeniem eunucha.

— Tem lepiej! Będiesz sam miał przyjemną niespodziankę. Gdyż cień tej dziewczyny można wprowadzić do pałacu... jedynie... przez twój dom!

Kim-ok-kium podniósł do góry brwi z pewnym niepokojem.

— Wszak zapraszasz zwykle w tej porze do swego zamiejskiego domu cudzoziemców na ucztę z tancerkami... Zaprosz niedługo Francuzów albo Amerykanów i zaprosz księcia Ni-szon-gi...

Uśmiech przewinał się po ściśniętych wargach gospodarza.

— Imienia Ol-soni nie potrzebujesz przedtem wymieniać... Poleć tylko zamówienie tancerek twemu słudze, Kim-ho-duri, a Ol-soni będzie tańczyć na uczcie... Moja w tem głowa!

Kim-ok-kium trochę się skrzywił, ale pomyślawszy, wycedził przeciągle:

— Ee! tak! Zgoda!...

Ni-men-san pochylił się w pożegnalnym ukłonie.

— Na-kao! (odchodzę!)

Kim-ok-kium odprowadził go na podwórze, gdzie czekała na enuucha zamknięta, bogato lakierowana lektyka.

Gdy eunuch zniknął we wrotach dziedzińca, obstała Kim-ok-kiuma gromada dworzan i klientów. Przedewszystkiem, rozumie się, dostrzegł roslą, beczelną postać Kim-ho-duri, ale wstrzymał się i nic mu nie powiedział. Słuchał próśb, plotek i opowieści zebranej gawiedzi z właściwą mu, dobrotliwą wyniosłością, ale żrenice jego rozbłysły pewnem zaciekawieniem wtedy dopiero, gdy stanął przed nim Kim-ki z sługą swym, Chakki.

— Kto jesteście i czego żądacie?

Młodzieniec ukląkł przed naczelnikiem rodu i drżącą ręką podał mu list stryja. Kim-ok-kium obejrzał podpis i pismo uważnie odczytał.

— Więc jesteś wnukiem Kim-cza-sania, znakomitego wojownika? Znałem ojca twego, razem w Seulu zdawaliśmy egzamin państwowy!... — wyrzekł z rozjaśnioną twarzą. — Ale czcigodny Kim-juń-sik pisze tu jeszcze o jakichś pieniądzech, o jakimś długu, który tobie mam doręczyć... Nie tego nie pamiętam... Nie odebrałem

żadnych pieniędzy!... Weź to i sprawdź, Kim-bo-remi!... — zwrócił się do stojącego obok niego wysmukłego, milej powierzchowności Korejczyka. — A ty, dziecko moje, możesz wraz z niewolnikiem zostać u mnie! Zdać egzamin, a skoro okażesz się zdolny i pilny, to pewnie da się coś dla ciebie zrobić...

Wręczył list Kim-bo-remi'emu i kazał posłać po lektykę. Po chwili już siedział w wysokim, otwartem krześle i, wzniesiony wysoko na ramionach czterech lektykarzy, popłynął, kołysząc się w stronę ulicy Ministrów.

— Dawaj obiecane dziesięć jen! — krzyknął Kim-ho-duri, chwytając stropionego Kimki'ego za ramię.

— Jakto obiecane? Ja nie nie obiecywałem!...

— Myśmy nie nie obiecywali!... — podtrzymał pana Chakki.

— Cóż to, chcielibyście darmo stawać przed oczami dostojników?!... A cóżby się stało z nami, jego dworzanami? Dawaj pieniądze, dawaj!... Nie znasz obyczajów muń-geków, to je poznasz, kiedy sam się muń-gekiem staniesz... — nastawał Kim-ho-duri, napierając na zarumienionego i zupełnie zbitego z tropu, Kimki'ego.

— Nie mam tyle!...

— A ile masz? Ile go ocenicie, towarzysze? Wszak on pan, ma niewolnika!...

— Niech sprzeda niewolnika!... — wołali, śmiejąc się zebrani wokół dworzanie.

— Daj im dwa meksykańskie dollary! — poradził życzliwie Kim-bo-remi.

— Jednego!... Zabijcie mnie, a więcej nie dam! — wołał rozpaczliwie Chakki.

— Poco cię mamy zabijać?... Przecie więcej ukarzymy, zostawiając przy życiu, ale bez pieniędzy!... Dawaj, dawaj dollary... To przecie wkup, bez niego mieszkać wam tu nie damy!... — krzyczał Kim-ho-duri.

— Zmiłujcie się, ludzie!... Przecież wszyscy jednego jesteśmy rodu, wszyscy jesteśmy Kimowie!... — jęczał Chakki, wybierając z sakiewki monetę.

— Tem bardziej powinienes się z nami podzielić!... — odpowiedział Kim-ho-duri i, pobrzękując srebrem w dłoni, ruszył ku bramie.

— Tu zaszła jakaś dziwna omyłka!... — rzekł Kim-bo-remi do odurzonego i przygnębionego hałasem i rabunkiem Kim-ki'ego. — Stryj twój pisze w liście o dawnej należności, której procenty miały zwiększyć sumę... Ale nie przypominam sobie żadnej notatki w rachunkowej księdze Kim-oków... Zajrzę jeszcze do księgi familijnej.. Jeżeli tam znajdzie się ślad jaki, to pan nasz na pewno... zapłaci!

W przysłuchującym się ciekawie tłumie dworzan rozległ się przytłumiony śmiech.

— Zapewne... zapłaci! Ale my od tej sumy żadnego nie poprosimy procentu!

— W dziesięciu tysiącach królestw świata jeszcze się chyba nie znalazł taki bogacz, coby dobrowolnie biednemu zapłacił.

— Zginałem wtedy! jęknął Kim-ki. — To zapłata za moją ojcowiznę!... Zostanę żebrakiem!...

— Zaszła pomyłka! Wyjaśni się i stryj zwróci ci należność z innego źródła...

Chakki potrząsł przecząco miedzianą, siwowłosą głową.

— Nie zapłaci!...

— A podpisałś akt sprzedaży ziemi?

— Podpisał!... — zachrypiał Chakki.

— To źle!... To bardzo nierozsądnie!... — wyrzekł Kim-bo-remi ze współczuciem. — Cała nadzieja pozostaje w cnocie twego stryja. Ale ostrzegam, że w liście nie powiedziano, zaco się te pieniądze należą!... I nawet nie powiedziano, że to dług, można myśleć, że to podarunek!... Zupełnie nie powiedziano.

Kim-ki stał bezradnie z rękami opuszczonymi i twarzą załosną. Nikt z rozchodzących się zwolna muń-geków już się z niego nie śmiał. Kilku podeszło doń nawet i, klepiąc po ramieniu, pocieszało:

— Ha! Nie umieraj przed czasem, może się

wyjaśni!... Może i na twojego mądrego stryja w ostateczności znajdziemy tu sposób... Wszak od dziś stałeś się towarzyszem, dworzaninem potężnego naszego naczelnika Kim'a. Dużo jest zręcznych ludzi w Seulu!

V. UCZTA.

Za zachodnią bramą stolicy, niedaleko świątyni Boga Wojny, na stoku jednego z licznych tam wzgórz gliniastych, nad brzegiem urwistego jaru, stał w głębi otoczonego murem ogrodu, zamiejski dom Kim-ok-kiuma. Nie był on nigdy stale zamieszkały, gdyż sam Kim-ok nie opuszczał na chwilę stolicy, pilnując swych spraw u Dworu, a rodzinę swą w lecie wysyłał częściami do dalszych włości, każdą żonę z jej dziećmi do innej, aby doglądały tam gospodarstwa i używały wywczasu. Przy ministrze zostawała w Seulu nateczas jedna z niewiast, zmieniana co miesiąc, zgodnie z wymaganiami sprawiedliwości.

Dom za bramą zachodnią inne spełniał zadanie. Nie miał wcale gospodarczych zabudowań, prócz niewielkiego domku przy wrotach, gdzie mieszkał stary i zaufany nadzorca. Otaczał go wokół piękny park, gdzie olbrzymie orzechy, słodkie

kasztany, dęby, buki i klony, dalej cały wieniec gęstych zarośli leszczyny, sumaków, czeremchy, berberysu, złotawej brzeziny, rosnących tuż za murem, zazdrośnie strzegły wnętrza ogrodu od ciekawych oczu. Bujny, dziko spletany wał roślinności ku środkowi rzedniał i ślicznie rozplątał się w pojedyncze klomby i szpalery, niknące zupełnie wśród łączki, gdzie małą sadzawkę, ze sztucznymi skałami i garbatym mostkiem, opasywały rabaty kwiatów, maluchne gaiki karłowatych sosen, fantastycznie skręconych, poziomych drzew pomarańczowych i kamforowych.

Sam domek przedstawiał niewielki, ale piękny budynek w japońskim stylu, z ciężkim dachem chińskim, o wygiętych w górę rogach, jak skrzydło wzlatującego bażanta. Wokoło domu biegł ganek, opierający się na dwunastu czerwonych słupach. Jedna ze ścian rozsuwała się całkowicie według wzorów japońskich, otwierając widok na rabaty jasnych kwiatów, na srebrną sadzawkę, na jaskrawo-zieloną, wzorzystą gęstwinę drzew i krzewów opodal.

Uwiadomiony zawczasu odźwierny, już od paru dni opalał z lekka pokoje, wietrzył je, szeroko otwierając drzwi i okna, rozsuwając składowane ściany. Łagodne światło słoneczne, émióne szybko mknąciami chmurami, wpłynawszy wielką falą pod kolumnady, suszyło pleśń na kosztownej, tekturowej posadzce, ogrzewało zmartwiałe ściany,

ryciny, wazony i sprzęty lakowe. Ciepły wiatr wymiatał z pokojów stęchłą pustkowią, zastępując ją miodowymi woniami letnich kwiatów świeżych, umytych niedawnymi dżdżami oraz mocnym, jak wino, zapachem namokłej rodzajnej gleby.

Z rana w dzień oznaczony, przybyła do domku Czun-hań z dwoma służebnicami, tragarze przywieźli naczynia, meble dodatkowe, potrawy i napoje. Czun-hań chodziła sama po pokojach, rozstawiała sprzęty, układała bukiety, rozwieszała ręczniki, wraz ze służebnicami, złoto-zółte maty i jedwabne poduszki, w delikatne różowe i zielone desenie. Zajrzała wszędzie i znalazłszy wymaganą czystość i porządek, wróciła do głównej sali, urządzonej na wzór pierwszorzędných japońskich herbaciarni. Przegrody były wyjęte; ściany zsunięte; kazała w kadzielnicy spalić garść papierów, nasyconych woniami i okiem znawczyni raz jeszcze obrzuciła pokój. Pozbawiony zupełnie mebli, jasny, prosty, z jasnym, rzeźbionym sufitem, otoczony wzdłuż gzymsów leciuchnem obrzeżem z ciemnego mahoniu, wydawał się wielkim kawałem opalowego powietrza, mieniaćego się różowym blaskiem zorzy bijącej ze dwora, złotą luną, rzucaną z dołu przez maty z jasnego sitowia i szarą przedzą zmroku zapadającej nocy. Ciepło płynące od podłóg, woń kwiatów i drogiego kadzidla, woń rozgrzanej lakki nasycala ten prosty i skromny napozór przybytek prag-

nieniem i przecuciem wyszukanych rozkoszy. Czun-hań rozděła nozdrza i błysk gniewu przeleciał po jej zasępiętej twarzy.

— Tancerki! — szepnęła służebna, ukazując się w wązkich, ukrytych w ścianie drzwiach.

— Dobrze! Niech się rozgoszczą obok w pokoju.

Było ich sześć. Skostniały i znudziły się w drodze, siedząc bez ruchu w swych małych, zamkniętych, jak pudełka, lektykach, więc obecnie, uszczęśliwione światłem i przestworem, rozsiadły się na ziemi w kółko z wesołym szczeniakiem.

— Która z was jest Ol-soni? — spytała Czun-hań, wchodząc i odpowiadając lekkim kiwnięciem na głęboki ukłon tancerek.

— Ja nią jestem!... — odrzekła siedząca skromnie na uboczu. Piękny owal twarzy, nos długi, cienki i prosty, małe koralowe usta, ciemno-brązowe, agatowe oczy, w oprawie gęstych rzęs, wdzięczne łuki czarnych brwi, pod ślicznie sklepionem czołem, wreszcie szyja łabędzia, wznosząca się jak kielich lilii z rozkosznie wzdętych piersi i spuszcistych ramion, małe, podłużne ręce i drobne stopy składały się na obraz rzadkiej piękności.

— Skąd jesteś? — spytała cierpko Czun-hań.

— Z Kioń-cziu.

— Z gniazda wichrzycieli!...

— W ubogiej obecnie ojczyźnie mej długo kwitły nauki i sztuki, stamtąd rozlała się wiedza po całej krainie Cichego Poranku i przysłała tu na zachód.

— Co o tem wiedzieć możesz, niewolnico! — syknęła Czui-hań.

Ol-soni umilkła, ale powiek nie spuściła; chwilę mierzyły się nieprzyjaznym spojrzeniem, choć w sarnich oczach tancerki więcej malowało się zdziwienia, niż gniewu. Scenę przerwały głosy przy wejściu; to przybyły gospodarz rozmawiał w sieni z muzykantami. Czun-hań niezwłocznie poszła do męża, pokazała mu uczynione przygotowania, poczem usunęła się do kuchni.

W godzinę potem zaczęli zjeżdżać się goście. Pierwszy przybył Amerykanin, sir Arton, wysoki, kościsty brunet, z wygoloną, jak u księdza, twarzą; następnie francuz, mr. d'Artagnon, pulchny, wesoły jegomość z obwisłymi blond wąsami, a z nim jakiś tęgi, przystojny podróżnik, wspaniały, milczący, pełen głębokiego szacunku dla samego siebie i dla wszystkiego, na co raczył zwrócić uwagę.

Kim-ok-kium witał każdego w przedsionku, poczem służba ściągała im buty, a gospodarz wiodł po paru, wyłożonych matami, stopniach do sali, gdzie rozbłysło już elektryczne światło wzdłuż ścian i we wspaniałej rozecie, pośrodku pokoju.

Sir Arton, który dobrze pamiętał, jakie przywileje za to oświecenie uzyskało »Amerykańskie towarzystwo tramwajów miejskich«, z przyjaznym uśmiechem pogładził dłonią wygolony podbródek.

— Widzi pan, że Europejczycy mogą się przydać na coś i nawet tu, na Wschodzie! — rzekł uprzejmie i powiódł wzrokiem po szeregach brylantowych światła.

— O, tak! Koleje, welocypedy, elektryczność, parowce... są to rzeczy bez zaprzeczenia wygodne, ale... to się tyczy wyłącznie pięciu zmysłów. Z tem wygodnie, lecz i bez tego żyć można... Narody Wschodu zawsze więcej interesowały się dziejami duszy...

— Yes, yes! — zgodził się Amerykanin z dozą ukrytej ironii.

— Nasze stare księgi mało mówią o wynalazkach, z których wiele znaleźliśmy wcześniej od was... Państwo nasze istnieje 2000 lat... Zato pełne są kroniki nasze wspomnień o czynach bohaterskich, o cnotach domowych i społecznych, o wierności dla tronu, o miłości dla kraju, o spełnianiu obowiązków, o przywiązaniu synowskiem... gdyż na tem stoi świat! Wynalazki, udoskonalenia zjawiają się, zmieniają, nikną a społeczeństwa mimo to istnieją... Ale gdyby zginęła cnota, państwa rozpadłyby się natychmiast... Nienaruszona cnota jest podstawą życia!... — powiedział Kim-ok-kium,

zwracając się to do jednego, to do drugiego gościa.

— Ależ chyba nie... niewieścia, gdyż dzieci macie huk! — rozśmiał się d'Artagnon.

Gospodarz zawtórował mu hałaśliwie.

Rozmowa toczyła się przeważnie po angielsku, gdyż Kim-ok-kium tym językiem jedynie władał biegle.

Przybył наконец i książę Ni-szo-gi z dwoma dworzanami. Książę chudy, mizerny, zaciśnięty w opięty mundur europejski, wydawał się zakłopotany z własnego tu pobytu. Dworzanie, ubrani w bogate stroje krajowe, szli za nim, jak cienie, zachowując niezmaconą powagę. Nikt z krajowców nie zdejmował kapeluszy i zwierzchniego ubrania, zato wszyscy rzucili obuwie.

Po zwykłych grzecznościach i powitaniach, rozsiedli się w głębi sali półkolem na ziemi pod ścianą i przed każdym z nich postawiono tackę z ciastkami, słodyczami i maluchną filiżaneczkę gorzkiej herbaty japońskiej.

Gospodarz chodził od gościa do gościa i przysiadłszy obok na piętach, obyczajem krajowców, gawędził chwil kilka.

— Jest pan, widzę, zwolennikiem Japonii! — wybąknął niespodzianie mileczący podróżnik i wskazał ręką na filiżankę z herbatą.

Kim-ok-kium uniósł z lekka brwi.

— O, bynajmniej! Jestem zwolennikiem sta-

rych obyczajów. Ale przyznać muszę, że umieję się bawić w Japonii... Ten cudzoziemski podróżnik przypuszcza na podstawie japońskiej herbaty, że jestem zwolennikiem Japonii... — zwrócił się po koreańsku do księcia ze znaczącym uśmiechem.

Księżę zawtórował mu piskliwie i zrobił nieokreślony ruch łokciami.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Tylko, panowie... byle nie o polityce!... Nie psujcie nam wieczoru... — zawołał wesoło gospodarz i klasnął w ręce.

Mali posługacze w mgnieniu oka sprzątnęli tace z herbatą i znikli. Następnie z otwartych tajemniczo drzwi środkowych wyszła procesja młodych dziewcząt w powłóczystych szatach, każda niosła oburącz przed sobą mały stolczyk z czarnej chińskiej lakki, zastawiony miseczkami i talerzykami z ślicznej porcelany. Na talerzykach leżały drobno krajane potrawy. Dziewcząt było tyle, co gości. Każda uklękła przed jednym z nich, postawiła stolczyk i padła na twarz w głębokim ukłonie. Wszystkie były młode i świeże, miały w kruczych włosach za uszami jaskrawe kwiaty, a na ustach uśmiech łagodny. Ku zdziwieniu europejczyków okazywały niezmiernie dużo spokoju i skromności w ruchach, pomimo, iż z pod króciutkich, rozchylających się przy lada poruszeniu kaftaników, wyglądały im co chwila nagie, młode piersi. Usługiwały klęcząc, podawały z ręcznie po-

trawy, przynoszone przez posługaczy, a przede wszystkim pilnowały, aby wciąż były pełne małe czarki srebrne do grzanej wódki ryżowej. Pojawiały się niebawem i europejskie kieliszki; wino zamorskie polało się strugą, wreszcie strzeliły korki szampana. Gwar głosów rozbrzmiewał coraz weselej i huczniej, śmiech dziewcząt przecinał go coraz częściej srebrnymi błyskawicami.

Zapach wina, grzanej »suli«, podobnej do rumu, drogiego tytoniu, ostrych przypraw korzennych, mieszał się z perfumami kobiet, z leśnym aromatem drogocennej żywicy, rzucanej od czasu do czasu na węgle, tlejące w rzeźbionych kadzielnicach brązowych; jednocześnie ciepła noc letnia wlewała przez nieodmknięte ściany omdlewającą woń glicynii i magnolii.

Gospodarz tak posadził swych gości, że prawie każdy z europejczyków miał koło siebie krajowca, znającego jeden z zamorskich języków. Prócz tego sam wciąż krążył wśród zebranych, ożywiając żartobliwą uwagą lub uprzejmym poczęstunkiem zamierającą wesołość. Panowie z Zachodu puszczali się przez pośredników w coraz ryzykowniejsze żarty z dziewczętami.

Posępny globtrotter, nie mogąc dłużej usiedzieć na klęczkach, wyciągnął się na ziemi, jak długi i gestem zapraszał usługującą mu tancerkę, by uczyniła obok to samo.

Dziewczyna śmiała się figlarnie i trzęsła przecząco głową.

— Ta ciepła podłoga strasznie odurza!... — skarżył się w głos podróżnik.

— O, tak! — zaśniał się d'Artagnon. — Cała sala wydaje się ogromnem łóżem.

On również wyciągnął się na matach i rozpiął kamizelkę. Krajowcy śmiali się wyrozumiale z takiego naruszenia obyczajów i grzecznie robili miejsce ich długim nogom i kanciastym kolanom.

— Ee! Aby siedzieć po korejsku, trzeba przyzwyczaić się od dzieciństwa... Podobnie my czujemy zmęczenie, kiedy długo siedzimy na krzesłach!...

Na dany przez gospodarza znak, służba znikła, z uczującymi zostały tylko tancerki.

Podpiły księżę głaskał i pieścił nagie piersi swojej towarzyszki, ale rozmarzone oczy jego biegły na koniec rzędu biesiadników, gdzie przebiegły Kim-ok-kium posadził Ol-soni naprzeciw umiającego po korejsku, Artona.

Uroda i wdzięk dziewczyny odrazu wywarły na Yankesie wrażenie, a nęcący uśmiech w połączeniu z agatowym chłodem szeroko otwartych oczu, drażnił go coraz więcej. Daremnie próbował to dowcipnymi lub tłustymi żartami rozbić mur, jaki tancerka wciąż zręcznie stawiała między nim i sobą, daremnie próbował dotknąć jej policzków, ramion lub piersi, gdy wyciągała ku

niemu ręce z napojem lub potrawami. Z nieporównanym wdziękiem usuwała się od drapieżnych palców mężczyzny, z niezmaconą wesołością obracała w żart grubiaństwo białego. Krajowcy z wzrastającym zajęciem i zadowoleniem słuchali iskrzącego pojedynku ich dowcipów.

— Istotnie jestem żonaty, ale my żenimy się z żonami, aby kochać się w tancerkach! — powtarzał amerykanin utarty frazes korejski.

— Ale czy tancerki zawsze kochają was?

— To zależy przeważnie... od brzęku złota!

— W takim razie pocóż szukać bicia serca, dość potrząsnąć sobie nad uchem sakiewką!...

— Zaśpiewaj, Ol-soni! Księżę prosi!... — zwrócił się do niej gospodarz. — Przynieście cytrę i rozsuniecie ścianę, niech wpłynie świeże powietrze!

Orzeźwiająca woń ogrodu przepłynęła falą po sali. Przed tancerką położono długą cytrę rzeźbioną i wykładaną masą perłową. Stroiła struny i spoglądała w zadumie na otwartą głębię ogrodu, gdzie w poświacie miesięcznej drgał drobnymi łuskami srebrny stawek, gdzie wietrzyk kołysał kędziory liści obrzeżonych perłowym blaskiem, gdzie na rabatach spały kwiaty, pochyliwszy blade kielichy.

...»Dla was śpiewać będę, towarzyszki:

rozpoczęła, biorąc akord cichy.

Dusza moja porzuca świat niewoli...

Ciało tylko zostaje w poddaństwie...

»Minęłam już strażników podziemi z głową końską
i głową wołową...

»Stoję przed dziesięciu sędziami ksiąg żywota...

»O, uczynicie mię w przyszłym odrodzeniu najlichszym
robaczkiem, byle nie kobietą...

»W bólach poczęła mię matka, powiła w męczarniach...

»Karmiła mię mlekiem mieszanym ze łzami; ojciec
i krewni spoglądali na mnie niechętnie...

»Sprzedano mię wcześniej, niż umiałam wymówić:
niewola...

»Handlarz pilnie upiększał me ciało, kształcił głos,
zbogacał umysł. Wieszał na mnie ozdoby, jak wiesza się
rzeczy na kołku...

»Poznałam słowa miłości i myśli bohaterskie...

»Kiedym była świeża i giętka, jak gałązka na wio-
sne, sprzedano mię sprosnemu starcowi...

»W objęcia me stęsknione do miłości co noc wdzie-
rały się wstrętne, nienawistne cielska...

»Biliście mię, gdy nie rozchylałam dla was stulonych
odrazą warg, jako pęk róży...

»Dreźyliście mię, gdy niezwalczona, silniejsza od
bólów żaloba zaćmiewała wesołość mą.

»Daremnie w chwili skonu prosiły o kroplę wody
spieczone wargi me, te wargi, z których gwałtem spijano
co dzień rozkosz i codzień wlewano w nie przemocą
trunek...

»Byłam dla was mniej niż cień, mniej niż nika
chwilka...

»Nie miałam ani własnego ciała, ani własnej duszy...

»Gdy teraz umarła spoglądam za siebie, widzę, jak
cmentarnicy niosą mego trupa, odarłszy go bezwstydnie
z upiększeń i odzieży...

»Nie zakopano go nawet do dołu, lecz rzucono w polu,
pokrywwszy zaledwie szmatą przegnilej rogoży!

Czarne me włosy rozsypały się po zbrukanej ziemi,
czerwone, haftowane trzewiczki wystają bezwładnie z pod
 cuchnącego lachmana; rozkrzyżowały się przyuczone do
uścisku ramiona...

»Dziobą kruki me oczy otwarte, szarpią psy moje piersi pieszczone...«

Niby kłosy, owiane nagłym podmuchem, pochyliły tancerki poblądłe twarze ku śpiewaczce.

Zmieszany Kim-ok-kium mierzył ją złemi oczyma. Księżę zwrócił się ku niej całym ciałem, w oczach miał łzy.

— Za daleko zajdzie! — przeleciało jak błyskawica przez głowę Kim-ok-kiuma i ogarnął go poważny niepokój.

— Miały być tańce! — mruknął, ziewając, globtrotter.

— Istotnie, kochany Kim-ok-kiumie, kazałbys zatańczyć coś... wesolutkiego! — zawołał głośno d'Artagnon, który również się nudził, gdyż nie nie rozumiał.

— Będzie, wszystko będzie!... Noc długa... — śmiał się gospodarz, przepelzając obok księcia.

Niepostrzeżenie pojawili się muzykanci; cała orkiestra z bębnami, kobzami, skrzypcami, wielkimi tam-tamami i usiedli w przeciwnym końcu sali pod ścianą.

Tancerki znikły, ale w sąsiedniej ubieralni słyhać było ich głosy i śmiechy, szum jedwabiu oraz ostrożne postukiwanie kastaniet. Po niejakiem czasie wyszły stamtąd cztery dziewczyny, ubrane w pyszne barwne stroje, bogato haftowane i upiękzone złotem, srebrem, paciorkami.

Stały nieruchomo w czterech rogach w jednakowych pozach.

Jednocześnie dwie pozostałe, w białych, powłoczystych szatach, zaczęły niezmiernie wolno potoczyste ruchy w takt muzyki.

Był to taniec pięknych, ruchomych posągów z białego marmuru. Cztery barwne postacie zastygły po rogach, wydawały się wielkimi kwiatami, tryskającymi z posadzki. Co jakiś czas zgodnie, w jednym oka mgnieniu, zmieniały swe pozy, zmieniały barwy i kształty.

Krajowcy z lubością przyglądali się czarującemu widowisku, gdzie każdy gest miał ukryte znaczenie. Nawet europejczycy zdradzali z początku zaciekawienie, ale widowisko trwało dla nich zbyt długo, muzyka wydawała się wrzaskliwą i niezrozumiałą.

— Co to za Wschód! Taki Wschód widywałem w Paryżu i wiedeńskim Überbretl... Nawet lepszy!... Zwykła pantomina z muzyką... — gadał dość głośno globtrotter, zwracając się do Francuza.

— Zapewne, że trochę za długo i trochę za wolno! — odrzekł ten. — Ale przyzna pan, że tworzy to dość ładne tło spokoju i powagi dla następujących potem ogniowych i zmysłowych rozkoszy... Korejczycy, o ile uważałem, czynią to z rozmysłem. Niech pan uzbroi się w cierpliwość, one przyjdą, znam Kim-ok-kium'a. Jest ich wiel-

kim miłośnikiem i domyślam się, że gotuje nam dziś coś nowego. Zauważył pan tę ładną tancerkę, co śpiewała, to nowa gwiazda, nie spotykałem jej przedtem...

Wśród tańczących nastąpił nagły ruch, cztery barwne figury zmieniły miejsca, utworzyły pośrodku kolorowy rząd, na którego tle białe widma przepływały z wzniesionemi rękami. Poczem znów rozbiegły się tancerki po czterech rogach, aż wreszcie białe widma zamarły bez ruchu pośrodku a wesołe, kolorowe dziewczęta otoczyły je ruchliwym, motyli korowodem.

Niespodzianie, w pół taktu zagrzmiął tam-tam, tancerki skłoniły się nisko do ziemi i znikły. Nastąpiła przerwa, podczas której podawano herbatę, ciasta, owoce, napoje. Tancerki śpiewały na żądanie wesołe, powszechnie znane piosenki, wtórując sobie na gitarach.

Piękny, piersiowy głos Ol-soni przebijał się w chórze, jak przebija aksamit z pod cienkiej koronki. Następny taniec miał tempo żywsze, chwilami hulaszce. Znów powietrze sali zatruwał zapach grzanej wódki ryżowej, win europejskich, przypraw korzennych, kwiatów wędnących i spalonych wonności. Goście niechętnie puszczali od siebie tancerki i Kim-ok-kium posłał po nowy ich zastęp.

Podczas gdy dwie z nich odgrywały zabawną pantominę, opiewając w wierszowanych strofach

przygody dwóch dziewcząt zbłąkanych w lesie, inne bawiły ucztujących, odpowiadając na ich natarczywe zaloty spojrzaniem, uśmiechem, zręcznem słówkiem.

Koło biesiadników rozbiło się na małe kółka kobiet i mężczyzn, prowadzących ciche rozmowy i wybuchających głośnym śmiechem. — Drżąca muzyka gitar, śpiew, to milknący, to wznoszący się na nowo, szmer głosów nabrzmiałych weselem, tłumioną żądzą lub figlarną, odmowną przekorą, wypełniały salę zawrotnym wirem. Oczy mężczyzn i kobiet płonęły, na policzki ich wybiły rumieńce, otwarte usta schły, jak płatki kwiatów w spiekotę.

Kim-ok-kium kiwnął na starszą tancerkę i szepnął jej coś, poczem ta podeszła i powiedziała słów kilka do Ol-soni, rozmawiającej z księciem. Dziewczyna potrząsa przecząco głową, ale gdy poprzednia towarzyszka księcia zajęła jej miejsce, odeszła niepostrzeżenie do sąsiedniego pokoju. Długo jej widać nie było. Kim-ok-kium niecierpliwił się.

— Ona nie chce... Ona mówi, że jest... wykupiona, że jej tańca tego tańczyć nie wolno!... — przekładała mu starsza tancerka, wezwana ponownie.

— Musi, powiedz jej, że musi!

— Ależ, wielmożny Panie, ten taniec isto-

tnie... Ona, wielmożny Panie!... Ona dwa lata już, jak jest wykupiona... przez syna wielmożnego Pana...

— Co?!...

— ...i powiada, że będzie tańczyć jedynie... na osobisty i wyraźny... rozkaz Pana!...

Kim-ok-kium po krótkim namyśle sam udał się do garderoby, gdzie wśród rozrzuconych sukien, kwiatów i płatów jedwabiu, stała oparta o ścianę Ol-soni.

— Czy Wielmożny Pan doprawdy życzy sobie, abym tańczyła ten taniec?

— Musisz tańczyć! Poto tylko zostałeś tu wezwana...

Bolesny skurcz przeleciał jej koło ust.

— Już od dwóch lat nie tańczę tego tańca...

— Żadnych nie przyjmuję wymówek. Powiedziałem ci, że musisz... Rozkazuję!...

W jego gniewnem, surowem spojrzeniu dostrzegła błyski innych drogich oczu i opuściła głowę. — Była tak piękną w swym smutku, że wyraz twarzy Kim-ok-kium'a zmieknął cokolwiek. Lecz nie zmienił żądań; natychmiast odwrócił się i wyszedł.

— Co się stało? Gdzie Ol soni? — pytali goście.

— Ol-soni zaraz będzie tańczyć Dżon-kii-no! — odrzekł wesoło gospodarz.

— Ach, Dżon-kii-no!... Cudownie!

Dżon-kii-no!

Dżon-kii-no!

śpiewali, klaszcząc w ręce, podochocony d'Artagnon i rozweselony globtrotter.

— Nowy taniec! — szepnął księciu siedzący poza nim dworzanin.

— Ee! — odrzekł ten z łagodnym uśmiechem.

Oswiałe, zmęczone tancerki znowu rozruszały się, ożyły i zajęły porządkowaniem sali. Postawiły pośrodku w kwadrat cztery wysokie, bronzowe świeczniki z grubemi, jak pochodnie, czerwonymi świecami, wyrównały maty, poczem znikły i pojawiły się po jakimś czasie. Weszły jedna za drugą, ukłękły, oddały czołobitny ukłon i utworzyły wśród płonących świeczników luźne, barwne koło. Muzyka zagrała cichy, skoczny płas. We drzwiach ukazała się Ol-soni, przebrana za gejszę japońską, w szarej, wytwornej sukni jedwabnej do ziemi, przepasanej jaskrawym »obi«, z drogim, białym wachlarzem w rękę i ślicznymi białymi kwiatami we włosach.

Ukłękła w wieniec towarzyszek i oddała niski, do samej ziemi ukłon obecnym. Następnie uniosła się ruchem motyla i wolniuchnymi, drobnymi krokami do taktu muzyki, otwierając od czasu do czasu wachlarz, obeszła stojące w kole towarzyski.

Dżonka, dżonka
Wzdęte żagle
Ma

Zaśpiewała cicho i spokojnie:

Dżon-kii-no, Dżon-kii-no!
Naga-sa-ki! Joko-ga-ma
Kobe! — Maru!
Cho!

Odpowiedziały chórem tancerki, kołysząc się
i okręcając na miejscu.

U tej dżonki
Półokragłe
Dno!

Dżon-kii-no! Dżon-kii-no!
Naga-saki! Joko-ga-ma
Kobe! — Maru!
Cho!

Odpowiedziały tancerki, robiąc żwawsze ruchy i wyrazistsze gesty.

Ciepłe fale
Porze dżonki
Dziób!

Dżon-kii-no! Dżon-kii-no!...

Muzyka stawała się coraz głośniejszą, śpiew i płasy coraz szybsze i namiętniejsze. Wielu z mężczyzn zerwało się i podszedłszy do tancererek, klaskało do taktu w dłonie... Monsieur d'Artagnon nawet wmieszał się rezolutnie w ich grono. Jeden księżę pozostał na miejscu, pochylił się

jeno naprzód i oczów nie spuszczał z Ol-soni. Dziewczyzna niezmiernie skromna i wdzięczna, zdawała się nie rozumieć, co śpiewa. Gdy w kole jej towarzyszek coraz gwałtowniej wrzały hulaszcze okrzyki, gdy sploty kobiet i mężczyzn stawały się coraz wyuzdańsze, ona z zupełnym spokojem śpiewała:

A więc zrzucam
Mój jedwabny
Pas!...

Rozwiązała swe szkarłatne »obi« i odrzuciła za siebie.

I tak za każdą zwrotką, sztuka po sztuce zwlekała z siebie odzież, pozostając spokojną i uśmiechniętą wśród wieńca rozpasanych towarzyszek.

A miała na sobie kilka szat, wszystkie długie, wszystkie na piersiach rozcięte a coraz piękniejsze, barwniejsze i droższe, im były bliższe ciała.

Wreszcie została w szacie koloru słonecznego dnia, całej zahaftowanej ślicznymi kwiatami, motylami i ptakami, jak cudny krajobraz Japonii...

Wzruszenie odbiło się na twarzy tancerki. Członki jej to mdlały w chwilowym bezruchu, to przeżyły i trzepotały się, jak krzak leszczyny, owiany podmuchem nadlatującej burzy... Szata spadła, zgasło światło elektryczne. W czerwonym

blasku, podobnych do pochodni, świec, płynął w płasach przejrzysty obłok różowego giezła tancerki, w którym niby płomień świeciło blade i smukłe jej ciało.

Potężne uderzenie ganga urwało muzykę, tancerka odrzuciła w tył ramiona i głowę i... zamarła... Jedwabie spłynęły z niej, jak woda.

Chwilę stała tak wygięta, jasna, wiotka, jak sierp miesiąca. Jej rozrzucone, drgające ręce obejmowały słup nikłego powietrza i tulily go łagodnie ku wzdętym piersiom, białym, okrągłym, jak para śpiących, zwiniętych, różowo-dziobych gołębi. Wtem stulone kolana tancerki drgnęły, ugięły się i padła twarzą na ziemię, jak kiść strząśniętego jaśminu.

Gdy w chwilę potem znów zajaśniało światło elektryczne, już nie było tancerki; zato z otwartych drzwi wysunął się szereg wiotkich, wytwornych niewieścich postaci w powłóczystych szatach, niosąc nowe potrawy i napoje...

VI. NIEWOLNIK.

— Nie nie znalazłem!... Nigdzie ani śladu!... — szepnął tajemniczo Kim-bo-remi pewnego poranku, odciągając na stronę Kim-ki'ego.

Młodzieniec pobałdł.

— A więc żadnej, żadnej nadziei?... Co mam czynić?!

— Nie wiem. Napisz do stryja!...

— Do stryja? Chyba sam pójdę do niego!? Zresztą to nie pomoże! On wyprze się, on wsadzi mię do więzienia... on oskarży mię o fałszerstwo, ale ziemi nie odda... On mówił mi przecie, że to jego ziemia. Kim-ho-du-ri powiedział, że takie sprawy zawsze się tak kończą, że on ich zna bez liku i nie radził zjawiać się w miejscowościach, do których sięga ramię mego stryja.. A ziemia moja właśnie w tej znajduje się miejscowości... Nie mi nie pozostało, nie!... Nie będę już człowiekiem!...

W oczach i głosie chłopca malowała się szczerza rozpacz.

— Młody jesteś... Nie wydawaj na siebie wyroków przed czasem...

— Już wydał go na mnie... brat mego ojca! Wychowano mię, jak dziecko z bogatego domu!... Nie nie umiem, do niczego nie jestem zdatny. Przeklinanym przez wszystkich muń-gukiem... nie zostanę!... Wolę śmierć!...

Kim-bo-remi spojrział nań ze współczuciem.

— Poco masz zostawać muń-gukiem?.. W Seulu dużo jest rozmaitych ludzi... Wybierzesz sobie zajęcie...

— Utracę szlachectwo. A wtedy nigdy już nie odzyskam ziemi... Tego pewnie chce mój stryj...

— To prawda! — odrzekł z namysłem sekretarz. — Żał mi cię. Stryj postąpił z tobą niegodziwie. Wprost kiedy o tem myślę, wrząca krew zalewa mi ciemię... Jeden tylko w Seulu człowiek mógłby ci pomódz, ale nie mam do niego dostępu... Jest nim Kim-non-czi, syn naszego Pana, obrońca pokrzywdzonych...

Kim-ki w zamyśleniu gładził brodę; wiedział już coś nie coś o stosunkach ojca i syna i rozumiał, że Kim-bo-remi nawet za wypowiedzianą przed chwilą radę mógł utracić miejsce.

— Słuchaj! — szepnął jeszcze ciszej sekretarz. — Dam ci radę: Poproś Kim-ho-duri, aby

zaprowadził cię do Ol soni. On tam bywa, on zna wszystkie tancerki. Udać zakochanego w Ol soni. Tam możesz spotkać Kim-non-czi. Tylko nie zdradź się, że polujesz na niego. Nie dopuszczają cię. W dodatku szpiegzy dadzą o tem znać Kim-ok-kium'owi i stracisz u nas przytułek. Masz trochę pieniędzy, więc udawaj najlepiej hulakę, miłośnika kisań. Nie żałuj strat. Jeżeli powiedzie ci się pozyskać Kim-non-czi i on zechce cię wybawić, to cię wybawi...

Ponieważ dworzanie zaczęli napływać na podwórko, Kim-bo-remi wszczął głośno dysputę o »czterech wysokich zasadach«. Ukazał się i gruby Kim-ho-du-ri i krzykliwym głosem sywał żarty na prawo i lewo. Kim-ki kręcił się koło niego nieśmiało.

— Cóż porabia twój stryjasek? Czy nie kazał ci czasem zapłacić wszystkich moich długów?

— Daj mu pokój, Kim-ho!... Biedaczysko co dzień trzy razy umiera ze smutku... Lepiejbyś go zapoznał z wesołością życia... Mówiłem mu, że nikt tego nie robi lepiej od ciebie!... — wtrącił od niechcenia Kim-bo-remi. Kim-ki uśmiechał się potulnie. Kim-ho-du-ri wydał wargę.

— Ten snop ryżowy?!... Albo on się na czem zna, ten wieśniak... A głównie...

Umilkł i przymrużył przebiegle powiekę.

— Zobaczmy! — mruknął.

Na werandzie ukazał się minister i wszyscy

pospieszyli w tę stronę. Rozumie się, że Kim-ho-duri przepchnął się na pierwsze miejsce.

Położenie Kim-ki na dworze Kim-ok-kiuma było dość przykre. Młodzieniec nie potrafił stać się użytecznym patronowi, nie pchał się w pierwsze szeregi, nie łowił spojrzeń i uśmiechów osób w domu wpływowych, nie umiał wtrącać zręcznych pochlebstw i uwag do ogólnej rozmowy, ani znosić i opowiadać plotek; gdy zamierzał przysłużyć się czemś panu, n. p. podać mu książkę, nałożyć fajeczkę, zawołać palankin, zawsze go inni wyprzedzali. Zwolna Kim-ki z wiernym swym Chakki znaleźli się na szarym końcu zgromadzeń; Kim-ok-kium rychło zapominał o nich; inni domownicy umyślnie ich omijali. Porcy ryżu i wloszczyzny, przysyłane z kuchni, malały z dnia na dzień i być może, że zupełnieby się urwały, gdyby nie stary niewolnik, który jak lew bronił praw swego pana, przyznanych mu przez Kim-ok-kiuma, naczelnika i opiekuna wszystkich Kimów. Ratowała ich cokolwiek życzliwość Kim-bo-remi. Ale sekretarz sam musiał się pilnie wystrzegać cienia plotek i podejrzeń, gdyż na jego posadę i skromne dochody czyhały nieustannie setki cheiwych, udręczonych przez nędzę istot. Kim-ki spędzał czas bardzo jednostajnie i nudno. Chodził całymi dniami po mieście bez celu i potrzeby, wysiadywał na dziedzińcu na słońcu lub przed bramą, gawędząc o błahych, marnych wy-

padkach z najbliższego otoczenia. Czasami, niby daleki grzmot, przetoczyło się echo dworskiej intrygi lub rozchodziły się głuche wieści o wybuchłych w dalekich prowincjach rozruchach. Co Kim-ki'ego, młodego nędzarza, mogły te rzeczy obchodzić? Nie miał ochoty do żadnej pracy, nie budował żadnych planów, czuł się zgniecionym przez niesprawiedliwość ludzi i losu i jedynie myśl o własnej krzywdzie napełniała chwilami serce jego ogniem palącym. Ale co czynić?! Po wielokrotnych rozmowach z Kim-bo-remi utracił resztki nadziei w pomyślnie i pokojowe rozwiązanie swej sprawy. Sekretarz wskazywał wprawdzie drogę do walki, lecz łagodna, marząca, wychowana w dostatku dusza Kim-ki'ego czuła nie mniejszy wstręt do walki, niż do pracy. Czuł, że na całym świecie miał jedną duszę wierną i życzliwą, Chakki'ego i z nim jednym dzielił się swymi smutkami i projektami.

Chakki, który od niejakiego czasu na swoją rękę przedsiębrał na miasto tajemnicze wycieczki, zjawił się raz wieczorem i, posławszy panu pościel w komóreczce, przeznaczonej im na mieszkanie, rozwinął obok i swoją prostą matę sito-wianą.

— Co słyhać, stary, w mieście? Wiesz, że Kim-bo-remi nie znalazł?! — spytał go wreszcie zniecierpliwiony milczeniem młodzieniec.

— A wiem. Zresztą, co z tego, choćby

znalazi? Co znaczy kwit dla wielkiego pana?! Więcej znaczy dla nas jego uśmiech... Ty, panie, jako wnuk wielkiego wojownika, nie możesz ubiegać się o względy rozmaitych przybłędów, lecz Kim-ok-kium ma względem ciebie obowiązki. Jest naczelnikiem naszego rodu, krwią krwi naszej... Powinien cię uszanować!... Ród wzrasta w siłę przez swe znakomitości, twój ojciec był znakomitym człowiekiem!

— Kim-bo-remi radził jednak zwrócić się do stryja. Twierdzi, że Kim-ok-kium nic dla nas nie uczyni...

— Niechby Kim-ok-kium napisał list do stryja!... Co znaczy dla takiego wielkiego pana króciutki list!... Cała sprawa skończyłaby się odrazu...

— Kim-bo-remi powiada, że daremne próby, że Kim-ok-kium takiego listu nie wyśle...

— Dlaczego? Czyż nie stała ci się krzywda? Czyż nie jest obowiązany bronić każdego z Kimów?

— Mój stryj jest też Kimem. Jest wpływowym i ważnym Kimem a ja jestem biednym Kimem...

Chakki zamyślił się i westchnął.

— To prawda, ale jesteś wnukiem naczelnika, wojownika, synem gubernatora a Kim-juń-sik jest zaledwie naczelnikiem powiatu...

— Kim-bo-remi radził lepiej zwrócić się do... Kim-non-cz'ego. Co myślisz o tem, stary?

Chakki aż przysiadł na pościeli.
— Co? Do Kim-non-czi'ego?! Gorszyciela bratającego się z rzeźnikami, szewcami, z aktorami i innym motłochem?!... Do bezwstydnika, żywiącego się mlekiem krwią?!... Do wichrzyciela, żądającego otwarcia granicy dla cudzoziemców?!... Do lekkomyślnego stronnika przebiegłej Japonii? Nie, panie, lepiej wyprowadź starego Chakki na rynek i sprzedaj zdzieraczowi skóry bydłęcej lub koszykarzowi, niżli masz znieść takie poniżenie twego starodawnego imienia!... Twój ojciec nieboszyk w grobieby się przewrócił!...

— Milez, stary! Nic o tem nie wiedziałem!... Niema więc o czem gadać... Trzeba będzie wyzrec się majątku, gdyż powiadają, że Kim-non-czi jest jedyną ucieczką i nadzieją słabych... Co zaś do sprzedaży ciebie, Chakki, to mi tego nigdy nie powtarzaj! Prawda, źle ci jest u takiego pana, jak ja, jedzenie liche i skąpe, kąć ciemny i brudny, ale porzucisz mię wtedy, kiedy sam zechcesz... Wtedy zostanę sam, sam jeden... Nie będę choć widział, jak się poniewierają kości mego starego piastuna... Ach, stary, a takem cieszył się, że będziemy tu żyli, jak króle... Sto phunów dziennie!... Słyszysz, sto phunów dziennie!... A potem zdałbym egzamin, dostał urząd i zrobił cię głównym zarządcą całego mego majątku... Cóż robić? stało się inaczej. Ludzie są jak poszukiwacze żen-szenia!...

Wzruszony Kim-ki również przysiadł na poscieli, niewolnik przyczołgał się do niego i pieszcząc go zgrzybiałymi rękami, szeptał:

— Nie płacz, dziecko! Stary Chakki przypomni stare czasy, przywdzieje pudło z papierosami i słodyczami i pójdzie błąkać się po ulicach stolicy... Może to dać niezły dochód... Sprzedając co dzień towaru za jena, można otrzymać dziesięć phunów zysku... Dobrze i to: mieszkanie i jedzenie tymczasem mamy, a może się coś trafi... Szcęście błąka się po ulicach i rzadko samo do domów zagląda... Aby tylko nie zejść ze ścieżki wskazanej przez mędrców i stare obyczaje, aby cierpliwie wytrwać, a Niebo wynagrodzi stałość... Młody jesteś, panie mój, możesz jeszcze zostać ministrem...

Obliczali następnie swe zasoby pieniężne i planowali rozmaite handlowe przedsiębiorstwa... Rozumie się, że wypełniać je mógł jedynie Chakki, gdyż godność szlacheica i nadzieja urzędu nie pozwalały młodemu Kim-ki marzyć o czemś podobnem... Chakki nie dopuszczał podobnych projektów nawet pod rozważę.

— Nigdy nie pozwolę, póki żyję, aby dziecko mego pana doszło do takiego poniżenia...

Położyli się wreszcie pełni otuchy i rozmaitych planów. Niedługo wszakże Kim ki zerwał się i zawałał na niewolnika:

— Chakki, czy śpisz już?

— Nie, albo co?

— Widzisz, Kim-bo-remi mówił mi, że nie potrzebuję, nawet nie powinienem wprost udawać się do Kim-non-czi'ego, że należało zrobić to przez tancerkę, Ol-soni, bardzo ładną kobietę, o której wszyscy tu mówią w Seulu i która ma łaski nawet u księcia Ni-szon-gi'ego...

— Nie, panie, nie należy czynić tego i przez tancerkę! — odpowiedział sennym głosem Chakki.

VII. TANCERKA I RYCERZ.

Nastaly dnie Wielkiego Gorąca, kiedy białą ogień leje się z nieba jak rzęsimy deszcz i w południe znika cień przedmiotów. Wiatry latały po szczytach gór, widać było, jak tam trzęsły się drzewa i trawy, lecz najłżejszy podmuch nie poruszał powietrza, zastalego u rozpalonej ziemi. Skoro tylko z poza splekanych wiszarów wypływało słońce, przeraźliwe światło i zataęchły skwar wypełniały dolinę po wręby. Szaro-białe miasto, przywarte do dna, rozpuszczało się w nich, jak garść rudawego cukru trzcinowego w misie ukropu. Dymy kuchen, uliczny kurz, wzniesiony nogami przechodniów i jucznych zwierząt, ledwie cokolwiek opadłe przez noc, znowu wznosiły się powyżej szczytów domostw, jak brudny męt. Kto, mógł, nie wychodził wśród dnia z dusznych, ale zacienionych mieszkań, życie wypływało na ulice jedynie wczesnym rankiem i w nocy. Zabagnione

zgnilizną miejską płuca istot żywych, ich członki, nie obsychające nawet w nocy ze znoju, tęskniły do pól nad czystymi wodami, do lasów, gdzie szeleszczą zielone liście, wydychając chłodną wilgoć.

Co dnia o brzasku Chakki wkładał na piersi swe pudło z łakociami i ruszał na targ, a Kim-ki chował do rękawa książkę oraz kawał placka, wsiadał do tramwaju i jechał za Bramę Wschodnią, jechał na końcowy przystanek, który obstepują kędzierzawe lasy, gęsto przetykane ciemnymi igłami sosen. Był to las sztucznie sadzony dokoła »Mogiły królowej«, park zdziczały, nieprzebyty, spleatany, jak knieja, pełen zazdrośnie ukrytych polanek, tajemnych źródlisk i oparzelisk zwodniczych. Młodzieniec chciał choć pozornie poczuć się w górach ojczystych. Wybierał więc ścieżki co najgłuchsze i najwęższe, gdzie w łuk wygięte pręty leszczyny i dereniu, gdzie czochrate gałązeczki młodych lip, klonów, brzoź złotych i tęgiego dębniaka, gdzie festony powojów, dzikiego wina, bluszczów i pnący różanych, ledwie pozwalały przecisnąć się przez wąską szelinę zarośli tygrysowi lub dziecku.

Gdy darł się przez te półciemne korytarzyki, gdy wdychał drażniący zapach żywicy, zmieszany z aromatem gnijącego w cieniu listowia, podobnym do zapachu wina, wydawało mu się, że znowu jest dzieckiem, że nie potrzebuje myśleć o jutrze,

o egzaminach, dochodach i długach. Wypełznawszy na zaciszną łączkę, kładł się zwykle między trawy i kwiaty i wpierał oczy w książkę. Częściej wszakże, zwrócony twarzą ku niebu, przysłuchiwał się chórom koników polnych lub gwizdaniu ptaków, ledwie potrącających bezmiar wiszącej dokoła ciszy.

Często w takich chwilach rozmyślał o tem, dlaczego człowiek został skazany na wieczne poszukiwanie pożywienia i wieczną tęsknotę miłości? Dlaczego ludzie nie są raczej podobni do widm świetlanych, błędzących wśród wiecznie kwitnących ogrodów, w oczekiwaniu, aż znów wrócą ku nim ledwie co wyczerpane pragnienia pieśczęt i uścisków...

— Tak żyją pewnie monarchowie! — mówił, siląc się przedstawić sobie, co dzieje się za wysokimi, szarymi murami seulskiego pałacu... Trzysta najpiękniejszych w kraju dziewcząt w ślicznych ubiorach!...

Gdy raz z zamkniętymi oczyma ścigał takie niedosięgle widziadła, rozchyliły się cicho gałązki i wyjrzała z nich uroczą twarz młodej kobiety. Agatowe oczy jej badały przenikliwie na polance zioła i trawy, których już cały pęk trzymała w lewej dłoni. Wtem spostrzegła młodzieńca, oczy ich skrzyżowały się, poczem zawstydzona i zmieszana cofnęła się i znikła w gęstwinie, jak biały obłoczek.

Kim-ki usiadł, niedaleko słyhać było głosy

i trzask badyli, łamanych ciężką stopą męską. Widocznie tamtędy w pobliżu przechodziła nieznana mu droga. Zerwał się i ostrożnie podążył w tę stronę. Wkrótce wyszedł na dość szeroką, ale gęsto trawą zarosłą aleję, tuż za okrągłym pagórkiem Mogiły królewskiej. W dali dostrzegł lektykę i domyślił się, że to uchodzi piękna nieznajoma.

Śledzić młode kobiety w Państwie Cichego Poranku, nie należy do rzeczy bezpiecznych. Mimo to Kim-ki poszedł za nimi w oddali, poszedł do samego miasta, choć towarzyszący lektyce chmurny, dziobaty mężczyzna, kilkakrotnie groźnie się ku niemu obracał.

W bramie miejskiej dowiedział się, że to lektyka Ol-soni, najpiękniejszej z niewolnic.

Od dnia tego wszystko się zmieniło; ogarnęło go znowu pragnienie sławy, odznaczeń, bogactwa, paliła go znowu chęć czynu i pracy. Zasiadł w domu, zabrał się do podręczników ku wielkiej radości wiernego Chakki. Ale nauka szła mu jak z kamienia. Najczęściej w nieobecności niewolnika wyciągał z ukrycia swój maluchny skarb i liczył srebrne monety. Skarb malał, gdyż choć Chakki przynosił od czasu do czasu trochę zarobionych miedziaków, zawsze nie było ich tyle, aby nie potrzebowali dokładać.

Zresztą pieniędzy mieli na ogół tak mało, że marzyć o kupieniu za nie urzędu śmieszna

wydało się rzeczą. Nie starczyłoby ich nawet na opłacenie egzaminów. A co mu z dyplomu, jeśli nie uzyska posady?!

— Czy nie lepiej stracić je wszystkie odrazu, teraz; spróbować szczęścia, poznać życie wesołe i rozkoszne, dopókim młody?! — rozmyślał, przezucając srebro z ręki do ręki.

Imię Ol-soni wypływało przed nim promienne, jak litery z ulicy »Trzech Światłości«... Wspominał słodkie uczucie, jakie ogarnęło go, gdy w szeroko zmieszaniem otwarte jej oczy rzucił przemocą spojrzenie, cisnął gorące, młodzieńcze wyznanie... Zajrzeć tam raz jeszcze, zajrzeć głęboko i... niechby nie odwracała tak pośpiesznie głowy!

— Pójdę, zobaczę... Opowiem jej o moim losie!... Wydała mi się dobrą!... Nie mogę przecie pozostawić bezkarnie mej krzywdy!... Stryj nie nie odpisuje!... Kim non-czi, Kim-non-czi, powiadają, jest jej kochankiem! Ona, niewolnica, miała niejednego kochanka! Ale co on mię obchodzi!.. Zwrócę się do niej, wytłómaczę wszystko... Może ze swej strony ja ją z czasem wybawię! Smutno, że taka śliczna istota musi kochać wroga tronu i ojczyzny!... Zapłacił za nią!... Ach, gdybym miał pieniądze!...

I wyobrażał sobie, że już je ma, że kupuje tancerkę. Ale on chce, żeby ona go naprawdę kochała. Zaklinał ją, wygłaszał tysiące mądrych do-

wodów, wyczytanych w starych księgach, pisał śliczne wiersze...

Wszystko to w myśli szło mu, jak z płatka, ale gdy Kim-ho-du-ri spytał go raz przy okazji: — Cóż, namyśliłeś się, idziesz do Ol-soni, czy nie? — zarumienił się jak zorza i potrząsnął przecząco głową.

— Żałujesz dolara?! Głupcze, jedno spojrzenie jej więcej warte, niż lite srebro, jedno jej słowo więcej waży, niż worek złota. Co znaczy jeden dollar? Sam, nieproszony, dodasz mi drugiego, zobaczysz. Ale śpiesz się, gdyż wkrótce może jej już nikt oglądać nie będzie...

Kim-ki zamyślił się; słyszał już był plotkę na mieście, że tancerkę mają przewieźć do pałacu.

— Dobrze! — rzekł cicho — dam ci... dollara A kiedy?... Czy mogę iść w takim ubraniu?...

Kim-ho-du-ri obejrzał młodzieńca okiem znawcy.

— Zapewne, byłoby lepiej, gdybyś miał kurtę i szarawary z blado-żółtego jedwabiu, a wierzchnie ubranie z błękitnego, lecz... i tak ujdzie... Ol-soni jest dobra i prosta, w pokojach jej zbierają się ludzie rozmaitych stopni...

Dzień cały chodził Kim-ki jak we mgle, szykując się do tej wizyty.

Kim-bo-remi kiwnął mu przy spotkaniu zachęcająco głową.

— Słyszałem, że idziesz!... Idź, idź!... Wierz mi, że on jedynie może ci dopomóc!...

Kim-ki chciał przeczytać, ale bał się, że zdradzi istotne pobudki swej wizyty, mruknął więc jakąś odpowiedź bez sensu i umknął.

Przed wieczorem umył się, przebrał, wetknął za pas nowy kapciuch jedwabny i czekał niecierpliwie na Kim-ho-du-ri...

— Słuchaj, Chakki — tłumaczył się przed wiernym sługą, który, złożywszy w kącie pudło, liczył przy lampie zarobione pieniądze. — Pójdę dziś do pewnej osoby... która pomoże mi... od której zależy los nas obu... Nie będę prosił nikogo, jeżeli prośba będzie uwłaczała mej godności... przecież znasz mię, stary... Ale, doprawdy, nie wiem, dlaczego nie mam opowiedzieć mojej sprawy osobie... ludziom... sprawiedliwym i czułym...

— Więc idziesz do tej... tancerki?!... — zawołał z przerażeniem niewolnik. — Ależ tam gniazdo wichrycyli i bezbożników! Słyszałem dziś na targu, że mają ją wypędzić z miasta... Nie wiesz pewnie o tem, że Kim-ok-kium z powodu tej dziewczki odesłał starą swą żonę z powrotem do krewnych i że ród Miń burzy się z powodu tej nowej obelgi...

— To nie prawda, stary! Ty wiesz, co się dzieje na ulicy, a ja wiem, co się dzieje tutaj!... Pani Miń istotnie wyjechała do rodziny na ży-

czenie zupełnie kogo innego. Wszystko wałą obecnie na biedną Ol-soni!... Proszę cię, stary, nie powtarzaj tych głupstw!...

Przyszedł Kim-ho-du-ri, wypalił fajeczkę i zabrał z sobą młodzieńca. Opuszczony Chakki długo mruczał i wzdychał, przewracając się na swem twardem i zimnem łożu, kłął na czem świat stoi stolicę, tancerki i rozpustnych muń-geków.

Miasto spało, okryte szaro-zielonym muślinem księżycowej nocy. Gdzieś tam migwały rubinowe światełka w szynkowniach i na straganach z żywonością. Klekotały miarowo drewniane gongi stróżów nocnych, kroki i głosy rzadkich przechodniów rozlegały się dobitnie w nocnej ciszy. Nizkie szeregi domów i ścian kładły czarne, strzępiaste cienie na wstęgi pustych ulic, bielejących w poświacie miesięcznej.

Młodzieńcy minęli wysokie, posępne mury królewskiego pałacu, z poza którego wyglądał las drzew szarych i skłębionych, minęli straż pałacową, migającą bagnetami przed wielką trójpręską bramą i, zwróciwszy się w wąską, ciemną uliczkę, zatrzymali się przed małą furtką w starym i napół rozwalonym murze. Pachniało dymem, kurzem i rozgrzaną za dnia gliną.

Kim-ho-du-ri zakolał mocno i w sposób szczególny. Daleko w głębi ozwały się kroki i głosy. Ktoś podszedł do furtki, przyłożył oko do szpary i wyrzekł cicho kilka wyrazów. Kim-

ho-du-ri mu odpowiedział i wtedy dopiero skrzyknęły zasuwy. Gdy wślizgnęli się na podwórze, nieznajomy pośpiesznie zawarł za nimi furkę i wrzeczadze założył. Kim-ki poznał w nim przy blasku księżyca owego dziobatego, chmurnego strażnika Ol-soni.

— Naje-uasso!... (Przychodzę!) Cu-iremi! — powitał go poufale Kim-ho-du-ri.

Cu-iremi zacisnął powitalnie pięści i podniósł je ku głowie.

— Dużo gości?

— Są!... — odrzekł niedbale.

Przeszli obszerne podwórko, zawałone rupieciami, śmieciami, starymi pudłami, przebyli szeregi wewnętrznych dziedzińców, coraz mniejszych, coraz czystszych, aż znaleźli się przed pawilonem, przylegającym jedną stroną do ogródka. Przez małe okna i szpary w drzwiach błyskało z wewnątrz światło i brzmiały głosy.

— Zapłać dollara!... Za siebie... za mnie nie trzeba! Jam tutaj prawie jak domownik! — krzyknął Kim-ho-du-ri towarzyszowi.

Kim-ki podał Cu-iremi przygotowaną monetę.

— Wejdźcie!... — zaprosił ich ten z ukłonem.

— Zdejm obuwie! — szepnął Kim-ho-du-ri.

W głębi pokoju, zamglonego tytuniowym dymem, majaczyły liczne postacie białe odzianych ludzi, siedzących na ziemi. Czarne ich kapelusze, nie drgnęły, ani głowy ich nie zwróciły się w stronę

przybyszów, zdawali się nie nie spostrzegać. Zato klęcząca opodał, pod ścianą przeciwległą, śpiwaczka z gitarą w ręku i białym kwiatem we włosach, ukloniła się im nisko z uprzejmym śmiechem.

Kim-ki siadł pośpiesznie niedaleko ode drzwi. Był zmieszany; oniesmielił go widok pięknej, złocistej maty na podłodze, godnej mieszkania ministra, obecność półki z książkami w rogu, blask ślicznej, starożytnej »cehyn-hami« z europejskim lustrem, stropiły go japońskie kosztowne drobiazgi, para pięknych tuszowych »mulkhari«, wyobrażających pejzaż górski, rzadki kolorowy »kirimi« — jedwabny portret zamyślnego mędrca, wiszące na ścianach. Znał się na komforcie i wcale nie tak wyobrażał sobie mieszkanie niewolnicy-tancerki. Ite to wszystko musiało kosztować i jak bogatym musiał być ten, co za to wszystko płacił? Wszędzie spostrzegał żywe, świeżo ścięte kwiaty: rozwiane maki, delikatne piwonie, nabrzmiałe od gorących promieni słońca wargi strzelistych, wilgotnych irysów. Stały w rogach pokoju, w wazach chińskich i małych wazonikach, pojedynczo, w długich buteleczkach z emalii, przed stolikami gości, wśród ładnych, bladych filiżanek, wśród czarnych i czerwonych lakowych spodeczków z owocami i ciastami, pośród brązowych dzbanuszków i srebrnych czarek.

Kilka razy pochwycił skierowane na siebie uważne i spokojne spojrzenie agatowych oczów

tancerki i to mieszało go ostatecznie. Czuł nie-
skończoną wdzięczność do Kim-ho-du-ri, że go
wziął pod swoją opiekę, że odpowiadał zań słu-
żącym, które pokornie chyląc się, pytały o po-
trawy i napoje. Wkrótce pojawiły się i przed
nim stosy rumianych jabłek, złotych »kaki«, ró-
żowych winogron, słodkich kasztanów i zielonych
pistacyi. Góry pięknie malowanych ciastek i gorzka
herbata japońska, w cieniuchnych, jak skorupa
jajka, filiżaneczkach, dopełniały wstępu tej uczty.

— Jedz, zapłacone! — przynaglał Kimki'ego
Kim-ho-du-ri, sam łączywyie łykając specyały.

Następnie podano im niezbędne gorzkie prze-
kaski, ciepłą suli, wreszcie wniesiono buchający
parą samowarek, pełny gotującej się potrawki
z jarzyn, słodkich owoców i mięsiwa, który osten-
tacyjnie postawiono przed Kim-ki. To dopełniło
miary wrażenia. Wśród wytwornie obojętnych
gości, gwarzących wyłącznie ze sobą i wymie-
niających wesołe zdania ze śpiewaczką, wszczał
się mały ruch i kilku z nich nieznacznie przysu-
nęło się do obficie obstawionych jadłem przy-
byszów.

— Czy już jadłeś swą kaszę, Kim-ho-duri?

— Aha, teraz to mię znacie?! — odpowiadał
wesoło.

— Kto to i skąd? — pytali półgłosem.

— Blizki krewny potężnego Kim-ok-kiuma.
Syn gubernatora i siostrzeniec naczelnika powiatu

Ko-uñ... Student... Przyszła chluba krainy Ci-
chego Poranku... Ma niezmierne posiadłości w oko-
licach Gór Dyamentowych, gdzie kopią złoto
i gdzie w zacisznych dolinach rosną całe lasy
droższego od złota żeń-szenia...

Kim-ki słuchał ze zdumieniem tych słów, ale
płynęły tak szybko, że nie zdążał im zaprzeczać...
Grzana »suli« zrobiła tymczasem swoje, przyje-
mna, marzycielska mgła zasunęła mu myśli... Za-
czywał wierzyć, że niebawem stanie się wszystko,
o czym opowiadał towarzysząc...

— Tak, tak, ziemia nasza nieurodzajna, ale
zawiera ukochane przez cudzoziemców złoto!.. —
gadał ośmielony.

— Postaramy się, aby wszystko ono zostało
na miejscu... — wtrącił ktoś z gości.

— Jak woda do nizin wilgotnych, jak ogień
do miejsc suchych, jak chmury do smoka, a na-
wałnica do tygrysa, jak miliardy myśli do mędrca,
tak my wszyscy dążymy do ciebie, boska Ol-
soni!... — zadeklamował inny.

Tancerka przerwała rozmowę z opartym o ścia-
nę, w jedwab odzianym młodzieńcem i wdzięcz-
nym ruchem przesunęła się do biesiadników, co-
raz ściślejszym wieńcem otaczających przybyłych.
Wielu z nich już jadło z nimi poufale. Rozsunęli
się przed nią. Kim-ki, choć oczy miał opuszczone
i tuman w głowie, odgadł jej bliskość po upaja-
jącym zapachu perfum europejskich, odczuł ją po

dziwnej jasności i słodyczy, które nagle napęłniły mu serce. Szelest jej jedwabnej sukni, opadającej niedaleko na matę, przejął go dreszczem. Podniósł wylekłe źrenice i oko w oko spotkał się znowu z jej dobrem, jakby zasmuconem spojrzeniem.

— Student?... Czy już po egzaminie?

— Ach, nie!... Nie wierz nieskromnym żartom mego towarzysza... Jestem nędzny chłopak z dzikiej okolicy górskiej, gdzie gnieźdzą się tygrysy i psuhan-dongi? (zbóje)...

— A może należysz do klubu tamtejszych myślicieli? — spytała z zaciekawieniem.

— Jestem za ubogi na to...

— Czyż nie dość mieć serce odważne?

— Gdybyż wszystko, czego pragniemy, zależało jedynie od odwagi naszego serca!... — westchnął i śmiałem, pełnem ognia spojrzeniem, ogarnął tancerkę.

Cofnęła się i w zamyśleniu zaczęła nastrojać gitarę.

— Motyle przelatują z kwiatu na kwiat w podmuchu wiosennego wietrzyka!... — zwrócił się do Kim-ki niedawny współbiedniak tancerki.

— Co rok zakwitają te same kwiaty, ale co chwila zmieniają się ci sami ludzie!... — odpowiedział mu zreżnie Kim-ho-du-ri.

— Ee! — potwierdzili zgodnie obecni. — Zdarza się, że i sucha zakwita gałąź, dla czegożby nie miała zakwitnąć młoda?!

— Nie macie mu w głowie... Lepiej posłuchaj mnie, młodzieńcze...

Zreżnie przebiegła długimi palcami po strunach. Umilkli natychmiast.

— Będę śpiewać o »Dziesięciu westchnieniach studenta Jań-sań«..

Wzdychał student, ślęcząc nad księgami,
Smutno żegnał swoją okolicę,
Wzdychał w drodze smagany wichrami
I z westchnieniem powitał stolicę...

Gdy z tancerek wybierał najmłodszą,
Żonie posłał króciuchne westchnienie;
Lecz dziewczyna wydała się słodsza,
Tańczyć, śmiać się mogła na skinienie.

»Jeśli, panie, nie dogodzę Tobie,
»Wybacz, proszę, niemądrej dziewczynie!«
Pod namiotem sypialni, jak w grobie,
Wiele westchnień bez odgłosu ginie!

»Nasza miłość nie będzie chwilowa!
»Zdaj egzamin, zostań dostojnikiem!
»Kto odgadnie, co dlań przyszłość chowa,
»Wszak i cesarz był biednym rolnikiem!...«

Westchnął Jań-sań, gdyż lubił swobodę,
Lubił wino, wesołość i pieśni,
Wolał badać kobietą urodę
Niżli grzebać w starych książkach pieśni...

Czas upływał, znikły srebrne jany;
Rozłączono chłopaka z tancerką...

Kim-ki słuchał i trzeźwiał, świdrująca boleść
przejmowała mu serce. Oczu oderwać nie mógł

od ślicznej, niedostępnej twarzy kobiety... Dopiero, gdy pod koniec pieśni, oczy jej, utkwione we drzwi, rozbłysły nagle niezwykłym szczęściem, nie mógł się wstrzymać i, wbrew obyczajom, obejrzał się za siebie.

Na progu stał rycerz; twarz miał smagłą, bez zarostu, bystre, płomienne oczy, nos prosty z rozdętymi nozdrzami, usta małe i zaciśnięte. Kim-ki poznał go odrazu, choć tym razem miał na sobie nie tygrysią skórę, ale zwykłą odzież osoby z wyższych sfer — szaro-niebieski kontusz jedwabny z szerokimi rękawami a z wierzchu czarny żupan bez rękawów. Na głowie zwykły, okrągły szlachecki cylinder z czarnego włosia, przywiązany pod brodą wstążkami.

— Naje-uasso!

— Cidan-chao! — powitali go wszyscy, wznosząc zaciśnięte pięści ku głowom.

Kim-ho-du-ri pociągnął zmieszanego Kim-ki za rękaw.

— Usunąć się, to on!

— Kto?

— Kim-non-czi!

Kim-ki o mało nie krzyknął.

Oczy przybyłego wyróżniły natychmiast jego młodą, wzruszoną twarz z pōśród biesiadników i spoczęły na niej badawczo.

— Kto jesteś, młodzieńcze? Znam cię skądciś! — spytał, siadając obok tancerki.

— Widziałem cię, panie, w klasztorze »Królewskiego uśmiechu«!...

— W klasztorze »Królewskiego uśmiechu«?... Aż tak daleko?! — szepnął Kim-ho-du-ri.

Kim-non-czi obrzucił go wyniosłym spojrzeniem i, jakby nie słysząc odpowiedzi, ciągnął dalej swobodnie.

— Zresztą, może to było bardzo dawno... w jakim poprzednim wcieleniu... W duszy ludzkiej marzenia, przywidzenia, wspomnienia mieszają się z rzeczywistością, jak w półśnie... Nawet mędrcze nieraz nie jest w stanie przeprowadzić granicy, gdzie kończy się życie a zaczyna marzenie. Tułamy się od jednego do drugiego brzegu przepaści w wiecznej tęsknocie, jak listek zrzucony z wysokiego urwiska!...

— Pragnę odjechać, a przecież wciąż wracam, Słońce zaszło, rzy rumak niecierpliwie...

Czyż istotnie pożegnać muszę wszystko?...

zadeklamował młody korejczyk w jedwabiach.

— Więc jesteś studentem? — zwrócił się znowu Kim-non-czi do Kim-ki'ego.

— Nie jestem jeszcze studentem, dopiero przyjechałem zdawać egzamin...

— Poco?

Kim-ki szeroko otworzył oczy, wśród gości powstał lekki ruch.

— Wszystko, co kiedyś było dobre, z czasem

staje się niepotrzebne... Świat idzie naprzód. Musimy podążać za światem, inaczej stanimy się dla niego ciężarem... Ludzie nienawidzą wszystko, co im przeszkadza, powinniśmy starać się o przyjaźń i miłość... Wszędzie Ziemia jednakowa i wszędzie rozpościera się nad nią błękitne Niebo...

— Każdy, mistrzu, myśli przedewszystkiem o sobie. Jeżeli przestaniemy się strzedz, zamorskie dyabły wraz z chrześcijanami uczynią nas swymi niewolnikami...

— Japończycy wszędzie włązą, wszędzie ich pełno... Pootwierali sklepy pełne towarów zamorskich, nie sprzedają niepodobna... Upada handel krajowy, tysiące ludzi pozostaje bez chleba...

— Właśnie dlatego należy nam się od nich uczyć i robić to samo, co oni, ale jeszcze lepiej... A uczynimy to, gdy będziemy robić nie dla zysku jedynie, lecz i dla miłości kraju..

— Jeżeli okażemy się Japończykami lub Frankami, przestaniemy być Dziećmi Dzo-siön!... Zbawienie nasze w przestrzeganiu obyczajów... Nie dlatego giniemy, że nie umiemy budować ognistych okrętów i kolei żelaznych, lecz dlatego, że przestaliśmy przestrzegać starych obyczajów... Zdrajcą jest ten, kto mówi inaczej!... Dziwię się, że mówisz to, Kim-non-czi?!... Przyznaj, że nie powtórzyłbyś tego publicznie, synu ministra!... — zapaleczywie zawołał najstarszy z gości, brodaty krajowiec.

— Owszem. Przyjdź za pięć dni na posiedzenie do klubu »Kwiatu Narzeczonego« a usłyszysz!... — odrzekł w zamyśleniu Kim-non-czi. — Tutaj przyszedłem poweselić się, więc zaprzestałmy swarów!... Może nam jeszcze co zaśpiewasz, Ol-soni?..

Tancerka spojrzała nań oczami, płonącymi, jak dwa słońca i uderzyła o struny...

Kobieta mój wróg,
Owładnęła moim sercem,
Zabiła mą duszę,
Utraciłem rzeźkość ciała,
Życie zbrzydło mi.

Daremnie zamykam szczerlnie drzwi i okna.
Jej twarz jak kwiat delikatna,
Jasna, jak owal miesiąca,
Wypływa przed mym wzrokiem.
Widzę ściany jej domu
I chroniące ją okno jedwabne.

Wschodzi zorza.
Rosa na kwiecie lotosu błyszczy
Podobna do łzy, która upadła

W chwili naszego rozstania...
Gdy nie widzę jej, czas płynie smutno, jak
[woda strumyka...
Jeszcze wczoraj różowe były kwiaty zakwitłe
[drugiego księżyca,

A dziś leżą opadłe na ziemi.

Nadchodzi jesień.
Klucze dzikich gęsi przelatują z krzykiem,
Może niosą wieści od ukochanej?!
O nie! To szumią krople deszczu padające z chmur!...

Gorzka jest rozłąka bez końca i kresu!

Jakże pragnąłbym być światłem,

Oświecającem z za gór jej dworek,

Lub deskami strzegących ją okiennic!

Udręczenia życia mego

Są jako morze schnące,

Jak serce więdnące

Bez łez.

Lecz zwyciężę wszystko i wiernym zostanę

Męstwu i obowiązкови!

Skończyła i gitarę schowała za siebie.

Goście zaczęli żegnać się i wychodzić.

— Na-kao! (odchodzę).

Najdłużej pozostał rozmarzony i nieświadomy światowych obyczajów, Kim-ki. Kim-non-czi patrzył nań wyczekująco; chłopaka ogarnęła nagle ochota poradzić się go, opowiedzieć mu o swych sprawach, lecz obecność Kim-ho-du-ri zamykała mu usta. Ol-soni odgadła widocznie, że w chłopcu coś się niezwykłego dzieje, gdyż z łagodnym uśmiechem zaprosiła go, aby znów przyszedł... niedługo.

— Nie trzeba tylko... kupować tyle smakołyków — dodała cicho i ostrożnie. — Pan dziś dużo zapłaci!...

Kim-ho-du-ri, który wrócił z sieni z obrachunku z gospodarzem, istotnie wymienił jakąś bajeczną sumę, która odrazu zniweczyła poetyczny nastrój Kim-ki'ego.

Kim-non-czi wyszedł razem z nimi. Zaraz za furtką pożegnał ich.

— Eee! Ten nie przejdzie mimo miejskiego muru nawet z workiem zgniłych jajek!... Założę się, że za chwilę tu wróci! Poczekamy... Dobrze?

Schowali się za węgiel ulicy. Po niejakiem czasie, istotnie koło furtki, zamajaczyła wysoka postać, rozległo się ciche pukanie i zaskrzypliły wrzeczadze. We wchodzącym na podwórze, Kim-ki poznał z łatwością przy blasku miesiąca Kim-non-czi'ego i serce ścisnęło mu się zazdrośnie.

— A co, mówiłem! Dawno o tem słyszałem! Ale zawsze lepiej, że zobaczyłem na własne oczy! — szepnął z zadowoleniem Kim-ho-du-ri.

VIII. BAMBUS WSTRZĄSA SWYMI LIŚCIAMI.

Kim-ki spał źle i obudził się w dziwnym podnieceniu.

— Przekłeta »suli«, za dużo jej piłem! — pomyślał.

Nietyle wszakże bolała go głowa, co serce. Zjadł pośpiesznie i w milczeniu swój skromny ryż z bobem, z gorzką rzodkwią kwaszoną i z kwaszoną sałatą. Daremnie wierny Chakki czekał odeń zwykłego sprawozdania z wrażeń ubiegłego dnia.

— Czy nie chory jesteś, panie? Jesz mało, patrzysz w zamyśleniu...

— Nie, Chakki...

Umilkł i odwrócił twarz zniecierpliwiony bawczem spojrzeniem niewolnika.

Ten westchnął i, poumywawszy naczynia, z pewnem ociąganiem się, wdział na piersi pudło z słodyczami i wyszedł na ulicę.

Kim-ki słyszał, jak pluskały ciężkie jego chodaki w potokach gwałtownej ulewy, co nagle z grzmotami spadła, chłodząc powietrze i spopieloną ziemię.

Miał ochotę krzyknąć na starego, ale słowa mu w gardle uwięzły. Padł na matę, ręce pod głowę założył, lzy nabiegły mu do oczów.

— Ach, gdybym był bogaty! Gdyby stryj oddał mi choć cząstkę należnych pieniędzy!... Tak oszukać, tak haniebnie oszukać bratanka!.. A może odda? Może się wszystko wyjaśni. Trudno przypuścić, aby ludzie byli tak podli i fałszywi. Napiszę do niego raz jeszcze... A co będzie, gdy przyjdzie dwadzieścia pięć tysięcy janów? A co, jeśli stryj grzecznie wytłómaczy się z zaszłego nieporozumienia...

»Właściwie ta ziemia jest moją ziemią«... — nagle zabrzmiało mu złowrogo w pamięci. — Z jakiej racji? Co takiego?! Jakże niegodziwi są ludzie!... Zmusić ich, schwycić krzywdzicieli za gardło!...

Bezsilnie przewracał się z boku na bok, wsłuchując się w szelest szarugi, w podmuch wiatru, rzucającego garściami deszcz na ściany domu, na żłobkowane dachy, gliniane, na papierowe namokłe okna, kłapiące obrzydliwie w przeciągach, jak zdeптane pantofle na nogach starej niewolnicy.

Nie mógł się uspokoić, uczucie krzywdy i nie-

mocy napawało go nigdy przedtem nieznaną goryczą. Chwilami wracały nadzieja i marzenia, aby bardziej podnieść boleść.

— A jeżeli odda?... Jeżeli okaże się dobrym, kochanym stryjaskiem?... Wszak w jego rysach tyle wynurza się chwilami podobieństwa do ojca, do wspaniałomyślnego, szczodrego Kim-ki-sana?... Ojcie, powiedz, czy to nie ty mnie każesz? czy nie w złem pochowaliśmy cię miejscu? Jeśli odbiorę pieniądze, każę poszukiwaczom mogił szukać miejsc nowych i przeniosę twe ciało, choćby miało mnie to kosztować dziesięć tysięcy janów... A może to... rudy pies? — wspomniął z przerażeniem przepowiednię.

Daremnie jednak siłił się odnaleźć w dziewczynie lub jej otoczeniu cośkolwiek rudego... Widział twarz jasną, widział blado-złote kwiaty w kruczonych włosach, drobne, nabrzmiałe krwią usta purpurowe i ciemne, przeźroczyste oczy, podobne do agatów nasyconych słońcem...

— Oddałbym połowę majątku... oddałbym wszystko... Wykupiłbym ją na rok... choć na rok jeden, a potem... niech się dzieje, co chce!... — wybuchnął.

Znów zarzucał ręce pod głowę i leżał bez ruchu, wpatrując się w szybko migające przed nim obrazy marzeń.

Wstał, aby niezwłocznie napisać nowy naglący list do stryja. Dla pewności postanowił go

wysłać nie przez znajomych kupców, ale przez pocztę japońską; słyszał, że za trochę większą opłatą wydają tam kwity i że list wtedy idzie za poręczeniem i zawsze dochodzi.

Miał jednak mało pieniędzy w woreczku i zaczął szukać, gdzie Chakki schował cały ich zapas, gdyż dotychczas stary pełnił rolę skarbnika. Ale niewolnik tak je dobrze tym razem ukrył, że Kim-ki znaleźć ich nie był w stanie... Nadąsany wyszedł na ganek i, wpatrując się w obłoki dżdżu, pędzone wichrami nad miastem, rozmyślał o sposobach zabrania całej gotówki do siebie, bez dotkliwej obrazy dla starego.

Niezdługo we wrotach ukazał się zmokły i przeziębły Chakki, z ogromnym parasolem w ręku.

— Naja-uasso! serdeczny Panie mój młody.

— Słuchaj, Chakki, gdzie schowałeś pieniądze? Muszę mieć zawsze przy sobie pieniądze! Chcę pójść, na przykład teraz, na pocztę japońską i wysłać list, a nie mogę! Napisałem nowy list do stryja... Nic nie odpowiada!... Chcę, żeby mi odpowiedział, chcę domagać się mego majątku i prawa... On mię skrzywdził!

Niewolnik z pewnem zdziwieniem i zmieszaniem słuchał mowy młodzieńca.

— Tak, tak!... Mówiliśmy już o tem... Należy się upominać... Ale jak?

— Podam do sądu!... — krzyknął zapalczywie Kim-ki. — Do stóp tronu udam się!

Chakki wtulił głowę w ramiona.

— Nato dużo trzeba pieniędzy... Mamy całego majątku 200 dollarów... Nie starczy na jeden łyk pierwszego sędziego... Twój stryj człek możny i ma twe kwity... Ciebie jeszcze obwini... O, panie! — wybuchnął, klękając przed nim — synu ukochanego, dobrotliwego Kim-ki-sana!... Pluń na nikiemność ludzką!... Jesteś młody... Życie przed tobą otwarte, ucz się, pracuj... Dwieście dollarów starczy na opłaty egzaminów, a resztę zarobi stary Chakki... Możesz osiągnąć szczytów powodzenia... Masz urodę, szlachetność, pochodzenie, wspaniałe imię ojca... Nie wchodź na drogę niepewności, w której końcu widzę.. nieszczęście!... Nie powiedziałeś mi, żeś był u tej tancerki, ale ja wiem o tem... Młody jesteś, więc unikaj pragnień, jak to radzą mędrcy nasi!... Unikaj pragnień... Widzisz, co ci szepczą?! Świat cały gotówes wyzwać do walki, twarz ci blednie a szyja czerwieni ci się, jak u rozgniewanego byka. Pomyśl, jesteś młody i bez stopnia naukowego. Nie zwyciężysz nikogo, nawet najslabszych urzędników a zgubisz siebie... Czy nie lepiej poprawiać świat, uzyskawszy stanowisko i pełnić na nim cnotę? Chakki o godzinę wcześniej będzie wychodził z domu i wracał o godzinę później, abyś miał spokój niezbędny do nauki... Ale weź twoje

porzucone książki, których dawno jużes nie oglądał!...

Młodzieniec milczał wzruszony.

— Powiadają, że niedługo stare nauki nie będą potrzebne!...

— To mówią wrogowie państwa naszego! Ale Niebo nigdy tego nie dopuści... Wciąż błąkam się wśród prostego ludu, który raczej wypędzi znowu cudzoziemców, niż porzuci stare obyczaje...

— Słuchaj, stary, przeczytam ci list... Nie zdaje mi się tak złym, ażeby mógł nam zaszkodzić...

Po dawnemu usiedli obok siebie i pograżyli się w roztrząsaniu rozmaitych stylistycznych trudności. Chakki zażądał różnych zmian i dodatków w liście, twierdząc, że krótkość zawsze źle usposabia, gdyż jest grubijańską, że do ludzi należy zwracać się w wyrażeniach, obudzających wstyd i niecących pragnienie cnoty. Po długich mozolach ułożyli nową zupełnie epistolę, która brzmiała:

»Wielce dobrotliwy i wspaniałomyślny bracie mego nieodżałowanego ojca! Pisałem ci już jak dzięki Twym przezornym i pełnym głębokiej mądrości wskazówkom, przybyliśmy szczęśliwie do Seulu i jak radośnie przyjął nas, niegodnych, potężny Kim-ok-kium, przeczytawszy Twój cudowny list. Ale w nieustannych troskach o sprawach Państwa on zupełnie zapom-

niał o długu Twym, a przyboczny sekretarz ministra, Kim-bo-re-mi, śladów długu nie znalazł w księgach rachunkowych rodziny Kimów. Cieszę się, że wyjaśnienie tej sprawy stanie się pewnie z czasem powodem miłego spotkania dwóch zacnych filarów naszego rodu a teraz proszę Cię o przysłanie mi nowego przekazu na 5000 dollarów pocztą japońską lub lepiej jeszcze gotówką w srebrnych jenach japońskich. W przeciwnym razie będę musiał powrócić do Ciebie bez zdania egzaminu, aby uprawiać ziemię rodzicielską, jak to przystało potomkowi szlachetnego rodu, który nie dostał się na służbę rządową z braku stopnia naukowego.

Pelen niezgłębionej wdzięczności i pokory, lichy pacholek i synowiec Twój, Kim-ki.

List, zalepiony w długą kopertę, został własnoręcznie odniesiony na pocztę przez Kim-ki'ego, który pod pretekstem zmiany srebra na drobne, wziął ze wspólnego skarbcza aż pięć dollarów. Chakki patrzył na pieniądze i na młodzieńca żałośnie, ale nie protestował.

Jednakże Kim-ki zwyciężył siebie tym razem. Wprawdzie wracając zboczył daleko z drogi, aby przejść obok domu Ol-soni i nawet czas jakiś stał z bijącym sercem za węglem ulicy, nasłuchując, czy kto tam nie wchodzi, ale koniec końców powłókł się do domu. Być może, iż przeważyla

szale jego postanowienia brzydka szaruga, która całe miasto otulała niby brudna płachta, być może, iż sromął się zabłoconego ubrania, w którym musiałby się ukazać w czystych i woniejących pokojach tancerki, dość, że wrócił do domu i układał się na macie, jak długi, czytał przy małej lampie olejnej stare, porzucone księgi i rozmyślał o dziewięciu cnotach Mędrca, równego Niebiosom. Na dworze lał deszcz i z rozwartych paszczy glinianych smoków, zakończających rynny, spadały burzliwe, huczne wodospady. Chakki przyszedł godzinę później, niż zwykle, jak to obiecał, mokry, jak świeżo wydobyta z morza gąbka. Mimo to nic nie zarobił, gdyż w taką pogodę nawet psy zdziczałe nie chodzą po ulicach Seulu.

IX. MOGIŁA KRÓLOWEJ.

Nadeszła syta złota jesień. Ulice zaroily się od chłopów, wiozących świeżo omlócone zboża, rumiane owoce, perłowy ryż, proso żółte, czerwone i czarne, różnokolorowe grochy, a głównie stosy zielonej, długolistnej, kędzierzawej sałaty »peccu«. Nastal czas wesel, zwad, bójek i sądów.

Pewnego razu na podwórzu Kim-ok-kium'a burzliwa odegrała się scena. Wczesnym rankiem, kiedy targi pełne są jeszcze okolicznych włóścian, przybiegl z pobliskiej Dzon-no, gdzie sprzedają warzywa, jeden ze służebników ministra i wraskliwie opowiadał, że ludzie Miń napadli nań, odebrali mu koszyk, pieniądze i z naigrawaniem wypędzili z placu.

— Nie zaczepiałem ich. Nie wiedziałem nawet, że są podłymi Miń'ami. Podchodzę i pytam: po czemu pęczek świeżej sałaty. Zażądali 10 phun. Słyszana rzecz! Mówię im: »moi ludzie,

pewnie żarty sobie stroicie, nie wiedząc, że jestem sługą dostojnego Kim-ok-kiuma, który co prawda, mógłby wam nic za sałatę nie płacić«. Twarze im natychmiast spuchły, jak nadęte pęcherze! — »Aha, wiemy! Swiat byście cały chcieli zagrabić. Ale dla Kim'ów ziemia nasza wcale nic nie rodzi«. Wtedy wziąłem pęczek, oddaję im dwa phuny: »macie dosyć!...« A oni zamiast podziękować, wyszarpnęli mi cały kosz, potracili mię, i patrzcie, jakiego nabili mi guza — mówił płaczliwie służący, odrzucając rękaw kaftana. — Dojdzie do tego, że nosa stąd pokazać nigdzie nie będziemy mogli. Każdy odważy się nas bić.

— Co oni sobie myślą?! Mają nas za chudo-pacholków, godnych pogardy!

Zamiast gadać, bierzcie, bracia, kije! — krzyczał zapalczywie Kim-ho-du-ri.

— Zapewne, że tu chodzi o starą Miń-sań... ale... napadać bez żadnego powodu?!...

— Miń'owie gotowi zawładnąć światem! Znamy ich żarłoczne żołądki!

— Kto im na to pozwoli!

— Zobaczają, co znaczy zaczepiać Kimów!.. — wołali rozgorączkowani dworzanie Kim-ok-kiuma, waląc tłuszcza na plac. Ciekawi po drodze łączyli się z nimi, tworząc gwarny, roznamietniony pochód. Wymachując kijami, wpadli na plac, straszając przekupniów i objuczone chrustem i sianem woły wieśniaków. Rzekomi Miń'owie oczywiście

ulotnili się już. Daremnie Kim'owie biegali w podnieceniu, wypytując się wszystkich i przeglądając podejrzliwie zaciszne kąty, nie znaleźli żadnego przedstawiciela nieprzyjaznego rodu i gniew ich z wolna zaczął stygnąć, gdy nagle Kim-ho-du-ri krzyknął na całe gardło:

— Jest!... Trzymajcie go!...

Obstąpili groźnem kołem młodego chłopaczka, który z koszykiem w ręku usiłował przeslizgnąć się bokiem ulicy. Spostrzegłszy, że umknąć nie zdoła, pobladł, ale zatrzymał się i dumnie zwrócił do tłumu.

— Kto jesteś? Jak się nazywasz?

— Ależ nie pytajcie go, wiem, że jest Miń. Widziałem go wielokrotnie, jak przychodził do starej Miń-sań...

— Łotrze!...

— Za co mię łajecie? — spytał chłopak drgającymi ustami.

— Wasi ludzie tu niedawno!... Zbójce!... Złodzieje! Tchórze!... Pobili naszego...

— Nic nie wiem. Idę spokojnie po warzywa na obiad dla mego pana... Kim-non-czi'ego, który też jest Kimem!...

Imię to wstrzymało zapędy rozgorączkowanych muń-geków Kim-ok-kiuma. Nie wiedzieli, jak daleko sięga gniew ojca na syna.

— Czy aby doprawdy jesteś dworzaninem Kim-non-czi'ego?

— Ależ doprawdy!...

— Dobrze, dobrze! Jeżeli tak, to chodź z nami. Nic ci się złego nie stanie!... Posiedzisz u nas, dopóki Miń'owie nie wydadzą nam prawdziwych winowajców... aż nie wrócą nam straconej twarzy!...

Wzięli go między siebie i poprowadzili tryumfalnie do domu.

Wprawdzie Kim-ok-kium kazał go wypuścić niezwłocznie, ale sprawa ta narobiła wiele hałasu w mieście i długo tłumy ciekawych odwiedzały podwórze domu, krzyczały, hałasowały i przeszkadzały uczyć się wyprowadzonemu z równowagi Kim-ki'owi. Ubrał się i wyszedł. Nie podzielał on zupełnie roznamietnienia towarzyszy dworzan w sprawach rodowych, przeciwnie, żał mu było pochwyconego chłopaczka, gdy w oczekiwaniu na Kim-ok-kiuma siedział strwożony i bezbranny w kole urągających mu pacholków.

Po kilku tygodniach naprężonej pracy znowu opadło go niezwalczone zniechęcenie, lenistwo i tęsknota. Wybrał się na przechadzkę. Wsiadł do elektrycznego tramwaju i pomknął za Wschodnie Wrota. Minał czarne pola, ogołocone z warzyw i zbóż, pokryte gdzieś tam rzadką szczecina krzewów bawełnianych, już gołolistnych i obranych z torebek waty. Minał gaje ze złotem, purpurowem i bronzowem jesiennem listowiem. Pasażerowie dawno powysiadali; zamyślony Kim-ki został sam jeden ze znudzonym konduk-

torem, wreszcie tramwaj stanął; byli u kresu. Gęsty las jesienny zastąpił im drogę. Kim-ki wyszedł i zwrócił na lewo znaną drożyną, przecinającą zarośla prosto, jak strzała. Z obu stron wznosiła się kędzierzawa ściana jasnych liści i czarnych gałęzi, prześwietlona słońcem, nisko stojącym na widnokręgu. Korytarz drogi, zwężając się stopniowo, zamykał się w oddali wąską kolumną błękitnego powietrza. Wiszące nad przelotem złoto-błękitne konary, rysowały się blado w czystym mierzchnącym przestworzu. Nic nie mąciło wspinałej ciszy przedwieczornej, nie ćwierkały cykady, nie brzęczały muchy, nie śpiewały ptaki. Jedynie serce młodego chłopaka biło niespokojnie, potrącane rozbudzonem wspomnieniem. Rozmarzony dowlókl się do Okrągłego Pagórka mogiły królewskiej i przysiadł na podstawie jednego ze strzegących jej kamiennych rycerzy. I natychmiast zamknęło się nad nim, jak woda, niczem już, nawet krokami jego, nienaruszane milczenie, pełne miodowych zapachów i złotych połysków.

— Nie będę mędrce!... — mówił sobie z goryczą. — Nie będę mędrce... Miesiąc cały poświęciłem księgom i rozmyślaniom, oto wszystko prysło bez śladu... Znów tęsknię, znów pragnę!...

Błądził spojrzeniem po gęstwinach drzew, po girlandach liści, zastygłych bez ruchu, zimnych, jakby odkutych z brązu, złota, miedzi i srebra i rozwieszonych na szkieletach stalowych pni

i konarów. Purpurowy blask zorzy wieczornej, zaledwie rozgorzałej, mienił się tysiącem odcieni na pochyłonych płaszczyznach listowia. I las cały wyglądał jak cyzelowana z drogich metali opaska zasypiającej ziemi. Młodzieniec wspominał bezwiednie cnotliwe nauki, tyle razy czytane niedawno.

»Mędrzec posiada przyrodzoną wiedzę i czyistość zupełną. Dąży po drogach cnoty bez wysiłku«.

— Tego o sobie powiedzieć nie mogę — westchnął.

»Ma najwyższe zalety: szybkość spostrzeżeń, jasność rozumowania, głęboki rozum i wszechstronną mądrość, co czyni go władcą«.

Rozwagał pilnie i wydało mu się, że nikt ze znanych mu rządcicieli nie odpowiada tym warunkom, chyba może... sam cesarz, albo... Kim-ok-kium!

...Wspaniałomyślność, miłosierdzie, łagodność robią go wyrozumiałym...

— Eee!

...Wrażliwość, energia, stanowczość i wytrwałość dają mu niezłomność...

— To prędzej!

...Spokój, powaga, dokładność oraz brak próżności wzbudzają dlań szacunek; doskonałość, wybredność, skupienie i przenikliwość uczą go poznania... Wszechstronnym jest, szerokim jak prze-

paść, głębokim i czynnym jak potok i wykazuje swe cnoty zawsze w chwili odpowiedniej...

— Nie! Wątpliwą jest rzeczą, abym dostał miejsce, ale bardziej jeszcze wątpliwą, abym został mędrcem...

...Rozległość jego wiedzy podobna jest Niebiosom... głęboka jak rzeka, działalność podobna do przepaści. Gdy ukazuje się, wzbudza cześć powszechną, gdy mówi, wszyscy mu wierzą, gdy działa, wszyscy są zadowoleni... Blask jego sławy oświeca całe państwo i dochodzi do plemion barbarzyńskich... Tam, gdzie zawijają okręty, gdzie dojeżdżają wozy, gdzie siła ludzka sięga, gdzie sklepi się niebo a ziemia piastuje żywe twory, gdzie świeci słońce i księżyc, gdzie pada rosa i ścinają wodę mrozy — tam wszyscy, w czyich żyłach płynie krew i czyje piersi oddech kołysze, szanują go i kochają szczerze... Nie napróżno mówią o nim, że równy jest Niebiosom...

Kim-ki wstał; tęsknota i smutek opuściły go, nagle poweselał, gdyż zrozumiał niespodzianie, że nigdy nie zostanie mędrcem a więc nigdy nie będzie miał prawa na dobre miejsce; przestał się smucić.

— Poco mam zadziwiać świat? Życie krótkie jest, jak mgnienie powiek!...

Ogarnęła go natomiast niecierpliwość korzystania co rychlej z zerwanych ślubów przykrych. Spojrzał na ciemniejące szybko niebo, na krwawy

długi pas zorzy, przeglądający przez koronkę lasu i ruszył pospiesznie do miasta. Tramwaju już nie złapał i całą drogę musiał odbyć piechotą. A tymczasem serce biło mu i gorzało płomiennie; wiedział, że ją dziś zobaczy, że nastąpiło, czego pragnienie tliło nieustannie mu w duszy, bynajmniej nie ugaszone czytaniem starych ksiąg i rozumowaniem Chakki. Każda chwila stracona wydawała mu się obecnie, gdy zerwał męczącą go tamę, ciężką obrazą. Musiał tyle jeszcze spełnić rozmaitych rzeczy. Musiał wrócić do domu, przebrać się, wziąć od Chakki pieniądze, kupić jakiś drobny podarunek...

Szedł szybko, skracając sobie drogę polnemi ścieżynkami, ale noc zapadała jeszcze szybciej i gdy znalazł się pod głębokim sklepieniem bramy miejskiej, jedynie biała luna światła nad dzielnicą europejską i japońską walczyły ze zmrokiem, wypełniającym seulską dolinę. Szyldwach przyjrzał mu się niechętnie i podejrzliwie, nieliczni przechodnie trwożnie oglądali się nań, słysząc za sobą jego szybkie kroki.

Z przebraniem rychło się uwinął, ale musiał czekać na Chakki. Gdy zażądał pieniędzy, stary wtulił w ramiona głowę i w milczeniu, z psią pokorą podał mu ich cały rulon. Kim-ki wziął drżącą ręką kilka srebrnych monet i wyszedł. Kupił flakon drogich europejskich perfum i przebiegł rezolutnie ulice, ale skoro znalazł się przed

małą, tajemniczą, zamkniętą furtkę, stracił nagle odwagę, zatrzymał się i przeszedł kilka razy wzdłuż ulicy, oczekując, czy kto czasem nie nadejdzie, aby sam on mógł uniknąć... pukania.

— A jeżeli mię nie puszczą? — rozmyślał. — Dlaczegoż miałoby mię nie puścić?... Przecież ona »kisań«, jej gospodarz z tego żyje, co u niej tracą jej goście!... Pójdę, zastukam!... Na co i na kogo mam czekać?! Czyż jestem gorszy od innych? Czy pieniądze moje inną mają wagę?...

Zbliżył się do furtki i nasłuchiwał; zdawało mu się, iż słyszy w oddali stłumiony śpiew i śmiechy i pokoił Ol-soni tak żywo stanął mu przed oczami, że zakolała głośniejsze, niż zamierzał.

Czekał dość długo, wreszcie rozpoznał za ścianą kroki i głos Cu-iremi'ego.

— Kto tam?

— Kim-ki! Naje-uasso!

— Kto?... I czego chcesz?!

— Nie poznajesz mię, Cu-iremi?... Jestem Kim-ki...

Rygle nie odsuwały się.

— Dworzanin Kim-ok-kiuma... Przychodzę do Ol-soni... Mam interes... — dodał nieśmiało.

— Eee!

Furtka uchyliła się i młodzieniec dostrzegł brzydką, dziobatą twarz rajfura z wyszczerzonymi uśmiechem zębami.

— Dobrześ trafił, niema nikogo!...

Kim-ki złodowaciał, chciał się cofnąć, ale furtka już zatrzasnęła się za nim. Machinalnie włożył przygotowaną monetę do wyciągniętej dłoni Cu-iremi'ego i kroczył za nim, zupełnie wylekły i stropiony.

— Wejdz, proszę! — zapraszał go rajfur, wskazując na wpół uchylone drzwi.

Młodzieniec zdjął obuwie i niezgrabnie wsunął się do pokoiku. Odetchnął cokolwiek, gdyż na razie salonik był pusty. Poza tem wszystko znalazł, jak dawniej. Po rogach paliły się lampy na wysokich brązowych postumentach, stały wazony z kwiatami, pośrodku na ziemi leżały płaskie, jedwabne poduszki i małe dywaniki do siedzenia, odrzynając się ostro ciemnymi plamami na jasno-żółtej macie. Spojrzał na ryciny, na lustro europejskie i zaczął odczytywać podłużny, pięknymi chińskimi literami nakreślony napis:

Jak gałąź śliwki poraż pierwszy wiosennym osypana
[kwiatem,

Pragnie słodkiej pieszczoty porannego wietrzyka,

Tak czekam na wezwanie tego, czyja

Postać nie opuszcza mię w marzeniach nocy księżycowych...

Budzik cykał miarowo pod lustrem; zamyślony młodzieniec skierował oczy w tę stronę i nagle ujrzał przed sobą tancerkę. Klęczała o kroków parę zapewne już od niejakiego czasu i z miłym uśmiechem patrzyła życzliwie na niego:

— Czytasz, widzę!... Więc możesz czytać klasyków?

— Mogę! — odpowiedział, rumieniając się.

Klasnęła w ręce i służące natychmiast wniosły herbatę, ciastka i owoce.

— Opowiedz mi, skąd jesteś i czy piękne są wasze okolice... Wszak w stolicy jesteś niedawno?

Ośmielony słodyczą jej głosu, wytwornością obejścia, zaczął Kim-ki z wolna opowiadać o sobie, o ojcu, o stryju, o stosunku swym do Kim-ok-kiuma...

— Wspominałeś coś przeszłym razem o klasztorze »Królewskiego Uśmiechu«... Piękne to, powiadają, miejsce...

Kim-ki stawał się coraz wymowniejszy. Barwnie opisywał piękności gór Dyamentowych, szczerze zapożyczając porównań z przeczytanych tylko co książek.

— I to tam wydało ci się, żeś spotkał się z Kim-non-czi'm? Zdziwiło mię, coś wtedy powiedział, gdyż wiem, że Kim-non-czi wcale nie opuszczał Seulu... — mówiła, patrząc nań bystro.

Młodzieniec umilkł na chwilę.

— O — rzekł wreszcie — to był może jakiś książę gór do niego podobny. W szyszaku z paszczy tygrysiej, w otoczeniu odważnych łuczników, wśród błyszczących grotów, wyglądał jak nieziemski geniusz, pociągający serca wszystkich. Takie rzeczy można spotkać jedynie w górach,

nocą, w buddyjskim klasztorze. Zapewne, że to był jakiś, ukrywający się, znakomity wódz powstańców, lub wyznawca tajemnej religii, który zebrał wiernych, aby odprawiać modły i składać ofiary. Niekiedy wydaje mi się, że nie było tam ani klasztoru, ani ludzi, że wszystko nam się przywidziało. Nie wiem! Uciekliśmy przerażeni niezwykłością wypadku!... Ale serce moje urzekła piękność i szlachetność tego młodzieńca i dlatego uczulem wzruszenie, spostrzegłszy, że Kim-non-czi tak podobny do...

Wszedł pierwszy gość, za nim drugi i trzeci; przyszedł miłośnik wierszy w jedwabiach, przyszedł gruby kupiec, śmiejący się hucznie z łada powodu, przyszedł urzędnik pałacowy, milczący, chudy jegomość z świdrującymi oczkami. Wszystkich uprzejmie witała tancerka... Powstała zwykła ogólna rozmowa, wrzawa i pieśni... Pojawiły się stoliki z jadłem i miedziane dzbanuszki z grzaną »suli«. Kilku znajomych z poprzedniej wizyty przysiadło się do Kim-ki i ten wbrew żartobliwym radom Ol-soni, znowu pozwolił służącym przynieść sobie obfitą i drogo kosztującą wiecznię.

— »Pociemniały Niebios nań wody równiną przychodzę na most wiklinowy, aby ryby, unizane na sznurek, wymienić na wino. Nieznajomy mówi mi o losach ludzkości, lecz ze śmiechem wskazuje mu na księżyc, płynący nad wspaniałymi trzcinami. Upiję się na ziemi i nie będę myślał o prze-

mijającym czasie!...» — zadeklamował gość w jedwabiach.

Proszono Ol-soni, aby śpiewała, ale nim zdołała nastroić gitarę, wszedł niespodzianie Cu-iremi i, nachyliwszy się, szepnął jej do ucha słów kilka. Podniosła twarz wylekła i zdziwioną i, przeprosiwszy gości, odeszła w głąb domu. Gdy wróciła po chwili, wydała się wzburzoną, na twarz jej wybiły kolory.

— Wezwana jestem dziś do Pałacu, by tańczyć... — rzekła z lekka drgającym głosem. — Muszę więc przeprosić was, przyjaciele!... Bawcie się dalej, lecz ja muszę odejść!...

Poczęli życzyć jej powodzenia, dziękowała krótko z roztargnieniem, lecz Kim-ki'emu zdołała szepnąć niepostrzeżenie:

— Przychodź, ale... wcześniej!...

X. PRZEPowiednia SPRAWDZA SIĘ.

Kim-ki stał się odtąd codziennym gościem tancerki. Ol-soni wyróżniała go i to od razu wpłynęło na stosunek pozostałych gości do młodzieńca. Przedewszystkiem »wczorajsi« przyjaciele przestali go bezwstydnie naciągać na kolację, Cu-iremi zniżył mu opłatę za wejście o połowę a Kim-hodu-ri udawał ogromną przyjaźń i opowiadał na wszystkie strony o spodziewanych od »stryjaszka« milionach.

— Co on gada o twoim stryjaszku? — spytała pewnego dnia Ol-soni, gdy byli sami.

— Wcale tak nie jest!... Stryj mój jest istotnie zamożnym człowiekiem, ale... ja nigdy bogatym nie będę... — dodał, z lekka blednąc.

Twarcz Ol-soni powlokła się szkarłatem.

— Nie o to chodzi!... — rzekła zmieszana. — Nie rozumiesz mię... Chodzi mi o to, chodzi mi o to... Chodzi mi o twego... stryja!... — dodała,

śmiejąc się. — Opowiedz mi wszystko o twoim stryju...

Kim-ki usłuchał i opowiedział o stanowisku, jakie zajmuje czcigodny Kim-juń-sik, o jego bogactwie, o stosunkach, o swym u niego pobycie po śmierci obojga rodziców, wreszcie o sprzedaży ojcowizny, o liście, o nieporozumieniu i o braku wszelkich wyjaśnień ze strony stryja... Tłumił swe rozżalenie, łagodził barwy, oszczędzając honor rodzinny, mimo to pod koniec opowiadania Ol-soni krzyknęła gniewnie:

— Ależ to łotr skończony!...

Kim-ki uśmiechnął się blade.

— Mój stryj jest bogatym, ma wszędzie znajomości, wpływy u rządu. Sam Kim-ok-kium nie chce z nim zadzierać... Jego sekretarz Kim-bore-mi, porządny chłopak, powiedział mi, że kiedy napomynał mu o mojej sprawie, to minister udawał, że nie słyszy... Tem bardziej teraz, kiedy sroży się niezgoda z Miniemi, Kim-ok-kium nie zechce zadrzeć ze stryjem, najbogatszym z Kimów w okolicy Ko-uŃ...

Tancerka zamyśliła się.

— Wiesz co, przyjdź jutro nie wieczorem, lecz... rano! — rzekła z rozważą.

Trwożliwa radość błysła w oczach chłopca, dostrzegł, że ją roztkliwił, zajął swą osobą, odszedł wszakże do domu smutniejszy, niż zwykle,

gdyż Ol-soni zwracała nań tego wieczora mniej uwagi niż kiedykolwiek. Idąc, szeptał:

Jak majtek, żeglujący w burzliwej cieśninie
Nie wie, dokąd prowadzi go rudel strzaskany,
Tak nie wie, gdzie się wstrzyma i dokąd zawinie
Wśród zdarzeń obojętnych człowiek zakochany...

Nazajutrz, o oznaczonej porze, stanął przed furtką. Była otwartą; na dziedzińcu spotkał Cu-iremiego, idącego z koszykiem na targ, w głębi na werandzie stała jego gruba, brudna i różowo ubrana żona.

— Naje-uasso!...

— Eeee! — odpowiedział zdziwiony rajfur. Za furtką zatrzymał się i podejrzliwie przyglądał młodzieńcowi, pośpiesznie wchodzącemu na schodki mieszkania Ol-soni.

— Powinien zapłacić! — rozważał. — Nawet mnie, swego gospodarza, ta niewolnica do siebie nie dopuszcza, korzystając, że broni ją ten hołysz, Kim-non-czi, wściekły gwałtownik. A młokosa zaprosiła! Tylko przyszedł zawczasie! Złapie się! Kim-non-czi jeszcze tam siedzi! Oho, ho! A może też lepiej... Niech się pobiją! Zwrócę mu pieniądze i sprzedam ją ojcu. Zanim zaś przejdzie z rąk do rąk, przez parę dni ja będę panem. Dokuczyło mi wciąż tylko pielegnować i troszczyć się dla drugich...

Nozdrza mu się rozděły i krostowata twarz powlokła krwistym rumieńcem.

Tymczasem Kim-ki z bijącym sercem otworzył drzwi do pokoju Ol-soni i skamieniał. Pośrodku siedział przed stolikiem z jedzeniem Kim-non-czi, a wspaniała tancerka, w skromnym, białym ubraniu perkalowem, usługiwała mu, jak zwykajna żona albo nałożnica.

— Kim-ki... chodź, chodź!... — zawołała wesoło. — Już mówiłam o tobie!...

Kim-non-czi powitał go grzecznie i zaprosił do stołu, młodzieniec równie grzecznie mu podziękował. Tancerka, japońskim obyczajem, postawiła własnoręcznie przed gościem tackę z filiżanką gorzkiej herbaty a syn dygnitarza, skończywszy posiłek, kazał sobie całą sprawę ze stryjem raz jeszcze powtórzyć.

— Naco ci ziemia? — rzekł wkońcu. — Nie uprawiasz jej! Czyś ją stworzył? Czy stworzył ją który z twoich przodków?... Istniała ona przed wiekami i jest Rodzicielką wszystkiego, czego Ojcem są Wysokie Niebiosy... Nie można kupić ziemi matki... Ziemia powinna należeć do tych, co pracują na niej, co umieją ją pieścić, aby rodziła... Wszystkie nasze nieszczęścia płyną stąd, że ludzie, gwałcąc sprawiedliwość, zawładnęli większą ilością ziemi, niż są w stanie sami uprawić!... Dlatego inni musieli iść do miast i wymyślać sobie niepotrzebne zajęcia i urzędy. Dlatego

na każdym trzech pracowników wypada u nas, w Korei, jeden urzędnik albo wojskowy, albo ktoś, co im służy... Dlatego w naszej pięknej ojczyźnie dotychczas istnieje hańbiące nas niewolnictwo, którego niema już nigdzie na całym świecie... I wszystko to mnoży się, rozrasta, ubożeje i, niewiedząc, skąd płynie ich nieszczęście, szuka poprawy losu u wróżbitów, oddaje resztki swych zasobów poszukiwaczom szczęśliwych mogił i niepokoi trupy przodków... Nie, wszystko to musi się odmienić... I dlatego, młodzieńcze, nie będę się starał, aby zwrócono ci zagrabioną ziemię... Z tego nic nie będzie... Odbierzemy ją niezapłaconą od wszystkich!...

Kim-ki pochylił głowę.

— Iana dam ci radę, ucz się! Potrzebujemy ludzi wykształconych, ale nie w dawnej nauce, która każe być dobrym, sprawiedliwym, szczodrym, wspaniałomyślnym, miłującym ludzi, a nie wskazuje wcale, jak zostać takimi mędrcami, jak uszczęśliwić ludzi, jak zniszczyć nędzę i występki... Na zachodzie poznałem uczonych i księgi, które oświeciły mnie, skąd to pochodzi. Potrzebna nam wiedza zamorska, która uczy, jak wyrabiać tanio i szybko potrzebne przedmioty, jak pomnażać plony pól, jak układać sprawiedliwe wydatki i prawa państwa... Otóż jeżeli chcesz, Kim-ki, sam się dźwignąć i służyć szczerze ojczyźnie, to sta-

raj się o nabycie tych nauk... I w tem ja ci mogę dopomódz!... Czy życzysz sobie?!

— Życzę! — szepnął Kim-ki.

Kim-non-czi kiwnął na Ol-soni, aby podała mu z biurka małą teczkę. Wyjął stamtąd drewnienko z stalowem ostrzem, buteleczkę z czarnym płynem i kawałek białego, błyszczącego papieru. Umoczył stal w farbie i zaczął nią cieniutko rysować znaki wręcz przeciwnie, niż czynią to wszyscy. Kim-ki z zapartym oddechem śledził za tym procesem, o którym słyszał, ale który widział po raz pierwszy.

Kim-non-czi list skończył, złożył, zakleił w kopertę, na której skreślił adres po korejsku i po angielsku.

— Z tym listem udasz się do Pai-czai i odszukasz tam mistera Hulbeck'a. Zrobisz, co on ci każe. A teraz chcę cię spytać o co innego... Powiedz mi, jak to było z tym Miniem, którego uwięziliście w domu mego ojca?...

Kim-ki opisał całe zdarzenie. Ol-soni przysiadła się obok nich i słuchała z widocznym niepokojem.

— Więc nieprawdą jest, jakoby Miń nazwał Kimów wściekłymi psami?

— Tego nie słyszałem; młodzieniec był bardzo wstrzemięźliwy w wyrazach... A co mówili ci chłopci, tego nikt nie wie, gdyż nie znaleźliśmy ich...

— Czy pokrzywdzony sługa mego ojca grywa w kości? Nie wiesz, Kim-ki?

— Nie wiem. Nie znam go... Jestem niedawno na dworze ojca twego, panie... Mało znam jego ludzi, ale mogę się dowiedzieć przez Chakki...

— Kto to jest Chakki? Nie słyszałem tego nazwiska!..

— Stary mój... piastun!... — odrzekł, rumieniąc się.

Kim-non-czi spojrzał nań bystro i uśmiechnął się.

— Dobrze, uczyni, co ci radzę, a może znajdziesz szczęście bez ziemi i bez... niewolników!... Spiesz się z listem, bo mister'a Hulbeck'a zastaniesz tylko z rana... Jeszcze go złapiesz!... — dodał, spoglądając na zatknięty za pas złoty, zamorski zegarek.

Kim-ki wyszedł zmieszany i strwożony.

— Ma iść do zamorskich dyabłów po zamorską naukę, o której nie myślał? Z drugiej strony... nie będzie starożytnym mędrce!... Eee, nie zda nawet egzaminu państwowego, gdyż trzeba na to pieniędzy!... A gdyby nawet zdał, to może jeszcze długie lata nie dostać posady, gdyż kosztuje to jeszcze drożej, niż egzamin... — powtórzył sobie raz jeszcze. — Zostanie więc na całe życie pogardzanym muń-gukiem... Ci zaś, którzy kończą szkoły cudzoziemskie, zaraz dostają miejsca i urzędy, są bardzo poszukiwani, chodzą

w jedwabiach i byle naczelnik nie śmie natrząsać się z nich, gdyż są znani wśród cudzoziemców i umieją upominać się o swe krzywdy... I on z czasem, gdy się nauczy i zajmie wysoką posadę, wezwie do odpowiedzialności stryja... Coś uczynił z siostrzeńcem twym, młodym, niedoświadczonym, Kim-ki?!...

Rolne reformy Kim-non-czi'ego nie trafiły mu do przekonania, ale myślał o nich i szedł przez ulicę, potracając przechodniów i wpadając na rozstawione nieporządnie stragany... O mało nie nadepnął na całą kupę gorących, świeżo upieczonych kasztanów, rozłożonych ponętnie na kawałku maty.

— Niezdaro!.. — wrzasnął przekupień. — Za dużo od rana pijesz »suli«!...

Kim-ki cofnął się. Był niedaleko szkoły. Nad budynkiem powiewała gwiazdzista chorągiew i wielkie szklane okna tajemniczo spoglądały na przechodniów. Młodzieniec znowu uczył w sercu niepokój. Obciągnął ubranie, poprawił pod brodą wstęgi kapelusza, otrząsnął błoto z obuwia i wtedy dopiero wszedł w otwarte drzwi budynku. Znalazł się w długim, wązkim korytarzu, po obu stronach którego biegały drzwi. Otworzył pierwsze i zajrzał. Czarne, dziwaczne sprzęty, stoły, stojące rzędami pośrodku; z boku krzesło na wzniesieniu i wielka, czarna tablica, pokryta białymi literami i zakrętasami. Uderzył go zapach kredy,

atramentu i zleżalego papieru. Zaciekawiony postąpił parę kroków. W sali głucha zalegała cisza. Była ona pusta i nie zdradzała żadnych śladów zamieszkania.

— Co to jest? — rozważał Kim-ki. — Może to jakieś miejsce tajemniczych tortur? Może na tych długich, dziwacznych sprzętach rozkrzyżowują ludzi? Niepodobna, aby kto zgodził się długo tu przebywać... wszystko widać przez te przeźroczyste szyby...

Cofnął się szybko i, stąpając na palcach, zajrzał do następnego pokoju i wszędzie znalazł to samo: czarne sprzęty, tablice, nagie ściany, okna pełne bezwstydnej jasności... Odwiedził wszystkie po kolei i nie wiedział, co z sobą robić, gdyż nigdzie nikogo nie znalazł. Rozważał, czy nie puścić się dalej, w głąb budynku, na jakieś schody, gdy usłyszał za sobą, na ulicy, u wejścia głosy, mówiące po korejsku, zawrócił więc z powrotem. Spotkał się oko w oko ze stróżem, który mu wyjaśnił opryskliwie, że tu szkoła i że w niej nikt nie mieszka. Dopiero, gdy obejrzał pokazany list, twarz mu się rozchmurzyła.

— Hulbeck-kang... Przychodzi co dzień rano ale dziś święto... Będziecie musieli pójść tam, na górę, do poselstwa... tam mieszka!...

Wskazał ręką na zachód, gdzie z poza murów cesarskiego pałacu, na podgórzu, z gęstwiny jesiennych drzew wynurzały się dziwaczne pała-

cyki, podobne do wielkich pudeł, z rzędami licznych okien, błyszczących w promieniach słońca, jak lustra. Na śpiczastych, żelaznych dachach powiewały różnobarwne chorągwie z obcymi godłami.

Kim-ki poszedł we wskazanym kierunku, tłumiąc wstret i niepokój, ogarniające go znowu.

Zatrzymał się przed pałacykiem z gwiazdzistym sztandarem i pokazał list marynarzowi, wartującemu u bramy. Ten rzucił okiem na adres i wskazał od niechcenia na niską oficynkę w głębi ogrodu. Kim-ki wszedł na ganek i nieśmiało nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte a dzwonka Kim-ki użyć nie umiał. Zastukał więc leciuchno. Nikt mu nie odpowiadał, mimo, iż słyszał wewnątrz głosy i ruch. Postanowił więc poszukać innego wejścia i ostrożnie okrążył domek. Przez furtkę w wysokim parkanie dostał się na małe podwórko, gdzie stały sągi drzewa, skrzynia ze śmieciami, wielka dzieża i kojec, pełen białych kaczek, długoszyich gęsi, kur i kogutów z pozłacanemi piórami. Czarny niedźwiadek, przykuty na łańcuchu obok niewysokiej budki, dostrzegłszy go, podniósł się z mamrotaniem na tylne łapy. Kim-ki z ciekawością toczył wzrokiem wokoło siebie, uśmiechał się i nawet rękami z lekka po biodrach uderzył, gdy napotykał korejskie przedmioty, użyte w niewłaściwy sposób. Wtem oczy mu się szeroko rozwarły... skamieniał. W otwartym oknie stała kobieta, jota w jotę podobna do

owej cudzoziemki, o której opowiadał Chakki. Widział doskonale jej twarz białą, jak kwiat jałbłoni, śnieżną gęsią szyję, białe lśniące ramiona, z których luźna spelzała mgła cienkiej koronki, a poniżej pełne piersi, błyszczące, jak dwa wschodzące miesiące. Ledwie dyszał z przerażenia i przemyślał o niepostrzeżonym odwrocie.

Cudzoziemka nie widziała go; stała bokiem i, przytrzymując włosy na czubku głowy, czesała je grzebieniem po drugiej stronie. Nagle, silnym ruchem głowy i ręki przerzuciła cały ich splot na ramię od strony okna i strumień ognia i złota tysiącem promieni oblał jasne jej ciało.

— Rudy pies!... rudy pies!... — krzyknął Kim-ki rozpaczliwie. Potknął się, zatoczył i wrzasnął w niebogłoso, gdyż padając, uczuł pod sobą coś ciepłego i miękkiego, co ryknęło straszliwie i uniosło go do góry... Pomyślał, że spełnia się przepowiednia, że ginie, umiera... Kury, gęsi, kaczki gdakały przeraźliwie, wrzasnął paw, zaszczekały za parkanem psy, a tuż nad nim ryczał i zionął mu w twarz gorącym, cuchnącym oddechem niedźwiadek. Kobieta również krzyknęła i uciekła w głąb pokoju. Natomiast w furtce ukazał się zamorski pan i pospieszył na ratunek nieszczęśliwego młodzieńca, przypartego do muru przez niedźwiadka, wymachującego łapami. »Pan« miał twarz wygoloną, duże, ruchliwe usta i wesołe, błękitne oczy.

— Jak się pan tu dostał? — spytał z uśmiechem po korejsku.

— Szukam pana Hulbeck'a!... — odpowiedział, przychodząc z wolna do siebie Kim-ki.

— Do usług...

— Mam list od Kim-non-czi'ego.

— Aaa!?

List odczytał i badawczo spojrzął na młodzieńca.

— Pójdźmy do pokoju, pogadamy... — Chciałbyś się pan uczyć po angielsku i naszych cudzoziemskich nauk?

Kim-ki skłonił pokornie głowę; zresztą dobra koreańska wymowa pana Hulbeck'a a więcej jeszcze ujmujące obejście i miła twarz zatarły po części pierwsze przykre wrażenie. »Rudy pies« nie pokazał się wcale.

XI. OJCIEC I SYN.

Kim-ok-kium gniewnie patrzył na syna, klęczącego przed nim z pochyloną głową.

— Więc czego chcesz ostatecznie?

— Proszę, ojcze, abys łaskawie pozwolił wrócić matce mej do domu twego!...

Stary milczał chmurnie.

— Podburza więc syna przeciw rodzicowi? — wybuchnął.

— Nie ona, ojcze, posłała mię!... Pozostaje zawsze żoną cichą, łagodną i szanującą twą pamięć, jaką znasz oddawna!... Przychodzę dlatego, że Miniowie burzą się, że szerzą złe wieści o Tobie, ojcze, że mają zamiar żądać od Ciebie zadośćuczynienia za hańbę, jaką sprawił ich rodowi twój z mą matką rozwód bez poważnego powodu... Grożą zemstą... W tych czasach niespokojnych, gdy cudzoziemscy władcy sięgają do serca naszej ojczyzny, swary dwóch potężnych rodów osłabiają nas słabych do reszty...

— Swary te o wiele mniej są groźne dla całości państwa, niż pewne cudzoziemskie nowinki, głoszone przez rozmaitych zapaleńców w klubie »Kwiatu Narzeczonego«... Jego Mość, Miłościwy Pan nasz, mocno jest niezadowolony... z tych waszych... zbiegowisk...

— Wszystko, co czynimy, czynimy dla umocnienia Tronu i panowania Jego! — twardo odrzekł Kim-non-czi.

— Zamiast pilnie pracować w biurze, zajmujesz się sprawami, które do ciebie nie należą, przyjaźnisz się z motłochem...

— Niepodobna żyć z ptakami i zwierzętami, jak z równymi sobie. Z kim więc mam obcować, przecież nie z muń-gekami Päk'ów lub Cun'ów... — zacytował Kim-non-czi po chińsku zdanie Konfucjusza.

Ojciec spojrział nań łagodniej.

— Nic nie wskórasz... Sam zginiesz... Zbyt wiele namnożyło się ludzi... Cisną się do urzędów, do dochodów jeden przez drugiego... Każdemu coś dać trzeba, gdyż ma na to prawo, jako szlachcic... Nazbyt namnożyło się szlachty, ludzi niezajętych... Pensye małe, muszą więc drzeć z chłopą, co się da... Rolnik biedniejszy z roku na rok, a gąb, które żywić musi, wciąż przybywa... Nie widzę wyjścia... Musimy żyć z zamkniętymi oczyma... Próbowałem zakładać fabryki europejskie, hodowle jedwabnicze, nauczyć ludność sadzenia

i wyrobu wina, aby dać robotnikom zarobek, aby powiększyć bogactwo kraju i dochody państwa... Wszystko upadło, nie powiodło się... Swoi i obcy rozkradli kapitały, obsadzili posady nieponiamami... Usiłowałem podnieść żeglugę, urządzić porty, składy... Zamiast pobudować okręty i przystanie, nałożyli jedynie na marynarzy nowy podatek, wywołali zaburzenia, których o mało nie przypłaciłem głową. Wierz mi, synu, nie jestem ani taki złym, ani ograniczonym, jakby to się wydawać mogło, ale... państwo nasze jest jak stary dom, stoi dopóty, dopóki go się nie rusza, lecz dość wyjąć zeń jedną cegielkę, aby runął w gruzy... Jedynie przestrzegając starych obyczajów, możemy przetrwać obecne ciężkie czasy...

— A potem?

Minister wzruszył ramionami.

— Kto przewidzieć może, kiedy Niebo upadnie na ziemię... Ale i wtedy nawet można się uratować...

— Ojcie, ojcie!... — wybuchnął nagle młodzieniec — przyłącz się do nas... Jest wyjście!... Trzeba zniszczyć przywileje, podnieść dobrobyt wieśniaków, znieść niewolnictwo, założyć szkoły, wprowadzić kontrolę w rachunki państwa, zwołać radę najwyższą z przedstawicieli wybranych przez całą ludność, jak to się dzieje w Japonii... Tam też była bieda, był ucisk... Niech każdy ma prawo pracować, w jakim chce zawodzie, niech

ma prawo władać tylko takim obszarem ziemi, jaki może uprawić sam z rodziną, nie więcej, a znajdzie się dużo miejsca dla tych, co podziąć się teraz nie mają gdzie i mrą z głodu lub rabują. Trzeba zmniejszyć liczbę urzędników, liczbę ludzi, żyjących z pracy chłopów. Ojcze! gdybyś ty się do nas przyłączył, marzenia nasze ziściłyby się na pewno. Tyś siła! Masz u króla posłuch i wpływ wśród jań-baniów. Imię twoje lud wspominać będzie ze czcią po wszystkie wieki, na równi z imionami Kim-hu-czi-ka i wielkiego Cho-czi-nona. Dopomóż nam, ojcze, pogódź się z Miniami, wezwij matkę moją z powrotem, namów króla, niech przedewszystkiem zniesie niewolnictwo i wszelkie przywileje... To tak łatwo... niech podpisze... My błyskawicznie wypracujemy i podamy mu memoriał. Powiedz tylko, ojcze, że nas poprzesez...

W miarę, jak syn unosił się i zapalał, dostojnik chmurniał i spoglądał na papierowe okna.

— Młoda krew unosi cię!... Zamilcz... Obyczaje, uświęcone wiekami, nie giną od rozmachu pendzelka... Gdyby były nieodpowiednie, nie potrzebne, sameby znikły... Nietylko nie przedstawę królowi waszych bredni, lecz przyjdę nawet na naradę do waszego klubu, aby was powstrzymać od szaleństwa... Kiedyż ma odbyć się to wasze zebranie?

— Pojutrze.

— Słyszałem, słyszałem... Ostrzegam cię, że inne już wieją prądy u Dworu i nawet okoliczność, iż jesteś moim synem, nie obroni cię, jeżeli...

— Rozważyłem wszystko, ojcze... Na wiosnę poznają mnie a w jesieni będą o mnie sądzić... — wtrącił po chińsku.

— Ale pamiętaj! — odpowiedział mu również po chińsku ojciec — że jest na świecie pięć wielkich plag i że z pośród nich najszkodliwszym jest człowiek z buntowniczym duchem... Co się stanie z twoją rodziną?

— Folwark, w którym obecnie ona przebywa, zostawię sobie...

— Zostawisz sobie... Pięknie... No... a Ol-soni?! — spytał nagle i krew ciemną falą zalała mu twarz i gruby kark.

— Ol-soni?!... — ocknął się z zadumy Kim-non-czi. — Ol-soni?!... Więc wiesz o niej?!...

— Ministrowie wszystko wiedzą...

— Ol-soni... nie wiem!... — odrzekł niechętnie. — Mam czas o tem pomyśleć...

Złagodniałe na chwilę rysy Kim-ok-kiuma znowu nabrały kamiennej wyniosłości.

— Dosyć, możesz iść... Pamiętaj, nie przekraczaj granicy prawomyślności i nie licz na mnie... Jestem przedewszystkiem wiernym sługą Tronu, poddanym Najjaśniejszego Pana a dopiero potem ojcem.

— Więc jakże postąpisz, ojcze, z matką? Co mam powiedzieć Miniom?

— Pomyślę o tem. Niech zaczekają. Nie zaraz... pokoje twojej matki... zostały przeznaczone... będą zajęte... chwilowo...

Kim-ok-kium patrzył uparcie mimo niego na ramę okna i daremnie syn szukał jego wzroku.

Uderzył czołem przed ojcem i wysunął się zrećznie za drzwi; czuł się poniżonym, rozbitym i bardzo zaniepokojonym.

Gdy opowiedział wszystko Ol-soni, do której udał się natychmiast, dziewczyna zaczęła płakać cicho, ale rzewnie.

— Uspokój się, nic się jeszcze nie stało. Kiedy ojciec przekona się, że większość przychyliła się ku moim planom, napewno stanie po naszej stronie. Owszem, z rozmowy z nim wnioskuję, że nie jest nam przeciwny...

Wargi tancerki drgnęły, otworzyła usta, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale rychło zamknęła je i łzy dalej płynęły po jej pobladych policzkach.

— Cokolwiek postanowisz i cokolwiek się stanie, pozostanę wierną, posłuszną służebnicą twoją... Niczyja ręka i niczyje usta nie tkną mnie, po tobie, ukochany!... — szepnęła, całując zwisający koniec jego rękawa.

Spojrzał na nią z roztargnieniem i znów pogrzążył się w głębokiej zadumie.

XII. CIEPŁY WIATR PUSTYNI.

Stolica była poruszona do głębi głuchemi wieściami o wielkiej, publicznej dyskusyi, urządzanej przez związek »Kwiatu Narzeczonego«. Nikt dobrze nie wiedział, co ma być treścią obrad. Hasło »Poprawy Wojującego Państwa«, rzucone przez klub w odezwach, tłómaczono najrozmaiciej. Wiele mówiono o »bezbożności« całego ruchu, o »zamachu na stare obyczaje, o zakazie noszenia warkocza i mycki »man-get«, o bezczeszczeniu godeł narodowych, o poniewieraniu Smoka Korejskiego, o przekupstwie Japończyków...

Wzburzone tłumy od wczesnego rana napływały do świątyni Puń-mio. Obszerne, wyłożone płytami jej podwórze, rychło napełniło się ludźmi w białych ubraniach, niby grubą warstwą śniegu, nad którą czarne kapelusze chwiały się, jak stada wiecujących wron. Białe postacie gęsto obsiadły kryte galerie, wzdłuż jaskrawo malowanych ścian,

wzdłuż kapliczek ze złożonemi figurami geniuszów i stróżów świątyni.

Oczy wszystkich zwrócone były na wielkie kamienne stopnie podniesienia, wiodące do głównego przybytku świątyni. Członkowie związku z trudnością przeciskając się wązkim przejściem wśród zebranych, gromadzili się zwolna na tem podniesieniu, strzeżonem przez łańcuch ich przyjaciół, zwolenników i dworzan.

— Päk-ion-cho!... So-goan-bom... Jun-chon-jul!... Dzo-choe-ion!... Je-sa-juń!... Miń-jok-ik!... — szeptano dyskretnie w tłumie, gdy przechodził ktoś bardziej znany.

Gwar głosów, cmokanie ust, ssących chciwie małe, metalowe fajeczki, szelest mocno krochmalonych perkalowych kaftanów, zlewały się w szmer wciąż potężniejszy, niby pomruk wzbierającej wody.

— Kim-non-czi!... Kim-non-czi!... — przeleciało nagle przez tłumy, jak iskra; szmer przycichł i wielu z siedzących powstało, aby lepiej przyjrzeć się młodzieńcowi.

Wszedł na stopień, porozmawiał chwilę z zebranymi już tam członkami Związku i znikł w bocznym przedziale głównego wejścia do świątyni.

Słońce już o tyle wzniosło się na niebie, że promienie jego minęły dachy, wdarły się do wnętrza podwórza i, spotęgowane odbłaskiem białych

tłumów, zagrały żywemi barwami na malowanych ścianach, na pozłacanych gżemsach i hieroglifach napisów. Rzędy glinianych figurek i zwierząt bajecznych na szczytach i rogach dachów rysowały się wyraźnie w błękitnym blasku, jak pulki czarodziejskie karzelków, zamarych w pochodzie.

Zebrani poczynali się niecierpliwić.

— Zaczynać!...

— Eee!... Kiedyż wyjdą?!

— Kim-non-czi!...

Na wzniesieniu postawiono długi stół i przy nim szereg krzeseł; to uspokoiło cokolwiek tłum.

— Zupełnie, jak w sądzie!... — zrobił ktoś głośno uwagę.

— Pociesz się, że to jedyny raz, kiedy nie będziesz potrzebował za to placić!... — odrzekł głos drugi.

Serdeczny śmiech przeleciał nad tłumem.

— Cicho... Otwierają środkowe drzwi!...

— Stary Miń-jok-ik wychodzi i siada pośrodku!...

— Ho, ho!... Wygląda jak sam Wielki kapłan..

— Obok So-goan-bom... Dzo-choe-ion...

— Patrzcie: Kim-non-czi siada gdzieś na końcu!...

— Kim-non-czi zawsze jest skromnym, jak przystało mędrocwi...

— Kim-non-czi jest młody...

— Młody latami, ale rozumem jest może z nich najstarszy!...

— Nie bredź!... Trąci Japonią, jak stara flaszka wódką!...

— Cicho!... Miń-jok-ik mówi!...

— Uciszcie się!...

W ciszy, jaka ogarnęła skupionych słuchaczy, słabo rozbrzmiewał drżący, starczy głos Miń-jok-ika.

— ...a więc związek nasz powstał, aby utrwalić dwa najważniejsze czynniki, stanowiące o potęgę i niepodległości narodu: po pierwsze, państwo nie powinno nawet pośrednio dopuszczać cudzoziemców do spraw administracji narodowej...

— Eee! Czo-so!... — przytaknął zgodnie tłum.

— ...po drugie, samo powinno się wzmacniać przez mądrą politykę i utrwalenie praw w Królestwie...

— Czo-so!... — zabrzmiało o wiele ciszej i skromniej.

— Przyczyną założenia naszego związku była cześć i miłość dla Tronu i Jego Królewskiej Mości Najjaśniejszego Pana... Pragniemy wzmocnić serca ludu w tych czasach burzliwych, aby przez to utrwalić Dynastję na Stolicy i ocalić niezależność narodu...

Cichy, pełen głębokiej czci, szmer przeleciał przez tłum. Mówca umilkł, oczy utkwiał w bramie i cały tłum w tę stronę głowy obrócił.

Wysoko po nad tłumem, we wspnianiem krzesła, na plecach licznych tragarzy, zatrzymał się w samym wylocie bramy Kim-ok-kium. Duża jego głowa i tęga postać w fioletowych jedwabiach wspniale odrzynała się na blado-błękitnym tle jesiennego powietrza i bladych zarysach dalekiego miasta. Dwie krzywe sosny przed bramą zwieszały ciemne iglaste gałęzie nad samą głową dostojnika w starodawnym szlacheckim birecie z końskiego włosu.

Ministrowi towarzyszył tłum dworzan, który idąc przed nim i za nim, torował drogę i ochraniał go wśród zebranych.

Kim-ki dawno już znajdował się na miejscu, na wzniesieniu kamiennych schodów. W niezmiernem podnieceniu wodził on zakochanemi oczami za Kim-non-czi, swym przyjacielem i przewodnikiem, który, siedząc za stołem napozór spokojny, przerzucał leżące przed nim papiery. Usłyszawszy imię ojca, Kim-non-czi wstał i pospieszył naprzeciw. Stary, z właściwą mu łaskawą powagą, przyjął niski ukłon syna i opierając się ręką na pochyłonych jego ramionach, wstał na wzniesienie. Zrobiono mu miejsce tuż obok prezesa.

Miń-jok-ik po skończeniu powitań ciągnął dalej przerwana mowę:

— W ostatnich czasach my, wierni słudzy Najjaśniejszego Pana widzimy, że swobodzie naszego narodu grozi zagłada, że rozczerwanie

i niezadowolenie legną się w sercach obywateli. Nieuczciwe koła to sprawiły, skorzystały one ze sposobności, aby zadowolnić swe pogardy godne popędy. Wpływy cudzoziemskie ciągną nad Tro-nem i posuwają się tak daleko, że zagrażają na-szej niezależności...

A gdy raz ją utracimy, żal i skrucha jej nie wróca. Jedynym środkiem utrzymania porządku i przyspieszenie rozwoju życia narodowego jest przyznanie słusznej siły prawu oraz wydanie od-powiednich rozporządzeń i uporządkowanie insty-tucyi rządowych... Lecz władze lekceważą zaró-wno dawne, jak i nowe prawa, a rozporządzenia, zasady i instytucje nasze stały się literą martwą. W takich warunkach jakże możemy przypusz-czać, aby inne ludy, aby cudzoziemcy wierzyli w zdolności naszego samorządu do dalszego istnie-nia. Nie wierzą w naszą siłę, wskutek czego skłonne są wglądać w nasze sprawy a jeżeli im na to pozwolimy, pójdą dalej, szukając własnej korzyści. Dlatego wzywam was do narad nad po-prawą praw krajowych i do złożenia w tej kwe-styi wiernopoddanych prośby Najjaśniejszemu Panu Naszemu i Ojcu!...

Usiadł wśród wstrzemięźliwych, nieśmiałych objawów uznania. Oczy słuchaczy zwróciły się na Kim-ok-kium'a, oczekując od niego odpowie-dzi, ale minister siedział na miejscu z niezmaco-nym spokojem. Wzamian podniósł się wysoki,

chudy Jun-chon-juk i, poprawiwszy okrągłe oku-lary, zaczął piskliwym głosem:

— Złe rządy powstają wtedy, gdy źli ludzie wysuwają się na czoło, a mądrzy unikają wpły-wów. W ciągu ostatnich dziesięciu lat rok nie minął bez zaburzeń. Nasza starożytna, 2000 lat licząca ojczyzna, zachwiała się w posadach; gro-ziło jej niebezpieczeństwo i miliony ludzi popa-dły w nędzę. Samolubstwo nasze przyczyna tego, każe nam rumienić się i płonąć ze wstydu. Za-miast poprawić się i zjednoczyć, dzielimy się, za-miast ustępować sobie, kłócimy się... Zarozumia-łość, upór, stronniczość rozdzielają nas, a przecie powiedziano jest: rady mędrców słuchają wszyscy pilniej, niż groźnych rozkazów... Myśli mędrca podobne są do wody, im częściej z nich czerpać, tem wydają się głębszemi, im więcej ku nim się zbliżać, tembardziej stają się niedościgłemi. Po-dobne są do ognia, który tem mocniej grzeje, im szerzej został rozgrzebany. Mędrzec, aby zdobyć wiedzę, nie potrzebuje podróżować, opisuje do-kładnie rzeczy, których nie widział, osiąga skutki bez działania. Poucza nie słowami, lecz przykła-dem. I choć nie czyni, lud odrazu doskonali się. Mędrzec nie wymaga, a jednak lud staje się szczerym i łagodnieje w jego obecności. Mędrzec okazuje skromność i zato czczą go, unika przepychu a mimo to jaśnieje... Mędrzec staje na ostatniem miejscu, choć należy mu się pierwsze.

Ale jak stać się człowiekiem wyższym, mędrcom? Starożytni powiadali: dążąc do szczerości pożądań, należy przedewszystkiem rozszerzyć do możliwych granic wiedzę. Rozszerzenie wiedzy polega na zbadaniu rzeczy. Przez zbadanie rzeczy osiąga się wiedzę zupełną. Z osiągnięciem zupełnej wiedzy pożądanja nabierają szczerości, polepszają się serca. Przez ulepszenie serc wychowuje się osobistość. Wychowanie osobistości wytwarza rodzinę. Wytworzenie rodziny prowadzi do sprawiedliwych rządów państwa. Sprawiedliwe rządy państw utrwalają spokój i szczęście we wszechświecie. Dążmy więc wszyscy do mądrości, gdyż to jedyna droga do poprawy naszych obyczajów, do uzdrowienia naszych nieszczęść... Nie zmiana praw, nie zrównanie poddanych z przełożonymi, nie rozdawnictwo ryżu głodnym zmienia życie, lecz dążenie do mądrości... Bo czyż najlepsze prawa zabezpieczą od krzywdy, jeżeli nie będą wykonywane? A czy mogą być wykonane i zrozumiane bez wpływu mądrości mądre prawa? Gdy serca nasze staną się doskonalszemi, staną się doskonalszemi i czyny nasze... W ten sposób, posuwając się zwolna, krok za krokiem ku doskonałości, osiągniemy bez gwałtu Nieba... Poco burze, poco zamęty, siejące śmierć i nędzę?... Zamiast tego niech każdy zagłębia się w sobie, i rozważa nauki przodków, jakie przez wieki swego istnienia wystarczały naszej ojczyźnie,

wielkiej krainie Cichego Poranku, Dzo-siön!... Tyśiące pokoleń żyło pod skrzydłem jej obyczajów, kwitnęło tysiące miast, powstawały nauki i sztuki. Dłaczegóż mamy zmienić rzeczy doświadczone w przeszłość na nieznane nam, na nie wypróbowane środki?!... Należy kochać się wzajem i dążyć do mądrości i jedności, a żadne potęgi nie zmożą nas... Niech na ołtarz ojczyzny możni niosą swe skarby, mądrzy wiedzę, biedni swe cierpienia, wieśniak swój ryż, niewolnik swą niewolę... Niech wszyscy czują dla siebie litość i wyrozumiałość, niech gniew zamieni się w łaskawość, pożądlivość w szczodrość, zawiść w życzliwość... Niech każdy umie zadowalać się kruszymi szczęścia jakie przyniósł mu los i znosić bez szemrania niepowodzenia... W udoskonaleniu się wewnętrznem, w dążeniu do równowagi ducha szukajmy poprawy obyczajów a nie w burzycielskich prawach i zamieszkach, rodzących złe namiętności i niezaszczalne nadzieje... Bądźmy mędrkami, gdyż życie jest krótkie i każda omyłka grozi nam gorszem wcieleniem po śmierci, oraz ukróceniem życia na sto dni albo lat dwanaście...

...Gdyż, pamiętajcie, że płynąć po falach i patrzeć w oblicze Drakona, jest cnotą rybaka, polować i nie lękać się nosorożców i tygrysów, jest zaletą myśliwca, spotykać niebezpieczeństwo z orężem w ręku i patrzeć na śmierć, jak na życie, jest obowiązkiem żołnierza, uznawać, że niedo-

statek jest wyrokiem Niebiosów, że życiem kierują prądy zaświatowe, oraz nie bać się trudów życia, jest cnotą mędrca!...

Tłum szeptał niewyraźnie.

— Eee! — rozległy się wreszcie głosy, lecz pochwały nie ucieszyły Ju-chon-juk'a, gdyż chwila skupionej ciszy, jaką prosta przyzwoitość każe zachować słuchaczom po każdej mądrej mowie, nie odpowiadał według niego ilości cytat, zaczerpniętych przezeń pracownice ze starych dzieł.

— Albo się oni na czym poznają?!... — mruzczał do siedzącego obok Kim-non-czi'ego, który coraz niespokojniej przerzucał swe notatki.

Mówiło jeszcze kilku mówców. Wszyscy nawoływali do jedności, do zgody, mówili o korzyściach, płynących z umiarkowania, ze spokoju i mądrości. Tłum kaszlał, kichał i szeptał coraz głośniej. Wreszcie powstał z kolei Kim-noo-czi i wszystko znów ucichło, zamarło, wszystkie spojrzenia zestrześli się w jednym kierunku.

— Słuchajcie rodacy!

Nie przeczę, że cnota jest rzeczą przyjemną, a mądrość celem dostojnym. Ale nie zaprzeczycie również, że człowiek ciemny, aby zapoznać się z istotą cnoty, musi posiadać ukształcenie, że nędzarz głodny potrzebuje zjeść kaszy, aby mógł rozmyślać o mądrości, że człowiek wyczerpany i przeciążony pracą musi się wypaść i mieć chwilkę czasu, aby myśli jego dostały skrzydeł.

Większość naszego ludu są to chłopci i niewolnicy, pracujący na roli... Czy rozmyślaliście kiedy, jak upływa życie tym istotom, których ręce są źródłem naszego istnienia? potęgi całego państwa? Kiedyż mają oni czas na nauki i doskonalenie się, o których tu tak dużo mówiono? Od wczesnego ranka, od świtu już widzimy wieśniaka w polu, jak tam orze, sieje, piele, sadi żdźbła młodego ryżu, stojąc po pas w błocie... Rok cały, na równi ze swym wolem, on spędza w ciągłej pracy, której owoce w małej ledwie części do niego należą... Połowę zabiera właściciel gruntów a połowę pozostałej połowy poborca podatków. Gorsze jeszcze jest położenie niewolników, którym z ich zbiorów pozostaje tyle tylko, ile uzna za stosowne ich pan... Pan ma prawo bić go, jak bydle, nawet wolno sprzedać jego samego, oraz jego żonę i dzieci oddzielnie odeń. Napozór najlepiej mają się ci wolni, co posiadają własne grunta, ale takich prawie niema... Grunta włościan są strasznie obdłużone i należą właściwie do ich wierzycieli. Chłopci, pracujący dla nich, zamiast dzierżawy, płacą procenta wierzycielom, co jeszcze gorzej. Zresztą nad całem włościanstwem czuwają wciąż drapieżne kruki, które nie dopuszczają, aby dobrobyt ich wzrósł nad poziom nędzy... Ich oburza, jeśli chłop pozwala sobie na zbytek codziennego spożycia ryżu... i krzyczą w niebogłosy o upadku obyczajów, o próżniactwie, skoro spo-

strzegą wypoczywającego rolnika... Ci drapieżcy, to my jesteśmy, to są przede wszystkim właściciele ziemscy (szlachta), jań-baniowie, urzędnicy!... Ich łapownictwo, wymagania, pobory, napełniły świat swym rozgłosem... Nikt w kraju nie jest pewny swego mienia, lud jęczy pod brzemieniem podatków a pomimo to skarb państwa jest pusty i cudzoziemcy naigrawają się z naszej słabości... Słyszałem głosy, doradzające wprowadzenia surowych i mądrych praw i przestrzeganie ich, jako środka przeciw ogólnej nędzy i powszechnemu zepsuciu... Ale kto będzie stróżem ich?... Wszak małe dziecko wie, że ci łapownicy, ciemiężcy, ci poborcy wielokroć wypłaconych już danin, ci fałszerze miar podatkowych, ci rabusie wielcy i mali oraz ich dworzanie, rozmaici muń-gek'owie, są to po większej części albo ludzie też niezmiernie zadłużeni albo wprost biedni... Mają rodziny, mają krewniaków bez miejsc, których muszą żywić i utrzymywać, o których muszą się troszczyć... Za swój egzamin, za swą posadę zapłacili pieniądze, które zazwyczaj pożyczili i które muszą oddać... Muszą gromadzić dostatek, gdyż muszą myśleć o swojej starości, o losie swych dzieci... Policzcie, czy dużo jest bogatych ludzi w Seulu, ba, na całym półwyspie?... Palców rąk aż nadto wystarczy, aby ich zrachować!... Nie, rodacy, ani surowe prawa, ani przestrzeganie starych obyczajów, ani ofiary Duchom Gór i Miejsc nie pomogą, nie odwróca

nieszczęścia, które zbliża się do nas, jak zbliża się ku brzegom fala przypływu morskiego... Szarpiąc się w ciągłej nieprawości i ciągłym niedostatku serca ludzkie obojętnieją i na cnotę i na mądrość i ustaje nawet miłość do Ojczyzny, do Tronu... Cudzoziemcy widzą naszą niedolę i rozterkę... Chiny i Japonia z dawien dawna czyhają na naszą niezależność... Teraz Amerykanie, Anglicy, Francuzi i Niemcy szlą ku nam okręty, pełne żołnierzy i towarów... Oni pragną wszystkich nas, zarówno jań-baniów, jak chłopów, wolnych i niewolników zamienić w swych poddanych, aby do nędzy naszej przyrodzonej dodać nędzę narzucaną... Bo przecie zabiorą nas dla swojej korzyści!... Ale nie myślcie, iż poradzę wam zamknąć po dawnemu naszą granicę lub wystrzegać się wszelkich stosunków z zamorskimi gośćmi. Bynajmniej!... Gdyż nie pomoże to nam nic a nic... Przeciwnie, od tych ludzi wiele się można nauczyć, gdyż w krajach ich znikło już wiele tych wad, które bląkają się wśród nas... Ucieka i chowa się w głębi pieczary słaby, silny spotyka przechodnia życzliwie a nieprzyjaciela śmiało...

...I zgubić i uratować możemy jedynie sami siebie. A jak to zrobić, zaraz wam powiem... Zamiast pisać surowe prawa i przestrzegać je niezlomnie, stokroć lepiej uczynić zmiany, które każdemu pozwoliłyby być dobrym, sprawiedliwym, wspaniałomyślnym... Dały mu możność za-

rabiać na utrzymanie przez pracę, dały mu czas do zgłębienia wiedzy i ćwiczenia się w enocie... Któż wtedy zechce krzywdzić bliźnich swoich?... Wszakże ludzie są potomkami Nieba i w duszach ich zasiane jest nieśmiertelne pragnienie dobra!... Inaczej dawno wyginęliby, wymordowaliby się wzajem... Należy więc znieść co rychlej przywileje, należy pozwolić jań-baniom i niewolnikom trudnić się wszelką pracą, należy przyznać jednaki prawa i sądy dla wszystkich, należy znieść kupczenie urządami, wprowadzić szkoły, ilość urzędników zmniejszyć o połowę... Niech każdy ma prawo mieć ubranie jakie chce, mieszkać jak chce i trudnić się czem chce...

...Ale wszystkiego tego uczynić nie będziemy w stanie i na nic się to nie przyda, jeżeli nie zniszczymy przedewszystkiem niewolnictwa, które zaszczerpia w sercach jednych ludzi gorycz poniżenia a w sercach drugich dręczycielskie przyzwyczajenia i obojętność na cierpienia istot do siebie podobnych...

...Musimy również... chłopom oddać ziemię... Musimy ziemię oddać tym, którzy ją uprawiają i wydać prawo, że nikt nie może jej posiadać więcej, niż jest w stanie z rodziną uprawić. Bez tego nie dźwignie się chłop z nędzy, nie napelni się skarb państwa i nie będą mieli gdzie się podziać pozostali bez urzędów jań-banie... Wszelki inny przewrót wywoła jedynie zamęt i zaburzenia.

Od zniesienia niewolnictwa i rozdania ziemi rolnikom, musimy zacząć odrodzenie naszej ojczyzny. Wzywam więc was wszystkich, władających duszami ludzi i obszarami pól, abyście rzekli się ich dla dobra swych dzieci, dla przyszłości naszej matki Krainy Cichego Poranku, dla swego spokoju i dla ulżenia nieszczęściu całego ludu. Bądźcie mądrzy, bądźcie przezorni, bądźcie miłośni, i oddajcie w spokoju, dobrowolnie to, co inaczej zostanie wam wydarte w bólu, w męczarniach, w potokach łez i krwi! Błagam was, wzywam, zniszczcie niezwłocznie prawa swe na posiadanie ludzi i ziemi!...

Zasłuchany tłum nie ruszył się, dźwięku nie wydał, choć wzruszony mówca dawno już skończył i siadł na swem miejscu.

Ten wyraz czci nie uczynił wszakże najmniejszego wrażenia na Kim-non-czi'm. Twarzy jego nie opuszczała trwożna troska, oczy mgliło rozтарnienie.

Od rozmowy z ojcem rozpadły się ostatecznie w jego duszy dawne wiązadła, stracił nadzieję pokojowego rozwiązania sprawy, zrozumiał, że uprzywilejowani dobrowolnie władzy swej nie ustąpią, że pozostała mu jedynie droga bólu i grozy. Zbrzydła mu dotychczasowa robota, zmarniała w oczach, poczuł wstręt do wszelkich słów... Musiał raz jeszcze przemówić, ale nie mógł już wzlecieć na dawne wyżyny zapału i wiary...

Rozczarowani słuchacze milczeli; nikt nie zgłosił się, że rzuca lub drze swoje przywileje, nawet ci, co w prywatnych rozmowach obiecywali to uczynić. Dopiero, kiedy wstał Kim-ok-kium i jego głos silny i ostry zadźwięczał, słuchacze wydali zbiorowy, podobny do westchnienia, pomruk.

— Zapewne, iż każdy ma prawo postąpić ze swoją własnością, jak mu się podoba. Prawo nie zabrania tego, owszem pochwała wszelkie akty miłosierdzia. Stąd nie zdrożnego nie widzę w projekcie Kim-non-czi'ego... o ile ogranicza się do dobrej woli posiadaczy i nie dąży do wyzucia ich z własności nakazem... Prawo nie zabrania nie korzystania z przywilejów.... Państwo wszakże musi takie przywileje zachować w swych prawach... Pożytku ich nie potrzebuję wcale dowodzić. Państwo nasze opiera się na współdziałaniu wszystkich klas a istnieje już tysiące lat... Stare obyczaje są to obyczaje wypróbowane i nikt nie zechce w czasie burzy przesiać się, może z niezbyt wygodnego ale wypróbowanego statku do nieznanego sobie czółna. Niewolnictwo jest tylko formą najmu, wcale nie gorszą od używanej w osławionych krajach zamorskich. Owszem słyszałem, że z większym okrucieństwem obchodzą się panowie zachodu ze swymi najmitami, niż my z naszymi niewolnikami... Podział ziemi między chłopów uważam za projekt fantastyczny oraz niezmiernie niebezpieczny, grożący wprost spokojowi państwa... Za-

dną miarą nie mogę dopuścić do obrad nad nim i z rozkazu Najjaśniejszego Pana towarzystwo »Kwiatu Narzeczonego« rozwiązuje i obrady jego zawieszam...

Skończył i surowym wzrokiem powiódł po tłumach, które zaczęły się w popłochu rozchodzić. Oddział żołnierzy wszedł na podwórze. Wtedy dopiero oczy Kim-ok-kiuma spotkały się z rozgorzałym, buntowniczym wzrokiem syna...

— Uczynisz, jak zechcesz, panie... Ale co pocznę ja i dokąd się podzieję?

— Nie martw się, stary... Możesz u mnie pozostać, tylko... Kim-non-czi mówił, że w takim razie powinienem... płacić ci pieniądze!...

Chakki rozśmiał się.

— Jakże będziesz mi płacił pieniądze, kiedy ja je tobie przynoszę?...

Obaj chwilę rozważali powstałe trudności. Niewolnik przysiadł obok swego młodego pana na macie.

— To prawda, ale widzisz, Chakki... to musi być zrobione... bo jakże, posiadając niewolnika, będę mógł mówić innym o obrzydliwości niewoli!... Widzisz, Chakki... wyznaję, na chwilę nawet nie przypuszczałem, że mię porzucisz... Pomyśl, co bym robił bez ciebie, sam jeden tutaj, gdzie nie mam żywej duszy przychylniej... Spytałem się Kim-non-czi'ego, jak to mam uczynić, ale myślę, że mógłbyś zostać... jak towarzysz, jak przyjaciel!... — szepnął wstydliwie.

— O, mały synu mego pana!... Chłopczyku, wypiaśtowany na moich rękach!... — wyrzekł stary, ocierając nieznacznie palcami łzy z pomarszczonych policzków. — Jakże ja, człowiek najniższego rzędu, ze stanu, powyżej którego stoją nawet rzeźnicy, koszykarze i aktorzy... jakże ośmielę się uważać za towarzysza i przyjaciela potomka starożytnego rodu... Choćbyś mi najsu-

XIII. WIEŚCI OD STRYJASZKA.

— Chakki, chodź-no tutaj! — krzyknął na niewolnika Kim-ki. Przewracał długo w pudełku z papierami, podczas gdy zdziwiony starzec zatrzymał się we drzwiach ze swym pudłem przepienia.

— Na, weź twój papier!

Chakki nie ruszał się, ale zaognione jego powieki bez rzęs mrugały niespokojnie.

— Co nowego zamysłasz?... Co to jest?

— To jest... twój dokument! Zapis niewolniczy...

— Więc mię wypędzasz?!... Dawno już o tem w mieście gadają...

— Wcale nie, ale widzisz... Kim-non-czi powiedział, że ci, co pragną zmiany, co pracują dla poprawy ojczyzny, powinni zacząć od siebie i przedewszystkiem uwolnić swoich niewolników...

rowiej rozkazał, uczynić tego nie mogę, gdyż nie podobna zniszczyć przeszłości!... Czy cofniesz plagi, które nieraz odbierałem? Czy zniszczysz pogardliwe obejście, do którego my, niewolnicy, przyzwyczailiśmy się od dzieciństwa?!... Ty, szlachcie, musiałbyś umrzeć od jednej takiej zniewagi, a ja żyję, ścierpiawszy ich tysiąc... Aby znieść niewolę, trzeba wypruć z niewolników żyły i napełnić je nową krwią... Słuchaj, synu mego pana, przestań chodzić do tej obrzydłej tancerki, porzuć szaleńca Kim-non-czi'ego, który z własnym walczy ojcem, wróć do dawnych starych obyczajów!... Nie dobrze jest też, że chodzisz do tej przeklętej szkoły amerykańskiej, ale cóż robić, skoro powiadają, że teraz inaczej dostać nie można urzędu... Przestań jednak, panie, mieszać się do spraw burzycielskich, do nowinek japońskich... Złe się to wszystko skończy!... Wierz mi... Nie spraw, aby stare me oczy widziały twe białe ciało na placu Dzo-no!... Stary Chakki umiera od samej o tem myśli!... A przecież dojdzie do tego!... Chodząc po ulicach, słyszę, co mówią ludzie!... Macie trochę przyjaciół, ale więcej macie wrogów!... Czyż nie lepiej, zamiast rzucać się w gorączce, zaczekać cierpliwie, aż los da ci to, co się należy dziecku dostojnika?! A może stryjaszek umrze lub sumienie go ruszy i pomoże nam uzyskać dobrą posadę?!... Czyż nie nęci cię powrót w nasze góry, nie nęcą błyszczące pola, za-

siane młodym ryżem?... Zabierzesz od teścia Sim-czen i popłyniesz ci życie spokojnie w wiejskim zaciszu, wśród kwiatów i dzieci... Młody jesteś i nie wiesz co kochanie, bo Ol-soni to nie kochanie... Mocna »suli« nie ugasi pragnienia... Młody podróżnik szuka krynicy wody...

Skupiona twarz Kim-ki'ego coraz gorętszym powlekała się rumieńcem.

— Nie rozumiesz mię, Chakki, wcale mię nie rozumiesz... Bynajmniej nie chodzi o to, aby było dobrze niektórym, lecz chodzi o to, aby było dobrze wszystkim razem... Nie raz mówiłem o tem z Kim-non-czim... Ty nie mów źle o nim, jestto człowiek równy Niebiosom... W innych krajach dawno już zmieniono stare obyczaje; ludzie są wolni, każdy robi co chce, pracuje gdzie chce, ubiera się jak chce... Ludzie choć cierpią, ale są szczęśliwi, gdyż widzą możliwość poprawy swego losu... U nas wszystko dusi się, jak ryż gotowany pod pokrywą kotła... Musimy koniecznie znieść niewolnictwo, gdyż ono jest przyczyną naszej własnej niewoli, niewoli całego kraju!

— Jestem więc przyczyną twojej niewoli?! — wyrzekł z wyrzutem Chakki.

— Ach, wcale nie to chciałem powiedzieć... Nie umiem ci wytłómaczyć, ale czuję wybornie, że mam rację... Ach, gdybyś ty choć raz posłuchał Kim-non-czi'ego... Chcesz, zaprowadzę cię...

— Nie będę nigdy słuchał tego wichrzyciela!

Pragnę jeszcze nosić głowę na miejscu! — odpowiedział stary.

— Proszę cię, nie mów tak... I to, co mówisz o Ol-soni, jest niesłuszne... Nie byłem ani chwili jej kochankiem!... — dodał ze smutkiem. — I on i ona są szlachetni i czyści ludzie, hartowni jak kawałek starego nefrytu... Nigdy źle o nich nie mów, bo sobie tem tylko krzywdę wyrządzasz!... Weź swój papier, albo chcesz, to ja go podrę!...

Chakki patrzył posepnie, jak młody jego pan darł poźółkły papier i mruczał:

— Zabraliby ją prędzej do pałacu... Skończyłaby się cała ta heca!...

— Kogo mają zabrać do pałacu?

— Kogóż, jak nie tę uwodzicielkę?... Słyszałem na targu!... Znowu ją wzywano do księcia na tańce...

Kim-ki pobladł.

— Kto ci to mówił?

— Kto mówił? Wszyscy mówią... Od czasu, jak Kim-non-czi spalił dokumenty i zapisy swych dzierżawców, Cu-iremi, rzecz prosta, szuka nabywcy na swój towar... Ach, gdybyś miał wszystkie należne ci pieniądze, kupiłbyś ją sobie, choć na kilka miesięcy i uspokoiłbyś się...

Kim-ki nie odpowiedział mu, siedział zamyślony ze zmarszczonemi brwiami i dopiero, gdy niewolnik zabrawszy pudło, zniknął za drzwiami,

padł ze stłumionym jękiem na bambusowe wez-głowie.

Rozpacz jego nie trwała wszakże długo, wobec tego, że na werandzie rozległy się kroki i ostrożnie wsunął się do pokoju Kim-bo-remi.

— Naje-uasso!... Jakże powodzi ci się w nowej cudzoziemskiej szkole?... — zaczął cichym głosem.

Po długiej rozmowie o najrozmaitszych rzeczach, wtrącił wreszcie od niechcenia.

— Byłoby ze wszech miar lepiej, gdyby osoby należące do dworu Kim-ok-kiuma rzadziej odwiedzały słynne tancerki!...

Kim-ki z tonu zrozumiał, że przyjaciel poto tylko przyszedł, aby o tem go powiadomić.

— Czy pan nasz kazał ci to powiedzieć?

— Nie, lecz wnioskuje z wielu rzeczy, że na tancerkę zwrócona jest uwaga... Kim-non-czi zbyt stanowczo się wypowiada... Czerń stołeczna jawnie zbiega się, aby go słuchać...

— A ty słyszałeś go?

— Nie, choć wiele obecnie gadają o jego nieziszczalnych projektach poprawy państwa...

— Nie mów mi nic z tego, co powtarzają jego nieprzyjaciele... Gdybyś go słyszał, zrozumiałbyś, dlaczego nie opuszczają go ci, co go poznali... Przez jego usta mówi sama prawda, miłość, cnota i szczerość, jego nieodstępne towa-

rzyszki... Słuchaj, chcesz, a zaprowadzę cię... — powiedział młodzieniec gorąco.

Kim-bo-remi grzecznie wymówił się brakiem wiedzy i odpowiedniego przygotowania dla robót politycznych i niezadługo odszedł, wyrzekłszy sakramentalne:

— Na kao!

Niezmiernie strwożony Kim-ki pobiegł natychmiast do Ol-soni. Nie zastał Kim-non-czi'ego; tancerka wyszła doń sama, blada i smutna. Opowiedział jej, co słyszał od Chakki'ego i Kim-bo-remi'ego.

— Wiem! — odrzekła cicho, zaciskając mocno blade usta. Wtem wyprostowała się, po twarzy jej przepłynęła ciemna łuna i dodała głosem podniesionym, cierpkim i stanowczym;

— Nigdy się to nie ziści. Na pół roku jeszcze jestem opłacona przez Kim-non-czi'ego i należeć będę do niego! A potem co się stanie, nikt nie może przewidzieć... Pół roku, to szmat czasu! Poco rozważać rzeczy tak odległe! Przed pół rokiem nie mię nie zmusi do złamania zobowiązania, Cu-iremi niema prawa! Kim-non-czi tego nie dopuści... Prędzej umrę! — dodała ciszej.

Wystraszony Kim-ki nie pojmował, co znaczy ostry ton jej głosu i chłodny błysk oczów, dopóki nie dostrzegł w ciemnej głębi sąsiedniej komnaty ospowatej twarzy Cu-iremi'ego. Zauważywszy, że go spostrzeżono, gospodarz ukląkł

w progu i potrząsł grzecznie na powitanie pięściami.

— Dobrze, że cię widzę, Kim-ki, gdyż spotkałem niedawno znajomego kupca, który wrócił w tych dniach z twego rodzinnego miasta... Widział się z twym stryjem... Czcigodny Kim-juńsik jest zdrow i przesyła ci swe błogosławieństwo... Dom na wzgórku za miastem, który nabył od ciebie, kazał odnowić i osadza w nim swego starszego syna... Ożenił go z córką bogacza Päk--jon-cho... Pewnie wiesz o tem?! A może nie wiesz, może, odebrawszy od stryja pieniądze, już o niego nie dbasz?!... — dodał przebiegle.

— Co mówisz?

— A tak!... Stryj opowiadał temu kupcowi, że wysłał ci niedawno należne 10.000 lang... Roztropnie, że udajesz ubogiego, ale w mieście Seulu... nie kuja psów...

Młodzieniec otworzył usta, aby z oburzeniem zaprzeczyć, lecz pochwycił ostrzegające spojrzenie Ol-soni i umilkł stropiony.

— Cha! cha!... Teraz dopiero poznasz przyjemności stolicy!... A może już masz na oku jaką tancerkę?... — cedził Cu-iremi.

— Muszę już iść... czas do szkoły!... — porwał się młodzieniec. Cu-iremi ani myślał opuszczać pokoju; Ol-soni patrzyła wciąż na Kim-ki'ego znacząco, ale nie rzekła doń słowa.

Dopiero wieczorem na zwykłym zebraniu zdążyła mu szepnąć:

— Błagam cię, powiedz, że mię kupisz!... L.. nie targuj się bardzo o cenę.. — dodała z bolesnym uśmiechem.

Kim-ki'emu zaszumiało w głowie, spojrzał na Kim-non-czi'ego, który w głębokiej zadumie siedział wśród wesoło rozmawiających gości. Zimny wstrętny płaz zazdrości wpłynął mu do serca, ale rychło otrząsnął się z niego.

— Widzę, że nie rozumiesz mię.. — szepnęła dziewczyna, zaglądając mu w oczy. — Zrób o co cię proszę a wytłómaczę ci z czasem.. niedługo.. Przyjdź znowu kiedy rano, ale wcześniej, niż dziś, w porze, kiedy Cu-iremi chodzi na rynek.. Eee!... Nie dajcie smutkowi ować sterem czasu, mili goście moi!.. — zwróciła się wesoło do obecnych, uderzając w struny gitary.

Kim-non-czi podniósł głowę.

Żeby zdobyć twe uściski,
Nie szczędziłem trudów, sił..
Dziś nie straszy mię zgon blizki
Gdyż w twem sercu będę żył..

— A jeżeli nie mam na to dość pieniędzy?! — przerwał grubijańsko Kim-ho-duri i roześmiał się.

Kim-non-czi spojrzał nań pogardliwie. Ten bezczelny dworzanin jego ojca chodził za nim od niejakiego czasu jak cień. Gdyby nie wzgląd

na matkę, z którą usiłował w dalszym ciągu pogodzić ojca, pozbyłby go się dawno jednem poruszeniem brwi. Czuł w nim osobistego wroga i szpiega.

— Są ludzie podobni do ślepeca, co ukradł i zjadł własną kurę!.. — wyrzekł szyderez.

— Wybornie powiedziane! — ucieszył się poeta w jedwabiach. — Dajcie mi pędzelek, gdyż chcę napisać wam wiersz. Mam natchnienie.

Pomyślał i napisał kilkoma pięknymi pociągnięciami pędzelka:

Blado-żółte złocenie, nikt i rozwiane
Jak dusze czule, wdzięczne, ale.. niekochane...

Otaczający odczytali przez ramię poety wiersz i pochwalili.

— Chyba, że wprowadzą reformy bez rozlew krwi — wyrwał się ni z tego ni z owego gruby kupiec.

— Smutne nastały czasy — skarżył się urzędnik dworski.

— Ludzie wkrótce oduczą się śmiać. Na rynku, w hotelach, na ulicy, nawet u tancerek, wszędzie słyhać wciąż tylko rozmowy o polityce, o prawie obyczajów, o cudzoziemcach... Jak gdyby miłość znikła ze świata i błękitne Niebo nie obejmowało Ziemi... Pamiętasz, Ol-soni, przed miesiącem śpiewałaś nam i nie skończyłaś piosenki o domku z błękitną dachówką...

— Owszem, powtórzę ją chętnie i dokończę, ale wykonanie jej wymaga tańca... Zróbcie więc miejsce, drodzy goście... Rozchmurz oczy twe, panie mój!... — szepnęła przelotnie, nachylając się do Kim-non-czi'ego. Ten uśmiechnął się zagadkowo.

— Wieści z północy wciąż niema!...

W domku krytym błękitną dachówką
Z gankiem wspartym na słupach czerwonych,
Widzę młodą kobietę w malinowej sukni
I niebieskiej bluzce...
Otwieram do połowy okno,
Śliczna dziewczyna zwraca się do mnie
Z uśmiechem na ustach...
Wchodzę do niej i siadłszy na jedwabnym kobiercu
Śpiewam o motyłu uniesionym przez burzę,
O rzece, w której wykapał się ptak i odleciał...
Czy został po nich ślad jaki?...

.....
Trawy szumią dziś na polach bitew!...

Śpiewała Ol-soni, wdzięcznie kołysząc się do taktu.

— Niezrównana Ol-soni!... Wlewasz w serca nasze słodycz ukojenia... A bez radości, bez spokoju i zadowolenia, nie się nie odmieni, gdyż od wzburzenia umysłu mącą się myśli i wyrazy, a skoro mowa nie odpowiada swej treści, to sprawy toczą się wadliwie. A skoro sprawy toczą się wadliwie, to przestają kwitnąć muzyka i obyczaj. A skoro muzyka i obyczaj nie kwi-

tną, to niepodobna wydawać sprawiedliwych wyroków. A skoro wyroki nie są wydawane należycie, to lud traci zupełnie wskazówki, co robić i nie wie, jak ruszyć ręką lub nogą... Czy nie prawda, Kim-non-czi?... — spytał przyjaźnie poeta w jedwabiach.

Kim-non-czi uśmiechnął się i miał odpowiedzieć, gdy z za drzwi wychyliła się obrzydliwa głowa Cu-iremi'ego. Szepnął kilka słów do Ol-soni i znikł. Kim-non-czi nie ruszył się, uśmiech nie znikł z jego ust, ale wszystkich obleciał nagły niepokój, którego nie rozwiały nawet żarty Kim-non-czi'ego.

— Zapewne, byłoby dobrze, gdybyśmy zawsze obok siebie mieli tancerki i arfy, ale cóż robić: nie-drzewo wybiera ptaka, który na nim siada, lecz ptak wybiera drzewo!...

Chwilę potem Kim-non-czi wstał i pożegnał obecnych.

— Na-kao!...

XIV. POŻAR SERC.

Kim-ki nie wierzył ani trochę w pogłoskę o wysłanych przez stryja pieniądzech. Chakki inaczej się na tę rzecz zapatrywał:

— A może ruszyło go sumienie!... Zawsze to przecież krew Kimów, dobra krew, stara krew!...

Młodzieniec machnął przed nosem przecząco dłonią i, zabrawszy podręczniki, wyruszył do szkoły.

Było zimno i chmurno. Drobnie i rzadkie płateczki śniegu leciały z niskich obłoków, kołtuniastych i obwisłych, jak podbrzusze smoka zimy zahaczonego o szczyty gór. Przechodnie, wracający z targu z koszykami pełnymi żywności, biegli szybko, zasunawszy ręce w szerokie rękawy. Wyżsi urzędnicy kroczyli poważnie na ulicę Ministerską w futrzanych kaftanach i w czapkach zimowych. Rozsądny Kim-ki żałował pieniędzy na zimową odzież, ale mógł sobie pozwolić na

zauszniki. Wstąpił więc po drodze do chińskiego sklepiku i kupił parę ładnych »futurałów na uszy«, wyłożonych futrem wiewiórczem, obszytych atlasem z wyhaftowaną pośrodku żółtą chryzantemą. Włożył je natychmiast i pobiegl dalej, niezmiernie zadowolony z siebie i z nabytku, gdy na rogu ulicy Dzon-no, w pobliżu wielkiego dzwonu, wpadł niespodzianie na Cu-iremiego, rozmawiającego poufale z Kim-ho-durim. Chciał się cofnąć i ominąć ich, gdyż Kim-non-czi radził mu unikać bezczelnego muń-geka, gdy ten już go spostrzegł.

— Eee!... kandydacie na zamorskiego dyabła, chodź-no tutaj!... Właśnie mówimy o tobie!... Gdy przyjdą pieniążki, spodziewam się, że niezapomnisz o swym pierwszym nauczycielu stołecznych rozkoszy... Co będziesz robił z taką górą srebra?!...

— Hm!...

— Pewnie marzysz o Ol-soni... Przyznaj się... Czekasz, kiedy Kim-non-czi wyzbędzie się ostatniego phuna... Nie długo, nie długo... Ale co do »kisań«, to chyba nigdy nie dostaniesz jej, albo na krótko, na jedną chwilkę, ale za dobre pieniądze... — dodał wolniej, jakby łowiąc myśl, która mu nagle strzeliła.

Krew zbiegła do serca Kim-ki, pomny wszakże na prośby dziewczyny, zwrócił się do Cu-iremiego z udanym uśmiechem:

— Owszem!... Dlaczego nie... Jeżeli Kim-non-
czy ją opuści...

Cu-iremi bystro nań popatrzał:

— Za drogi kasek!...

— Choć nie na długo, choć na rok, wreszcie
na pół roku!... — mówił z bezwiednie rosnącym
zapalem.

— Ani na pół roku, ani nawet na miesiąc,
ale... na raz jeden, na kilka godzin, tobyśmy mo-
gli urządzić... Nieprawdaż, Cu-iremi? — wtrącił
niespodzianie Kim-ho-duri.

Cu-iremi długo się namyślał.

— Pięćset jan!... — rzekł krótko. — Sto do-
larów!...

— I sto jan dla mnie za pomysł!... — krzy-
knął Kim-ho-duri.

— Za kilka godzin... tyle nie dam!... Gdyby
choć całą noc!... — upierał się młodzieniec.

— A może i całą noc!... Przynies z sobą tylko
pieniądze...

— A nie oszukacie?!

— Nie oszukamy... Nie bój się!... Nie żal
nam...

— A jak to uczynicie?...

— Sami jeszcze nie wiemy... Ale tak, czy
owak, uczynimy... Będiesz ją miał!... Tylko za-
chowuj się przez dzień cały jak zwykle, żeby
cień podejrzenia nie padł na ciebie... Dokąd idziesz?

Do szkoły?... Więc idź, idź, niech cię tam zo-
baczą...

Wzburzony i niespokojny pobiegł Kim-ki do
szkoły.

— Co to wszystko znaczy? Co zamysłali ci
niegodziwcy?... Z ich tonu, z wyrazu twarzy
wnioskował, że to nie żart, że istotnie zamysłają
coś ohydneho przeciw tancerce... Co znaczy, że
ośmielali się mówić z tak jawnem lekcewaze-
niem o Kim-non-czy?... Czyżby los jego już był
postanowiony?... A może już go niema? Może
już aresztowany?... Może zamordowali go naje-
mni siepacze?!

Angielskie słówka i długie, zawile cudzoziem-
skie rachunki nie szły mu tym razem do głowy.

— Co ci to, mój wielki dzieciaku?! — spytał
go życzliwie mister Hulbock.

— Nic mi nie jest, sir!... Zziąblem pewnie...
Zimny dzień... — tłómaczył młodzieniec.

Istotnie, dreszcz od czasu do czasu przebie-
gał po nim, twarz naprzemian bladła, lub rozpa-
lała się rumieńcem. Wysiedział wszakże do końca
w szkole, gdyż zrozumiał, iż Kim-ho-duri dał mu
z wielu względów doskonałą radę. Jednocześnie
czuł, że musi wszystko niezwłocznie opowiedzieć
Kim-non-czy'emu, że to jedynie zdoła uśmierzyć
burzę, wstrząsającą jego wnętrznościami.

Ze szkoły pobiegł wprost do niego.

Zmierzchało się... Ciemne wały obłoków zwi-

sły jeszcze niżej i z wydętych ich piersi posypały się cicho płatki śniegu, podobne do listków wiśniowego kwiecia.

Kim-ki niezmiernie lubił śnieg, lecz zbyt był stroskany, aby mógł się z czegokolwiek cieszyć. Kim-non-czi'ego w domu nie zastał; służba powiedziała mu, że wyszedł przed chwilą z jakimś kupcem, japończykiem i że odszuka go łatwo w herbaciarni »Trzy brzegi morskie«, w dzielnicy japońskiej. Kim-ki skierował się do południowej części miasta i, minawszy świątynię »Nieba i ziemi«, oraz koszary chińskie, wszedł w ulicę »Czin-go-gaj«, szczelnie zabudowane domami kolonistów japońskich. Sklepy były już zamknięte, gdzieniedzie przez niedowarte szczelnie zasuwu ścian błyszczało światło i widać było gładko ostrzyżone głowy japońskich mężczyzn i wysoko zaczesane, czarne jak heban włosy japońskich dziewcząt i kobiet, pochylone nad małymi stolikami, zastawionymi wieczerzą. Niekiedy z cienia wynurzała się postać w długim, ciemnym »kimono« i rzucała urywane pytania. Kim-ki pośpiesznie mijał je w milczeniu. Dwóch policyantów, brzęcząc wysoko podpiętymi szablami, przeszło środkiem ulicy; ukrył się w cieniu, lecz oni dostrzegli go i, zatrzymawszy się, śledzili za nim podejrzliwie.

— Dokąd to dążysz, przyjacielu?!... — zawołał jeden z nich dość poprawnie po koreańsku.

— Do herbaciarni »Trzech brzegów morskich«...

— W takim razie, ponieważ w ciemnościach łatwo się zmylić, przypomnę panu, że należy zwrócić się w ulicę na prawo... Dom z napisem na latarni!... — grzecznie objaśnił policyant.

— Kombawa! (dobranoc).

— Kombawa! — odpowiedział po japońsku Kim-ki.

Z łatwością odnalazł herbaciarnię, której rzęście oświetlone okna pierwszego piętra i ogromna latarnia z czerwonym napisem odrazu przykuwały oczy w grubych ciemnościach ulicy. Wszedł do otwartego przedsionka, gdzie go zaleciał ostry zapach »suli«. Dwie karłowate sosny, kwitnący krzak późnych chryzantem i jeszcze jakieś drobne rośliny stały rzędem na podwyższeniu, skąd wielkie, czerwono lakierowane schody jasno oświetlone lampami, wiodły na górę. Tam brzmiał śmiech i brzęczały »samiuseny«. Szereg drewnianych sandałów japońskich i para obuwia koreańskiego stały na ziemi, tuż przy podniesieniu. Z boku, przy stoliku, siedział japończyk z ostrzyżoną głową, w szarym »kimono« i czytał książkę. Spostrzegłszy Kim-ki'ego, zbliżył się doń natychmiast.

— O co chodzi?

— Czy mogę zobaczyć się z Kim-non-czim?

— Z kim?

— Z Kim non-czim... Mam pilną sprawę!...

Japończyk udawał, że namyśla się i świdrował młodzieńca błyszczącymi oczkami.

— A co to za sprawa i kto jesteście?...

W Kim-kim obudziła się przyrodzona nieufność do odwiecznych wrogów i nie chciał powiedzieć ani nazwiska ani interesu. Wtedy japończyk poprosił go, aby zaczekał i przyprowadził drugiego japończyka, w takim samym szarym »kimonie« i z głową równie krótko ostrzyżoną.

— Niema, nie znamy żadnego Kim-non-czi'ego...

— Kim-non-czi, syn ministra!... — powtarzał z oburzeniem Kim-ki.

— Odejdź lepiej, człowieku! Powiedziałem ci, że niema tu żadnego Kim-non-czi'ego... Odejdź, proszę, w spokoju!...

— Odejdź, proszę, w spokoju!... — powtórzył drugi.

Odszedł oburzony, ale kontent, że nie powiedział swego nazwiska.

— Istotnie... Naco te psy japońskie mają wiedzieć, kto i poco szukał Kim-non-czi'ego?... Kto wie, co się stać może niedługo?... Jestem pewny, że Kim-non-czi był na górze... Cóż robić?!... Lepiej odłożyć, niż popełnić nieostrożność... Jutro raniutko wpadnę do niego... Zastanę go w domu, gdyż nie będzie pewnie nocował u Ol-soni... Ci

japończycy przesiadują w herbaciarniach zwykle noc całą...

Przechadzka i rozwaga uspokoiły go, wrócił do siebie, wysłuchał pogodnie gderań Chakki i, zjadłszy wieczerzę, usnął snem dziecka. Naza-jutrz po przebudzeniu znów uczuł niepokój, postanowił opuścić lekcyę, aby odszukać przede-wszystkiem Kim-non-czi'ego. Drgnął więc, gdy Kim-ok-kium na zwykłym porannem przyjęciu dworzan, zawołał nań po imieniu.

— Może pieniądze przyszły od stryja... — pomyślał z bijącym sercem.

— Eee, więc to ty?!... Przypominam sobie, żeś przywoził jakiś list, gdzie była mowa o jakichś długach!... Cóż, odebrałeś je?... Słyszałem, że chodzisz do szkoły amerykańskiej...

— Chodzę!...

— Owszem, chodź... Nie jest rzeczą naganną nabywać wiedzę... Owszem... języki cudzoziemskie będą nam potrzebna i skoro się wyuczysz, łatwo znajdziesz miejsce... I ja skorzystam z twojej znajomości języka... Pójdziesz zaraz do towarzystwa elektrycznego i każesz puścić prąd do mej willi zamiejskiej... Potem udasz się tam, każesz ogrzać przy sobie i przewietrzyć pokoje, zamówisz w mieście kwiaty i ubierzesz nimi salę i mały pokój... Każesz stróżowi przygotować dziś na wieczór ryżu i »suli« dla sześciu ludzi... i osobno dobry obiad dla osoby z lepszego stanu... Będziesz pa-

miętał?!... A spiesz się, abyś wrócił przed wieczorem i zdał mi sprawę... Mówiono mi, że masz niewolnika, Chakki'ego.

— Już nie jest niewolnikiem, uwolniłem go!... — szepnął nieostroźnie Kim-ki.

Kim-ok-kium nadał surowo usta.

— Mniejsza o to!... Możesz go zabrać z sobą!... Idź już!... Spiesz się!... Dnie w zimie krótkie...

Kim-ki cofnął się pospiesznie na kolanach. Już na ganku dopadł go Kim-ho-duri i zaszeptał:

— A co? Sprytnie!... Nie zapomnij zabrać z sobą pieniądze... Sto pięćdziesiąt japońskich dolarów... A Chakki'ego możesz zostawić... Powiedzieliśmy o nim staremu Kim'owi dla niepoznaki... Uciekaj!... A nigdzie nie chodź dla niepoznaki!...

Kim-ki postanowił wbrew radzie wziąć Chakki'ego, ale niewolnik już wyruszył na handlową wędrowkę po mieście. Nie mając nadziei znalezienia go, rzucił się młodzieniec na szukanie Kim-non-czi'ego, służba powiedziała, że pan wcale nie wracał do domu. Pospieszył do Ol-soni, lecz nie dopuszczono go. Stara żona Cu-iremi'ego zwymyślała młodzieńca grubijańsko.

— Wynoś się!... Dziewka śpi!... Latacie jak psy, jak psy lezecie do niej jeden przez drugiego!... Mąż kazał nie puszczać was... Tylko maty wygniatacie!... Zadnego niema z was zysku!...

Słońce weszło już z za śniegiem pokrytych

gór i cała zaśnieżona dolina, z miastem ukrytem w białych dymach, wyglądała jak wielka kadź warzelni, wysypana świeżą, lśniąca solą. Wszędzie iskrzyły się blaski i barwy tęcze. Błękitne niebo blade i czyste uniosło się wysoko, wysoko...

Stapając szybko po chrzęszczącym śniegu, Kim-ki głęboko oddychał zimnem i orzeźwiającym powietrzem i czuł, jak niezwykle i rzadko widziana piękność otoczenia, wdziera mu się do stroskanej duszy i uśmierza jej ból. A gdy znalazł się w zaciszu zamiejskiego ogrodu Kim-ok-kium'a, gdzie osędziały drzewa i krzewy, niby wał utkany z piany, ze słonecznego blasku i łabędziego puchu, okoliły go zwartym pierścieniem, zapomniał o wszystkim i, pobrzękując srebrem w trzosie, marzył, aby co rychlej skończyć wyznaczoną robotę i zajrzeć do Ol-soni...

— Co to wszystko znaczy?... Dlaczego kazał mi ten zbój wziąć z sobą pieniądze?!... Aha, pewnie poto, żebym wprost stąd zaszedł doń po drodze... Ale co stanie się z Kim-non-czi'm?! Chyba, że ją porzucił... Pewnie porzucił ją... Może poznał jaką gejsz japońską?!... A może, rozdawszy ziemię i uwolniwszy niewolników, popadł w długi i musiał ją odprzedać?...

Przypomniał sobie prośbę Ol-soni, aby nie odmawiał Cu-iremi'emu jej kupna i eoraz mniej rozumiał, co się wkoło niego działo. Dlaczego

Kim-non-czi nie prosił go o pieniądze? Przecież dałby mu je z radością. W głowie i w sercu czuł chwilami słodki, upajający, jak wino, zawrót, przelewający się w krwi wbrew jego woli i chęci. Niech będzie, co chce!... Spyta jej się szczerze, co i jak i postąpi, jak mu każe obowiązek przyjaciela, jak ona sama zechce... Ona jest panią!...

W rozmarzeniu błakał się po rozkwitłych pokojach, dokąd powietrze i słońce napływało szeroką strugą. Wydając rozkazy służbie, okurzał własnoręcznie piękne, kosztowne ozdoby, malowidła i parawany w wielkim, wspaniałym salonie, wcale nie gorzej, niż to czyniła piękna Czun-hań.

Zwolna podłoga ogrzała się i, po zsunięciu ścian, ogrzało się powietrze w mieszkaniu, zapachniało lakką, kwiatami i kadzidłem.

Dzień miał się ku końcowi. Kim-ki spalił kilka wonnych papierków, spróbował elektryczności, obejrzał sypialnię, gdzie kazał pościel rozłożyć, aby ogrzała się i wyschła, zajrzał do kuchni, gdzie huczał wesoło ogień pod kotłami i uwijała się stróżka z córką i synkiem.

— Będzie ciepło!... — zapewniali go — do północy palić będziemy!...

— Więc pójdę już... Na-kao!

— Idź, idź, nie lękaj się!... Wiemy, czego wymaga nasz pan miłościwy... Nie pierwszy rok służymy mu!...

Noc mroźna, czysta i cicha wydała mu się koreańską niewiastą w białej, powłóczystej szacie i szafirowej narzutce »czang-ok«, ze złotymi gwiazdami. Wśród mętnie białej doliny niewyraźnie mgliło się szarawe miasto z iskrami nielicznych ognii.

Kim-ki biegł szybko ubitą, zamazaną drogą, wesoły, lekki jak ptak, rozśmieszony kłębami własnego oddechu, który buchał zeń niezmiernie obficie.

— Jak spotkam kogo, to zagwizdę i pomyślą, że lokomotywa...

Zdale od miasta dobiegały odległe szmery, szczenia psów, jakieś stuki, jakieś dzwonienia, lecz na ścieżce skrzypiały jedynie jego kroki. Dopiero w pół drogi zamajaczyły na wzgórku postacie i dał się słyszeć tupot miarowy wielu nóg.

— Lektyka! — szepnął. — Może Kim-ok-kium!... — podszedł bliżej.

— Stój, nie podchodź! — rozległ się głos ostrzegający.

— Kto jesteś?

— Kim-ki!...

— Kim-ki?! Ależ wracaj napowrót, niedołęgo!...

Poznał głos Kim-ho duri'ego.

— Co to znaczy?...

— Wracaj! Wracaj!... Nie pytaj!... Zobaczysz,

będziesz rad!... Cha, cha!... Udało się!... — śmiał się muń-gek, biorąc młodzieńca za rękaw. Bił odeń zapach »suli« i spotniałego od szybkiego ruchu ciała. Prowadził Kim-ki'ego za sobą, nie pozwalając mu ani zatrzymać się, ani obejrzeć z bliska na lektkę i ludzi, którzy ją nieśli.

— Cóż, czy ciepło w pokojach, widno, sucho?!

— Ciepło...

— A ryż, »suli«, czy gotowe?... A czy masz pieniądze?...

— Mam... Więc dziś jeszcze pójdziemy do Ol-soni?

— Ha, ha!... Jakiś ty śmieszny!... Jak niemowlę, które jeszcze nie widziało tygrysa!...

Kim-ki istotnie nie rozumiał wcale przyczyny jego burzliwej wesołości i przypisywał ją wypitej »suli«. Zmartwił się.

— Tu sobie do reszty podpije... Będę miał z nim biedę w powrocie do miasta...

Weszli do ogrodu i do domu, wyprzedzając na kroków kilkadziesiąt lektkę.

— Zapal latarnię! — rozkazał stróżowi Kim-ho-duri. — Odkręć elektryczność!... — zwrócił się do Kim-ki'ego.

Po chwili salon zajaśniał tysiącem ognia.

— Wybornie!... Ciepło i pachnie ładnie!...

Stał na progu, nasłuchując, nie zdjawszy z nóg obuwia. Kim-ki zrzucił buty i w pończochach poszedł w głąb sali, aby poprawić źle rozłożone

poduszki. Był pewien, że w lektyce siedzi Kim-ok-kium lub która z jego żon, może stara Miń, matka Kim non-czi'ego. Zdziwiło go niezmiernie gdy przez drzwi wtoczyła się do pokoju gromada ludzi, którzy położyli na środku podłogi przykryte białą zasłoną ciało człowieka.

— Zabity!...

— Juści!... Jeszcze ci się da we znaki!... Nie bój się!... Idźcie, chłopcy, do kuchni!... Snieg wam z obuwia kapie na matę!...

Jednocześnie Kim-ki poznał wśród przybyłych Cu-irem'ego i zaczynał się domyslać. Serce omdlało w nim z przerażenia, nie odważył się pytać więcej, usiadł pokornie na ziemi obok nicponiów, którzy z zimną krwią zapalili fajeczki.

— Cóż, masz pieniądze? — spytał po długiej przerwie Kim-ho-duri.

— Poco?...

— Jeszcze się nie domyślasz? Patrz!...

Zerwał zasłonę i odrzucił ją precz.

Na podłodze leżała Ol-soni w najpiękniejszych swych kolorowych szatach, dzierzganych srebrem, jedwabiem i złotem.

— Żyje?!... — szepnął Kim-ki drżącymi wargami.

— Spi... Połknęła opium... Kim-ok-kium dopiero jutro przyjedzie... Wezwano go do pałacu... Rozumiesz teraz?!...

Młodzieniec zrozumiał i straszne zimno we-

wewnętrzne zaczęło nim trząść, jak burza liśćmi. Wyteżył wszakże wszystkie siły, aby się nie-zdradzić.

— Dużo chcecie? — spytał głuchym głosem

— Mówiliśmy już... Pięćset jan dla Cu-ire-mi'ego i sto dla mnie...

— Nie mam tyle!...

— Więc pocóż nie powiedziałeś odrazu?!... Teraz do miasta stąd nie pójdziesz!... Oho! Nie puścimy cię!...

— Mam wszystkiego czterysta janów...

— Gotówką?

— Gotówką!...

— Pokaż...

Młodzieniec odpiął trzos i rzucił przed siebie, aż moneta zabrzękła.

— Niech da kwit na resztę!... Znajdzie się tu, i tusz i papier... — zwrócił się Kim-ho-duri do Cu-iremi'ego.

Ale ten splunął w bok przez zęby i, włożywszy znowu do ust fajeczkę, mruknął niechętnie.

— Żadnych kwitów, nic z kwitów nie będzie!...

Kim-ki złodowaciał, ale zaostrzona pomysłowość jego, niezwykle skupiona w tej dziwnej chwili, z szybkością strzały podszepnęła mu co robić; zanim zrozumiał, dlaczego to czyni, jął od niechcenia wysypywać srebro z trzosa.

Oczy nieponiów chciwie zabłyśły, nie zdradzili

się wszakże; Kim-ho-duri nawet wstał i wyszedł do kuchni.

— Nie wiem, czy ją tu zostawić, czy przenieść do sypialni... Ale tam niema drugiego wyjścia a tutaj można niepostrzeżenie wejść z ogrodu, jeżeli niedosunąć jednej okiennicy... Musimy nocować razem ze stróżem, bo Kim-ok-kium głowę-by nam ściał... Zazdrosny... Kiedy stróż usnie, po kolei będziemy mogli przychodzić, choć drzwi będą pilnowane... prawda, Cu-iremi?...

— Jakto? Więc... nie zupełnie... mi ją oddacie?!... — szepnął Kimki.

— Możebyśmy oddali, gdybyś przyniósł obiecane pieniądze, ale tak... jeżeli puścimy cię, to na bardzo krótko...

— Przecież daję więcej, niż połowę...

— Ha, nawet, gdy grosza brakuje do ceny, to umowa już inna. Popatrz tylko, co bierzesz...

Nieponie wszczęli z nim ohydny targ; zdarli z dziewczyny kwieciste szaty i, przeginając jej bezwładne ciało na wszystkie strony, wśród barwnych jedwabów, lubowali się jej bezbronnymi wdziękami. Oczy im gorzały jak wilkom, z obwisłych warg płynęła ślina.

Kim-ki przymknął powieki. Czuł, że długo tak nie wytrzyma, że rzuci się na nich. Po długich sporach zgodzili się zostawić mu ją na przeciąg dwóch wart. Wzięli pieniądze i poszli do kuchni na wieczerzę.

— A ty... nie posilisz się?... — spytał szyderezo młodzieńca Kim-ho-duri.

Kim-ki udał, że nie słyszy. Wreszcie znikł za drzwiami. Wtedy młodzieniec szybko zerwał się, drzwi zatrzasnął i wetknął w nie swój mocny nóż tak, że niepodobna ich było odsunąć. Potem przykląkł koło śpiącej, spojrzał na twarz jej miłą, pełną ufego spokoju i zaczął naciagać, zgarniać napowrót przejrzyste jedwabie, jak girlandy kwiatów, na gołe jej ciało. Nie wytrzymał jednak, pochylił się i ostrożnie pocałował jej piersi blade i chłodne, jak lilie. Pod głowę podsunął dziewczynie poduszkę i przykrył ją zerwaną zasłoną po szyję. Podслуchał pod drzwiami, zgasił elektryczność i ostrożnie wysunął się przez nieodomkniętą okiennicę ściany do ogrodu. Tu znowu posłuchał: w kuchni hałasowali tragarze, rozlegał się podpiły głos Kim-ho-duri'ego i ochrypłe gderanie Cu-iremiego. Cichutko, jak cień, przemknął się młodzieniec mimo domku stróża i, wypadłszy na drogę, pobiegł jak szalony do miasta.

Wieczorne dymy już osiadły, ognie zagasły, nieliczni przechodnie na krótko pojawiali się na puszcających ulicach. Mróz tężał, tumany gwiazd śniegowych pływały, kołysząc się w bezruchu powietrza, zasypując domy i ziemię warstwą przejrzystą i powiewną, jak szklana koronka.

Kim-ki skierował się przedewszystkiem do

mieszkania Kim-non-czi'ego. Po długiem kołataniu, otworzyła mu stara, wystraszona niewolnica i powiedziała, że pan jeszcze nie przyszedł.

— Jak myślisz, gdzie go mogę znaleźć?

— Albo ja wiem... Pewnie u tej, u Ol-soni.. W domu rzadko pan nocuje..

Młodzieniec zakrył oczy ręką i namyslał się. Jak świszczące groty, jak tumany skier, miotanych z ogniska porywczym wiatrem jesiennym, kotłowały się w jego głowie przeraźliwe, wystraszone myśli:

— Do kogo, do kogo zwrócić się o pomoc, jeżeli nie znajdę Kim-non-czi'ego?... Nikt nie odważy się!... Chyba japończycy?!..

Niespodzianie wypłynęła przed nim pocziwa twarz mister'a Hulbock'a.

— Spróbuję... On taki dobry, taki sprawiedliwy, taki szlachetny... Daj stara, papier i tuszownicę!... — rzekł głośno.

Napisał słów kilka:

...Ol-soni porwana... Jest w willi twego ojca... Zbieraj ludzi... Szczegóły opowiem... Idę do poselstwa amerykańskiego a potem do domu... Spiesz się, nadewszystko spiesz się... Mało czasu...

Zawahał się, podpisu nie położył, spojrzał na starą i, zakleiwszy list w kopertę, powiedział surowo:

— Oddasz do rąk panu, natychmiast jak wróci!...

Zerwał się, burknął »na-kao« i wyskoczył na ulicę.

— Powściekali się wszyscy!... — mruczała stara, zamykając drzwi. — Gadają, gadają, klóćą się... Zostawiają ludzi bez przytulku i żądają od nich wdzięczności!... Co za czasy, co za czasy!... Kiedyż nareszcie znowu człek będzie mógł usnąć bez ściskania w dołku?!...

Kim-ki po drodze wpadł do siebie. Zbudził Chakki'ego i kazał mu iść do dzielnicy japońskiej, do herbaciarni »Trzech brzegów morskich«, dowiedzieć się, czy tam nie ma czasem Kim-non-czi'ego i wywołać go za wszelką cenę.

— Oddasz mu list. Jeżeli cię nie puszcza, to poślij go przez posługacza. Jeśli Kim-non-czi'ego tam nie ma, to dowiedz się, gdzie jest, może wiedzą...

— Zjadłbyś cokolwiek... Dzień pewnie cały nie miałeś nic w ustach...

Kim-ki teraz dopiero poczuł przykry głód.

— Dobrze, przygotuj mi trochę ryżu, zanim list napiszę...

Chakki podał mu stoliczek ze zwykłą kolacją, chciał się spytać, co znaczy ten niezwykle pośpiech i wzburzenie, ale jego młody pan, włożywszy do ust parę garści ryżu i, zabrawszy resztę w papier na drogę, ruszył ku drzwiom, nakazując mu, aby też udał się niezwłocznie według wskazówek.

Znów znalazł się Kim-ki na pustych ulicach, pod niebem gwiazdzistym, z którego, niby z sita, sypał się proch brylantowy.

— Późno już, późno!... Niedługo druga warta!... A co, jeżeli popiwszy się, nieotrzymali umowy i włamali się do sali wcześniej?!...

Sarnie nogi młodzieńca poruszały się z sarnią zaiste szybkością. Na ulicach było pusto, jak wymiotł. Jedynie u bramy pałacowej chodził szyldwach, błyskając bagnetem w słabem gwiezdne światło. Gdy mijał zamkniętą furkę mieszkania Ol-soni, serce mu drgnęło. Już nigdy, nigdy nie wróć czarowne wieczory! Co teraz będzie? Czem się to wszystko skończy? Przeczuiwał, że to początek czegoś... wielkiego i nieuniknionego, jak wyjście słońca po nocy, jak przypływ morza lub wybuch wezbranego wulkanu...

Bramę poselstwa znalazł zamkniętą. Zadzwoił ostro. Stróż ostrożnie uchylił furkę.

— Mister Hulbock?

— Jest, jest!... W oficynie na prawo...

Pamiętał ją dobrze od czasu swej przygody z niedźwiedziem. Sute światło gorzało i w głównym pałacu i w oficynie i, przedzierając się przez szczeliny źle domkniętych okiennic, rzucało daleko w ciemności snopy krwawo-złotych strzał. Kim-ki wszedł na ganek i jak wówczas zastukał do drzwi. I jak wówczas nikt długo nie ozwał się z wnętrza. Obeznany już cokolwiek z euro-

pejskimi zwyczajami, szukał dzwonka, ale nigdzie nie znalazł ani rączki ani galki mosiężnej. Ruszył więc dookoła przez podwórko. Gdy zbliżył się do pamiętnej furteczki, obleciała go nagle zabobonna trwoga... Spojrzał na ciemną figurę niedźwiadka, który poczuwszy go, brzęknął łańcuchem i podniósł się na łapy; spojrzał na przymknięte okiennicą okno, w którym ukazał mu się wówczas »rudy pies«... Pruszyzny śniegu wily się w smugach światła, to wypływając, to niknąc w ciemnościach, ciche, zmienne, ruchliwe, jak rój sylfów, hasających wokoło promienia.

Kim-ki'emu wydało się, że zrozumiał wreszcie przepowiednię: »rudy pies« to dyabejski, wstrętny Cu-iremi. Wzdrygnął się i wszedł po schodkach do kuchni.

— Proszę poprosić mister'a Hulbeck'a!... — rzekł po korejsku do kucharki.

Spojrzała nań i znikła za następnymi drzwiami.

Mister Hulbeck wyszedł niezwłocznie i poprosił go dalej. Porywczym głosem opowiedział mu o zdarzeniu i błagał o pomoc. Mówił po angielsku, lękając się podsłuchania kucharki.

— Okropne, okropne!... Ale, doprawdy, nie wiem, czem mogę ci dopomóc, drogi mój uczniu?! Chyba pošlę ludzi, żeby szukali Kim-non-czi'ego?!

— Poślij, pošlij!... Ale czasu niema, czas upływa... Lepiej daj mi jednego, dwóch posługaczy, abym dziewczynę porwał!...

— Niepodobieństwo, niepodobieństwo!... Mister Arton nigdy się na to nie zgodzi!...

— Mister Hulbeck, czyż koniecznie musimy się go o to pytać?... Daj młodzieńcowi stróża i stajennego, niech przyniosą do nas dziewczynę... Przecież to okropne!... — rozległ się nagle z uchylonych drzwi głos melodyjny.

Kim-ki podniósł oczy i spotkał łagodne, otwarte spojrzenie »rudego psa«...

— Niemożliwe, mistress Hulbeck... ta dziewczyna jest niewolnicą... Z tego mogą wyniknąć niesłychane komplikacje!... Porwać niewolnicę z domu Kim-ok-kiuma!... Niewolnictwo prawnie istnieje w Korei... To okropne, ale ani ukryć jej w ambasadzie, ani dać ludzi dla jej porwania my nie możemy bez pozwolenia ambasadora... Ona niewolnica... Będziemy musieli ją wydać... Słyszałaś, że tam jest jej właściciel... Pójdę zaraz do ambasadora, opowiem mu... Być może, że przez wzgląd na niezwykłość wypadku...

— Lepiej nie chodź pan!... — wstrzymał go zniechęconym głosem Kim-ki. — Będzie za późno... Poślij ludzi szukać Kim-non-czi'ego... Biegnę... Dobranoc!...

Wyskoczył rozszalony niezrozumiałem zachowaniem się ukochanego nauczyciela. Było już tak późno, że z rozpaczy postanowił nie szukać już Kim-non-czi'ego, nawet do domu nie wracać, lecz spieszyć z powrotem do willi.

— Nie puszczę ich!... Nie dam jej!... — powtarzał. — A tymczasem może i Kim-non-czi'ego znajdę!...

Na zakręcie ulicy wpadł niespodzianie na gro-
madkę ludzi i krzyknął z radosnego zdziwienia.

— Kim-non-czi!... Odebrałeś list?!

— Nie.

— Ol-soni porwana!...

— Wiem.

— Jest w willi twego ojca...

— Idę tam właśnie! — odparł twardo syn
dostojnika.

XV. PIERWSZY WIR WODOSPADU.

Daremnie stroskany Chakki czekał noc całą
na swego pana. Nad ranem domyślił się, że za-
szło coś niezwykłego, o czym wiele mówić nie
wypada i wczesnym rankiem wysunął się z domu
na miasto, aby uniknąć spotkania z dworzanami
i klientami Kim-ok-kiuma.

Na szczęście zelżał mróz, taki piękny i przy-
jemny dla bogatych, ale taki uciążliwy dla ludzi
odzianych w łąchmany. Pokrywa szarych chmur
znowu pokryła kotlinę miasta. Z dachów sączyły
się pojedyncze krople wilgoci; na ulicach śnieg
tajał, tworząc czarne kałuże.

Chakki, z pudłem na piersiach, brnął przez
wodę i błoto, starannie wybierając suchsze miej-
sca. Życie miejskie zaledwie budziło się. W zam-
kniętych sklepach gdzieś słychać było
ludzkie głosy i chrobotanie, przez szczeliny ku-
chen miejscami błyskały pierwsze ognie. Z niz-

kich, glinianych dymników, przylepionych do ścian, jak korytarze z gniazd jaskółczych, leniwo płynęły białe kłęby pierwszych dymów.

Chakki dotarł do placu koło »Wielkiego dzwonu«, gdzie najwcześniej zbierają się przekupnie i podmiejscy chłopci z wiązkami chrustu na sprzedaż. Plac był zupełnie pusty. Odszukał więc stary ciepły, zaciszny kącik obok okopconego komina, wsadził ręce głęboko w rękawy, przytulił się do ściany i zdrzemnął. Śniło mu się, że biegnie na czworakach jak pies przez ulicę Ministrów a gromada dzikich istot goni go z wrzaskiem... Na stopniach starego Pałacu, obok kamiennego lwa, stał Kim-ki z szablą w ręku i dawał mu znaki.

Obudziło go mocne szturgnięcie.

— Placuszki... Pestki... Papierosy... Zapalki... Tytoń... — zamruczał machinalnie.

— Zszedł-byś z drogi!... Stanałeś nad samą kałużą!... — odburknął przechodzień.

Plac wypełniał się tłumem. Obok wołów, wyglądających jak ogromne jeże od naładowanych na nich wiązek siana i chrustu, stali chłopci w białych kurtkach, w białych, szerokich rajtuzach, z białymi lachmanami, podwiązanymi na głowie zamiast czapek. Inni nadchodzili pochyleni pod stosami zieleniny, zboża lub słomy ryżowej.

Biedni przekupnie już rozłożyli na suchych miejscach swe maty i poustawiali na nich sprze-

dawane przedmioty... Różnokolorowe garczki, czerwono malowane miseczki lakowe, naręcza sznurów i konopi, góry żelastwa i papierów, pudła z barwnem pieczywem i łakociami tworzyły pstry, ogromny wieniec wokół rynku, na którym kołysało się i rosło gwałtownie mrowie białych postaci z koszykami w ręku, z pęczkami mosiężnych pieniędzy nanizanych na sznurki, z kupowaniem lub sprzedawaniem rzeczami pod pachą. Nad tłumem wirowały czarne kapelusze zamożniejszych, ogromne, koszykowate pokrycia głowy ludzi dotkniętych żalobą i niełeczną, ale jaskrawą, jak pęki kwiatów wśród pola ryżowego, narzutki »czang-ot«, pokrywające głowy i ramiona przechodzących kobiet.

— Placuszki... Pestki... Papierosy... Zapalki... Tytoń... — wołał Chakki, posuwając się wolnym miejscem pod ścianami, wzdłuż sklepów, w których czarnem wnętrzu kręciły się białe figury handlarzy i kupujących.

— Eee!... Kim!... A co się u was stało?... — okrzyknięto go kilkakroć ze znajomych sklepów.

— Co może wiedzieć biedny przekupień?!... Może tytoń, papierosy, zapalek?... —

— Macie się podobno dzisiaj bić z Miń'ami?!

— Nie słyszałem! A zaco?...

— Za to samo... za krzywdę starej żony Kim-ok-kium'a...

Chakki zamyślił się, gdyż żadną miarą nie

mogł powiązać tej sprawy z nocnym pojawieniem się i zniknięciem swego pana, z wyprawą do japończyków, z utratą całego zapasu srebra. Przeczornie zamilkł i spojrzał uważnie na tłum, który istotnie inny dzisiaj miał wygląd, niż zawsze. Dzielił się na gromadki, wśród których gadali jacyś ludzie, wywijając rękami. Wśród mowców stary zauważył dużo z rodu Kim'ów oraz Cu. Stary wmieszał się w tłum, aby posłuchać, co mówią, gdy nagle z pagody, gdzie wisiał dzwon, rozległ się głuchy, przeciągły dźwięk. Wszystkie twarze zwróciły się w tę stronę. Tam, na pochyłości wzgórza, gromadziła się kupa ludzi wzbudzonych i hałaśliwych. Gdy dzwon zadźwięczał raz wtóry, wszystko ucichło. Ponad głowy zebranych wysunęła się krępa postać człowieka w żółtym, nieczernionym kapeluszu wędrownego przekupnia. Obrzękła, czerwona twarz jego zachmurzyła się; wyciągnął rękę:

— Słuchajcie, rodacy, słuchajcie ludzie niższego i średniego stanu, słuchajcie biedacy i pracownicy!... Czas, abyście spojrzeli, dokąd wiodą was cudzoziemcy, chrześcijanie i podkupieni przez nich wichrzyciele... Nietylko targają się oni na nasze święte obyczaje, ale nawet zagrażają samemu Tronowi... Chcą, abyśmy wyrzekli się war-kocza i mycki »man-get«, chcą, aby poważny posiadacz ziemi nie różnił się niczem od rzeźnika, aktora i szewca, chcą, aby nawet ten biedak, co

z wielkim trudem i oszczędnością kupił sobie jednego niewolnika na starość, wyzbył się swego sługi bez względu na to, że pola jego zostaną nieuprawne... Chcą zniszczyć podstępnie wszelką władzę, aby rozpuszczone przez nich szajki złodziei mogły bezkarnie rabować... Słyszeliście przecie nieraz, jak mówiono o tem w bezbożnym klubie »Kwiatu Narzeczonego«!... Stało się, iż Najjaśniejszy Pan w mądrości swej rozkazał zamknąć obrzydłe gniazdo... Niech będzie imię jego błogosławione po wszystkie czasy!... Ale mało tego! Zaraza rozplynęła się po całym kraju, wicherzenia i nadużycia dzieją się bez liku... My sami, wierne dzieci Monarchy, powinniśmy powstać w obronie kraju przed zarazą i wyrwać z korzeniem trujące ziele, inaczej rozrośnie się i zdusi nas!... Co się stanie z wędrownym przekupniem i tragarzem, gdy japończycy pobudują wszędzie swoje gwizdzące koleje?... Czyż mało ludzi pozostało z tego powodu bez chleba?... Co poczną przedarze i tkacze perkalu, skoro cudzoziemskie okręty przywiozą góry tanich malowanych tkanin?... Co poczną rolnicy, gdy z Chin, z dalekiego Siamu przyjdzie kiepski, ale tani ryż?... Słyszeliście o projekcie odebrania od właścicieli ziemi... Zapewne poto, aby ustąpić ją japończykom i amerykańcom... Nie szannąca nie chciwość tych istot, zacznij pruć wnętrze ziemi naszej, szukając złota, węgla, metali... Aż dręczony przez

ich plugawe dotknięcia smok ziemi, wzdrygnie się i ucieknie; od tego drżenia ucieknie woda ze studzien i źródeł a woda rzek wyleje się na brzegi, jak to miało miejsce przed rokiem... Albo susza nawiedzi nas i znowu ludzie będą obgryzali własne ręce, aby zaspokoić głodne wnętrzości!... Poco nam to?... Poco nam nowości?... Poco nam czarnoksiężskie nauki Chrześcijaństwa?... Czyż przodkowie nasi nie byli szczęśliwi czcząc Niebo, miłując Monarchę i pełniąc stare przykazania?!... Rodacy, grożą nam nowe nieszczęścia i nowe napaści i uchronić od nich może jedynie miłość do Tronu, przywiązanie do starych obyczajów, do świętej naszej ojczyzny!... Pójdźmy wszyscy gromadą do Najjaśniejszego Pana i prośmy go, aby odpędził od siebie złych doradców, aby ukarał wicherzycieli, dążących do zmian, wnoszących niepokój do handlu i pracy, źródeł naszego dobrobytu... Precz drogi, poczty, telegrafy, precz zdrożne cudzoziemskie towary i obrzydliwe praktyki religijne, uczące pożerać ciało i krew ludzką!... Precz cudzoziemcy, japończycy, chrześcijanie!... Niech pozostanie wszystko, jak było za ojców!...

— Precz!... Precz!... — ryczał tłum.

— Precz Miń'owie!... — odezwały się pojedyncze głosy.

— Precz!... Prrecz!... Idźmy pod pałac!...

Tłum zakolysał się, na czele jego wystąpiło

kilku grajków z kobzami i skrzypcami, z sąsiedniej świątyni wyniesiono kilka wielkich malinowych i żółtych chorągwi z czarnymi napisami... Już kilku mówców jednocześnie w rozmaitych końcach tłumu, wdarłszy się na plecy przyjaciół, krzyczało i wymachiwało rękami. Ale wszystkich ich zwyciężył Kim-ho-duri... On zajął miejsce pierwszego mówcy na wzniesieniu i ryczał jak byk:

— Rodacy!... rodacy!... Życie nasze, to szereg krzywd... Nie mija dzień, aby możni nie skrzywdzili biedaka!... Chcecie wiedzieć, co się stało wczoraj?... Opowiem od początku... Znacie wszyscy zacnego Cu-iremiego... godnego obywatela, co kupował od was codzien bób, sałatę i ryż... Był biedny, ale miał skarb... Wziął niegdyś umierającą z głodu dziewczynkę, wychował ją, wykształcił, odejmując sobie od ust... Kochał ją, pielegnował jak własne dziecko, którego mu los odmówił... Wyrosła śliczna dziewczyna, tancerka Olsoni!... Kto nie słyszał o przedziwnej jej urodzie i wykształceniu?!... Były one zasługą Cu-iremiego zacnego Cu-iremiego... Wczoraj porwał ją Kim-non-czi, wyrodny syn enotliwego Kim-ok-kiuma.

— Niech żyje Kim-non-czi! — wrzasnął niespodzianie tłum.

— Co pocznie, огоłocony ze swych dochodów, Cu-iremiego?... — jęczał Kim-ho-duri. — Przecież człowiekowi słusznie należy się wynagrodze-

nie za poniesione koszta, kłopoty, zmartwienia... Pokaż się, Cu-iremi, pokaż, jak cierpi serce twoje!...

Ukazał się Cu-iremi z twarzą wykrzywioną cierpieniem. Tłum zamruczał.

— Zabrano mi... dziecko! Dziecko! Ol-soni!... — jęknął rajfur i otarł oczy końcem rękawa.

— Ol-soni!... Ol-soni!... Śmierć cudzoziemcom!... Do pałacu!... Do pałacu!...

Ruszyły chorągwie, poprzedzane przez dziką muzykę a za nimi pochód. Zapełnili ulicę Dzon-no, przeszli most z kamienną balustradą i wciąż zwiększając się przez nowych uczestników, dosięgli placu pałacowego. Ale tutaj wstrzymała ich przeszkoda z szeregu żołnierzy z nadstawionymi bagnetami.

Tłum groźnie zamruczał. Wybrano deputację i posłano do oficera, ten z kolei zwrócił się do pałacu. Po długich oczekiwaniach, wojsko cokolwiek cofnęło się i lud z okrzykami tryumfu, zbliżył się do pałacowych stopni. Dalej go nie puszczono. Piszczalki, skrzypki i bębny wciąż wygrywały przejmującą, podniecającą pieśń, gwar głosów, tupot nóg, urywki pieśni zrywały się, milkły i wirowały nad tłumem, jak stada rozwrzeszczonych sępów. Wietrzyk z lekka chwiał chorągwami. Nagle tłum przycichł. Wierzeje środkowej bramy otwarły się, wojsko brzęknęło i błysnęło bronią, pochyliły się sztandary i głowy

ludzkie: w głębi ogrodu, wysoko, na złocistym tronie, niesionym przez czeredę dworzan i do stojników, odzianych w barwne jedwabie, ukazał się na krótkie oka mgnienie władca Korei, w złocistej, jak słońce, szacie.

Gdy wrota znów się zawarły, wojsko ruszyło na tłum, wypierając go z placu. Gromady ludzi ze śpiewem i wrzaskiem rozchodziły się po mieście, roznosząc szeroko wzburzenie.

Ponieważ dnia tego sprzedaż szła źle, więc Chakki wcześniej powrócił. Zdziwił się i zląkł niezmiernie, zastawszy pana w domu.

— Co robisz? Schowaj się niezwłocznie!... Kim-ho-duri już się kilka razy o ciebie pytał!...

— Mniejsza o to... Zabierz, stary, pieniądze, jakie pozostały i chodź ze mną... Ale rzeczy nie zabieraj!...

Chakki pragnął się rozpytać, co i jak, lecz zamiast odpowiedzi Kim-ki pokazał mu buchającą w oddali lunę.

— Spiesz się!...

— To w dzielnicy japońskiej!...

— Dziś jeszcze musimy wyjść za miasto... Kim-non-czi'ego wezwano na prowincję. Tam niespodzianie wybuchło powstanie... Poleciał mi wywieźć Ol-soni do jego majątku nad Hań-hań!...

— Nie wiem, czy uda się wymknąć dziś za mury... Bramę pewnie zamknięto z powodu ruchów...

— Zobaczymy!...

Z trudnością przeciskali się przez wzburzoną cizbę, zapelniającą ulice śródmieścia. Około »Dzielnicy Bogaczów« gwar i tłok wzmógł się jeszcze. Uzbrojeni w krótkie maczugi włóścianie szturmowali do przywartych bram ulicznych.

— Śmierć Miń'om!... Precz z wrogami Tronu i Nieba!...

Tajemnem, bocznem wejściem, przez małą furtkę dostał się Kim-ki z Chakki'm do obłożonej dzielnicy. Na wąziutkich jej ulicach chodziły uzbrojone straże, bramy domów były zamknięte, przed niemi stali zbrojni ludzie. W mieszkaniach Miń'ów co żyło zbroiło się, zbrojono się i w domach Kim'ów.

Kim-ki, ku wielkiemu zgorszeniu Chakki'ego, wszedł na podwórze jednego z wrogów swego rodu i, wymieniwszy kilka słów ze strażnikami, udał się do poprzecznej oficyny, przed którą stała, przygotowana do drogi, lektyka; w izbie leżeli na matach, lub siedzieli pod ścianami, paląc fajki, ludzie Kim-non-czi'ego. Wszyscy zgodzili się, że zaraz marzyć niepodobna o wymknięciu się z miasta, że należy odłożyć to do jutra, że najlepiej uczynić to wczesnym rankiem, przede dniem.

Burzliwy gwar oblegającego »Dzielnice Bogaczów« tłumu, uderzenia pocisków i maczug w bramy ulic, świst rzucanych kamieni zwolna milkły, usta-

wały. Dogasała łuna dalekiego pożaru. Po północy czarna, wilgotna noc otuliła miasto. Ciszę mąciły jedynie miarowe kroki patroli wojskowych oraz kapiąca z dachów odwilż.

O świcie, gdy szczyty gór ledwie-ledwie zarysowały się w ciemnem powietrzu, palankin Ol-soni, otoczony wiernymi sługami Kim-non-czi'ego, przekradał się bocznymi ulicami ku bramie wschodniej. Brama okazała się jeszcze zamkniętą, szyldwach chodził przed nią, błyskając bagnetem w świetle latarni, powieszzonej nad wejściem. Tra-garze postavili lektykę na stopniach wielkich schodów, prowadzących na mury i ukucnęli obok, aby wypalić fajeczki i zdrzemnąć się. Kim-ki i Chakki też przytulili się do muru.

Powietrze chyżo nasiąkało różowym świtem, szczyt Sam-kgyk-sana zaczynał płonąć, jak rubin. Zorza złocisto-krwawem okiem zajrzała do kotliny miasta z pod zasłony chmur. Zagrał sygnałowy dźwięk rogu w baszcie nad bramą i odpowiedziały mu dalekie grania z baszt innych. Gro-madka przechodniów czekała pod arką bramy i u murów. Wreszcie wyszedł oficer i wydał rozkaz, jednocześnie ukazał się na progu budki policyjnej urzędnik, w którym Kim-ki odrazu poznał jednego z eunuchów pałacowych. Jastrzębim wzrokiem przeglądał przechodzących i gdy zobaczył palankin Ol-soni, zbliżył się i dał znak ręką.

— Stójcie!... Kto jesteście?

— Ludzie Kim-ok-kium'a...
— A tam kto?
— Nałożnica naszego pana!... — śmiało odpowiedział Kimki.

— Dobrze. Wszystkie kobiety kazano dziś prowadzić z bram do pałacu dla sprawdzenia. Jeżeli okaże się, że mówicie prawdę, to was puszczę...

Kiwnął na żołnierzy. Daremnie Kim-ki próbował się opierać, wymieniał tytuły Kim-ok-kium'a, prosił i groził. Żołnierze kolbami zmusili tragarzy do podniesienia lektyki i zanieśienia jej z powrotem w głąb miasta.

Wewnątrz lektyki słychać było stłumiony płacz Ol-soni. Z tyłu, za nią, biegł odurzony Kim-ki.

— Potężny Kim-ok-kium... Potężny Kim ok-kium... Co powiem panu memu?!... — powtarzał bezładnie.

Chakki na krok go nie odstępował.

XVI. PRZEPAŚĆ.

Po nieudanem porwaniu Ol-soni, musiał Kim-ki uciekać do amerykańskiego poselstwa. Mister Hulbeck, za zgodą mister'a Artona dał mu mały pokój w swojej oficynie, a »Rudy pies« otoczył go życzliwą opieką. Daremnie wszakże piękna mistress próbowała poznać bliżej i rozerwać interesującego młodzieńca. Kim-ki nie dał się skusić ani wdzięcznym uśmiechem malinowych ust, ani przyjaznym błyskiem szafirowych oczów, ani żadnym z wypróbowanych środków amerykańskiej i europejskiej zalotności. Pozostawał smutnym i małomównym odludkiem i mistress Hulbeck nie dowiedziała się od niego żadnych szczegółów z tych ciekawych, tajemniczych przygód, których był uczestnikiem. Chłopak całymi dniami błądził po ogrodzie, przysłuchując się gwarowi wzburzonego miasta, od którego oddzielał go

cienki mur. Codzień wierny Chakki przynosił mu garść nowin, zebranych na ulicy.

— Na południu wybuchło powstanie. Wieśniacy połączyli się z ton-hak'ami. Żądają powrotu starych obyczajów, czci Władcy Nieba, żądają ziemi i wypędzenia cudzoziemców... Pobili wojsko... Zajęli kilka miast... Idą na północ, aby uwolnić króla od złych ministrów!...

— Któż im przewodzi?... — pytał ze drżeniem młodzieniec.

— Przewodzą im naczelnicy ton-hak'ów...

— A Kim-non-czi?...

— Nic o nim nie słysząc!...

— Nie rozumiem, co się dzieje, ale myślę, że nie idzie, jak należy... Nie dobrego nie czekam od tych ciemnych, zabobonnych sekcjarzy...

— Zapewne: ton-hak'owie zawsze byli wstrętnymi czarownikami!...

— Kim-non-czi, wodzu nasz, czegoś nas opuścił?!... — wzdychał młodzieniec.

— Człowiek nieposłuszny względem ojca jest niepewny!... Radzę ci, panie, zdaj się na łaskę i nielaskę Kim-ok-kium'a, on przebaczy ci i wyrobi ułaskawienie...

— I to ty, Chakki, mi radzisz?... Ty, towarzyszu najwierniejszy pod słońcem?!...

Stary patrzył żalśnie na swego młodego, zękanego pana i, mrucząc, rzucał klątwy na głowę »uwodziciela dusz«.

— Powiadają, że Kim-ok-kium chwije się przy dworze... Król nie przyjął go... Do stolicy na pomoc wojsku wezwano przekupniów wędrownych (pu-sań)!... Widziałem ich bandy na ulicach z grubymi kijami... Dzisiaj spalili dom Kim-non-czi'ego... Napadli na dzielnicę japońską...

— Łotry!...

— Napadli na dzielnicę japońską, ale ich tam nie puszczone... Słyszałeś strzały, to strzelali japończycy... Są zabici, lud bardzo wzburzony... Co jutro będzie, niewiadomo... Na rogach rozklejone odezwy ton-hak'ów... Kto to uczynił, niewiadomo... Moc ludzi uwięziono... Torturują ich publicznie na placu sądowym...

— Tortury zostały zniesione ukazem królewskim!...

Chakki wzruszył ramionami.

— Znowu torturują ludzi, chociaż to zabronione prawem!... — skarżył się młodzieniec przy obiedzie państwu Hulbeck.

— O, tak!... Okrutne są wasze obyczaje!... — westchnął amerykanin.

Wieczorem dnia tego, gdy Kim-ki, pochylony nad cudzoziemską księgą, czytał opisanie innych sprawiedliwszych urządzeń i płonął pragnieniem wprowadzenia ich we własnym kraju za jakąbądź cenę, drzwi skrzypnęły i na progu ukazał się wysoki, nieznanym mu japończyk.

— Nie poznajesz mię? — rozśmiał się, gdy

młodzieniec spojrzał nań wyczekująco i podsunął uprzejmie poduszkę do siedzenia.

— Kim-non-czi!... — krzyknął radośnie Kim-ki.

— Cicho!... Nikt nie wie, że jestem w Seulu...

— Ol-soni w pałacu...

— Wiem...

— Nie mogłem obronić jej... Pozostało mi zabić siebie, ale ganiłeś ten starożytny obyczaj, więc żyję.

— Przydasz się... Dziś jeszcze udasz się ze mną do Czin-go-gaj. Przyniosłem ci ubranie... japońskie... Nie zupełnie ono bezpieczne, lecz zawsze utrudni szpiegom poznanie...

— A Chakki?... Co uczynimy z Chakkim?:...

— Chakki niech zostanie... tutaj!... — odrzekł po namyśle Kim-non-czi.

— Szukając, wyda nas... Czy nie zaczekamy nań?... Niedługo wróci!...

— Nie mamy czasu... Napisz mu, aby się wstrzymał od poszukiwań... To potrwa nie więcej, jak kilka dni...

— Co zamierzasz?

— Dowiesz się... Powstanie zmarnowało się, wybuchło przedwcześnie... Zresztą nigdyby nie udało się... Nieprzebrane morze ciemnoty i nędzy... Trzeba złamać najbliższe, mechaniczne przeszkody i rzucić tam przedewszystkiem chleba i światła.

— To samo mówi mister Hulbeck... Cała nadzieja, powiada, w dobroci króla...

Kim-non-czi patrzył zamyślony przed siebie i nie odpowiadał. Kim-ki szybko przebiegał się.

W ciemnem, pustem, jak wymarłem mieście, jedynie z poza wysokich murów pałacu biła olśniewająca luna elektrycznych ogni i brzmiała cicha, rozkoszna muzyka.

— Bawią się!... — szepnął Kim-non-czi. — Niech się jeszcze pobawią!...

Z cienia wynurzył się patrol i obejrzał ich twarze przy świetle papierowej latarni.

Stanowisko Kim-ok-kium'a na Dworze rzeczywiście zostało mocno zachwiane wypadkami. Król nie chciał widzieć go już dni kilka. Ci, co płaszczyli się przed nim niedawno, spoglądali nań teraz hardo i czynili mu rozmaite wstręty. Niełaska łatwo mogła się dlań skończyć wygnaniem albo nawet przysłaniem jedwabnego sznura. Pocieszał się wszakże, że jest jeszcze potrzebny, gdyż nie odbierali mu jeszcze skarbowości. Istotnie, nikt lepiej od niego nie umiał zdobywać pieniędzy a dwór wciąż ich miał za mało.

— Dość nam Kim'ów!... Niech go uprzątną... wraz z nierządnicą jego syna, którą sprowadził do pałacu!... — niecierpliwiła się pani Miń-om.

— Stanie się, jak sobie życzysz, Najjaśniejsza Pani... lecz nie zaraz. Kim-ok-kium trzyma w ręku wszystkie prawie źródła dochodu... Gdy poznamy je, przestanie... być potrzebnym. W do-

datku cieszy się poparciem cudzoziemskich przedstawicieli... — dowodził przyciszonym głosem Wielki Eunuch, Ni-men-san.

— Właśnie!... Poco nam ci cudzoziemcy?!... Dzięki ich obecności, lud burzy się... Wygnać ich wszystkich!... Skonfiskować majątki ich stronników i będą... pieniądze!...

— Aby wciąż mieć owoce, nie należy ścinać drzewa!... Stałe dochody muszą tkwić korzeniami w stałej pracy... Zapewne, konfiskata na razie zabezpieczy najpilniejsze potrzeby państwa, lecz nie należy usuwać Kim-ok-kium'a, zanim nie zaciągnie obiecaną pożyczki u rosyjskiego posła...

— Więc mu obiecali?

— Mówi, że mu obiecali... W tej właśnie kwestyi dobija się posłuchania u Najjaśniejszego Pana...

— Uczyni, abym słyszała, co powie!

— Zostanie wpuszczony do sali »Małych Przyjęć«...

— No... a ta?...

— Nie poradzić nie mogę... Najjaśniejszy Pan widział ją... Jest to kaprys przelotny, ale... powiedział mi, że najmniejszą jej krzywdę... głową przyplacę...

Dostojna pani wysunęła głowę z poza parawaniku, za którym kryła się zgodnie z dworskim obyczajem i przenikliwie spojrzała na rzezańca. Ni-men-san zrobił płaczącą minę i jeszcze słodszy zaszeptął głosikiem:

— Musi się Najjaśniejsza pani pogodzić...

— Nie chcę, nie chcę!... A czy był już u niej?

— Jeszcze nie... Dotychczas udawało mi się zwłóczyć...

— Więc raz, jeden raz... pamiętaj!... Wszak ten Kim-non-czi należał do spisku?

Eunuch milczał.

— Nazwiska jego niema w liczbie naczelników powstania!... — odszepnął ostrożnie.

— To nie ma znaczenia... Działalność jego znaną jest powszechnie...

— Lubiany jest przez lud prosty... Tygryśnicy są mu ślepo posłuszni... Przez ojca spokrewniony jest z Kim'ami, szanują go jako domnie-manego swego naczelnika, przez matkę ma wpływ u Miń'ów...

— Ująć go!... Zwabić go zapomocą kochanki!... — krzyknęła pani Miń-om z radością w głosie.

— Obecnie uczynić tego niepodobna!... Najjaśniejszy Pan nie zgodzi się... Zresztą, kto wie, gdzie krąży obecnie ten dziwny człowiek...

— A więc pamiętaj raz, jeden raz... A potem... ona do mnie należy!...

Zastukała wachlarzem w parawanik na znak, że posłuchanie skończone.

Wielki Eunuch wyszedł do sąsiedniej komnaty, gdzie czekały zebrane służebne i podwładni mu rzezańcy. Obrzękła twarz jego zdradzała tłumione zadowolenie.

— Kim-ok-kium dawno już czeka w zewnętrznej poczekalni... — raportowano.

— Niech czeka... Przenieść Ol-soni do pawilonu Feniksa.

Usiadł wygodnie, wziął z rąk posługacza srebrną fajeczkę, pociągnął i zamyślił się.

— Najjaśniejszy Pan wzywa cię...

— Przewietrzcie salę »Małych Przyjęć«...

Król skończył dopiero co poranny posiłek i szatny wycierał mu ręce zmaczaną w gorącej wodzie flanelą, gdy wpelznął na kolanach Ni-mensan i zatrzymał się kornie schylony u progu.

— Znów ten Kim przyszedł mię dręczyć... Nienawidzę Kim'ów...

— Pokolenie znane z niewdzięczności i złego wychowania, zato utalentowane, Najjaśniejszy Panie!...

— O co mu chodzi?

— O cudzoziemską pożyczkę, Najjaśniejszy Panie!... Straż pałacowa i służba pół roku nie odbierała żołdu... Wczoraj amerykańanie przysłali rachunek za elektryczność...

Pomarszczona twarz monarchy zmarszczyła się jeszcze gorzej.

— Gdzie więc podziały się wydane pieniądze?... Przecież pamiętam, że raz już braliście?...

— Znaczna ich część została, zgodnie z wolą Twoją, Wielki Władeo, zużyta niezwłocznie na wskazane przez wróżbitów, niecierpiące zwłoki,

ofiary z powodu suszy; zabito 100 wołów, 1000 owiec, 2000 świń, następnie dużo wydano na podróż pani Miń-om do mogiły ojców, na wstępne roboty... przy budowie nowego pałacu...

— Więc żołnierze nie nie dostali?

Eunuch milczał. Siwe, rzadkie wąsy króla najeżyły się i zadrgały, poduszki pod oczami podciągnęły ku opuszczonym rzęsom a w wązkich, ukośnych szczelinach gniewnie zamigotały czarne źrenice.

— Kazałem płacić im zawsze przedewszystkiem!...

— Od miesiąca powiększono im porcję ryżu! — bąknął drżącym głosem eunuch.

— Wołaj Kim-ok-kium'a!...

— Czy Wasza Królewska Mość raczy go tu przyjąć... w dowód niezwyklej łaski?... Zgodnie z poprzedniem rozporządzeniem przygotowano dla posłuchania salę »Małych Przyjęć«... Sekretarze czekają tam obok!...

— Powiedziałem tutaj!... — krzyknął król.

Zmieszany eunuch upadł na twarz i cofnął się pospiesznie, szeleszcząc jedwabiem.

Dłużej niż kiedykolwiek leżał przed Kim-ok-kium'em, szezebiocząc zwykłe komplementy, aż zniecierpliwiony dostojnik podniósł pierwszy czoło.

— Słyszeliśmy, że syn Waszej Dostojności wrócił już do Seulu?!...

— Doprawdy?!... — szczerze zdziwił się Kim-ok-kium.

— Widziano go w amerykańskiej ambasadzie... Należy więc spieszyć się z zamierzoną sprawą...

Minister kiwnął głową.

— Już załatwiona. Wszystko zależy od zgody Jego Królewskiej Mości... — dodał głośno.

Udali się do wewnętrznych pokoi, poleciwszy sekretarzowi przynieść tam przygotowane papiery i pieczęcie.

Król w obszernej, szaro-srebrnej oponczy, siedział po koreańsku, podwinawszy pod siebie nogi, na niewysokim, ceglanem wzniesieniu, z dołu ogrzewanem, na wzór chińskich »kanów«. Czerwone sukno i cienkie drogie maty pokrywały wzniesienie.

Przed nim stał niziutki stoliczek do pisania, wyrzeźbiony misternie z hebanu; opodał pęk bladych chryzantem tkwił w blado błękitnym chińskim wazonie, na ścianach wisiało parę prostych tuszowych obrazów. Jedynie złocisto-tęczowy odblask spadający z wysokiego, bogato malowanego stropu, nadawał cechy przepychu skromnemu otoczeniu. Przez obszerne, wycięte w delikatną kratkę papierowe okna wpływał słup martwego, matoowego światła.

Kim-ok-kium z pochyloną głową podpełzł na kolanach do władcy.

— Co powiesz, Kim?

— Jestem wiernym sługą i niewolnikiem, Najjaśniejszy Panie!...

— Siadaj i mów!...

— Leśne Towarzystwo Müller zobowiązuje się natychmiast wypłacić milion dolarów, ale żąda pozwolenia na przeprowadzanie wązko-torowej kolejki i telegrafu wzdłuż lewego brzegu Kamnok-kam.

Król uczynił niecierpliwy ruch.

— Znowu kolej?!

— Na ziemi, którą posiadli na zasadzie poprzedniego zezwolenia Najjaśniejszego Pana...

— Kiedy wydadzą pieniądze?

— Choćby jutro... oraz... — dodał ciszej — poseł Państwa Północnego w razie zawarcia pożyczki prosił uniżenie, by oznajmić Waszej Królewskiej Mości, że w ambasadzie... są bezpieczne i dogodne apartamenta... do rozporządzenia Najjaśniejszego Pana...

— Co?!

— Uważa, że ziemia poselska, choć ustąpiona Cesarzowi Północy przez Waszą Królewską Mość, pozostaje zawsze drogą sercu Waszej Królewskiej Mości częścią krainy Cichego Poranku na równi z wyspą Kong-hoa lub klasztorem Nam-sań, gdzie w chwilach burzliwych szukali monarchowie wytchnienia...

Zasepiona twarz króla złagodniała.

— Powiedz postowi, że mu dziękuję!... Jak

myślisz, Kim, czy zaburzenia długo jeszcze potrwają?

— Pewny jestem, że wojska Waszej Królewskiej Mości rozbijają powstańców na przełęczy południowej, gdzie na nich czekają. Poczyniono starania, aby pojmać przywódców... Po ich straceniu wszystko ucichnie, gdyż zamieszanie wywołane zostało namową złych ludzi...

— Nietylko! Brak mi tutaj wiernych, sprawiedliwych i uczciwych sług!... Gdzie syn twój, Kim-ok-kium?

— Nie wiem... On nie mój syn już!...

— Czy przyniosłeś co do podpisania?

— Koncesję Müllera!...

Król klasnął na sekretarzy.

Tegoż wieczora mały japończyk ostrzegł Kim-non-czi'ego:

— Koncesja podpisana i w poselstwie Północnego Państwa przygotowują wytworne apartamenty...

— Wiem o tem.

— Kiedyż więc?...

Korejczyk opuścił oczy i mileżał. Gość czekał króciutko, poczem przypadł grzecznie na ręce i, wciągając powietrze, powiedział:

— Kombawa!...

XVII. SZEPT GAŁĘZI W OGRODZIE ROZKOSZY.

W mroku bezksiężycowej nocy, na ciemnym tle wysokiej pałacowej ściany, w najodleglejszym jej końcu, zamajaczyła nagle gromadka cieniów. Wynurzały się one nieznacznie z rumowisk i lepierek przyległego przedmieścia, przytułku złodziei, czarownic i najniższego gatunku nierządnic. Dwa cienie odprysły od głównego oddziału na oba rogi ogrodzenia na wartę, poczem pozostali ze zręcznością małp poczęli pisać się na mur po grzbietach i ramionach towarzyszy, niby po drabinie. Zahaczywszy sznury, zrucili je na dół i prędzej, nim zdążyłby westchnąć budzący się człowiek, na ulicy nie było już nikogo a natomiast w gęstwinach królewskiego ogrodu zapadły i popęzły ku pałacowi postacie w opiętych kurtach, w kołpakach futrzanych na głowach, z krótkimi mieczami u boku i łukami na ple-

cach. Znali rozkład, gdyż obezwładniwszy wartę wewnętrzną, rzucili się przede wszystkim na mieszkania rzezańców, powiązali ich i spędzili do jednej izby.

— Gdzie król? gdzie pieczęcie państwowe? — pytał groźnie Kim-non-czi wystraszonego i pełzającego Ni-men-san'a.

— Nie wiem! Gdzie król nocuje nikt nie wie!... — bełkotał eunuch. — Pieczęcie w skarbcu...

— Gdzie Ol-soni?...

Eunuch milczał.

— Gadaaj, nędzniku!... Tyś ją porwał!... — krzyknął młodzieniec, szturgając go w usta głównią szablą.

— Z królem...

— A mówisz beczelnie, że nie wiesz gdzie król!... Przyłóżcie mu ostrze do szyi i niech prowadzi!... Kim-ki pisz tymczasem rozkazy do ministrów, żeby się zebraли niezwłocznie w sali posłuchalnej... Już dnieje... zanim skończysz, będzie sam czas... Obstawić wyjścia i nikogo nie wpuszczać, dopóki nie wrócę... Prowadźcie rzezańca!... Dość będzie was pięciu...

Odeszli w głąb pałacu, świecąc sobie pochodniami, mając na przedzie klucznika i związanego Ni-men-san'a.

Zbudzone łuną ich ogni, szczękiem oreża, obcymi głosami kobiety i dzieci, wszczeły wrzask i płacz. Oni szli przez wykładane kamieniem pod-

wórce, rzucając długie cienie i krwawe blaski na bruki, na budowle i na kamienne balustrady.

Wtem, jak gdyby za dotknięciem tajemniczej różdżki, pałac zagorzał tysiącem elektrycznych świateł. Zdała od miasta doleciały jakby dalekie pogwary...

— Spieszcie się!...

Byli u stóp wysokiej, kilkupiętrowej budowli z wywiniętymi chińskimi dachami... Ona jedna pozostawała ciemna i milcząca w powodzi światła i szmerach rosnącego niepokoju.

— Tutaj!... — jęknął Ni-men-san.

Lękając się zasadzki, wypchnęli go naprzód i wolno wstępowali na górę po szerokich, marmurowych schodach. Z wnętrza rozwartych przemocą podwoi powiało na nich przyjemne ciepło, przesiąkłe aromatem kadzideł i kwiatów... Ale komnaty, które zwiedzali, choć ogrzane, były puste i rozkoszne łoża zasłane w wielu z nich były nietknięte.

— Ol-soni!... — krzyknął wreszcie Kim-non-czi.

— Ol-soni!...

— Powiesz nareszcie, gdzie ona jest? Czy nie? Psie podły!... — krzyknął Kim-non-czi, uderzając eunucha płazem pałasza.

— Doprawdy, nie wiem!... Najjaśniejszy Pan nigdy nie wskazuje komnaty, gdzie zamierza spoczywać!...

— Zostawcie go ze mną i obszukajcie pałac!...

Spiskowcy rozbiegli się w różne strony.

Wetknięta w pierścień świecznika pochodnia przyskała i syczała, rzucając purpurowe blaski na złocone, malowane ściany. Wielki eunuch w potarganem ubraniu, ze związanymi na plecach rękami, klęczał pośrodku, obok siedział oblakany z przerażenia klucznik a nad nimi stał zamysłony Kim-non czy, z opuszczoną szablą i tygrysim kołpakiem na głowie.

— Panie, jest, jest... kobieta!...

— Znaleźliśmy wyjście tajemne, przez które uciekli...

— Uciekli, uciekli!... — dobiegły go z różnych stron gwarne wołania...

Zostawił jednego z przybyłych na swoim miejscu i pobiegł przedewszystkiem do pokoju, gdzie na złoconych wezgłowiach leżała Ol-soni. Spała snem gorączkowym, rozrzucając rękę. Gdy stanął nad nią i dotknął jej czoła, nagle otworzyła oczy, lecz zamknęła je natychmiast.

Dopiero kiedy zawołał:

— Ol-soni!

Zerwała się i wyciągnęła ku niemu rękę.

— Jesteś, to nie był sen!... A może wszystko, co się stało, było snem, a prawdą jest tylko to, że jesteś?!... Widzę cię znowu!... Ale co znaczy to przebranie, ta straszna tygrysia paszcza nad twem czołem?!... Jakiś ty piękny!... Czy idziesz na wojnę?... A może oboje umarliśmy?!...

Próbowała dotknąć go dłonią, próbowała schwyć kraj jego odzieży — cofnął się mimowoli, strasznie wzruszony, drżący, przejęty jej błędnym widokiem.

— Ach tak, tak... To wszystko było... Masz prawo mną gardzić... Poznaję... — mówiła, przechodząc do siebie. — Pałac!... Król!... To tutaj!... Był... Nie mogłam się bronić, nie miałam oręża... Ale spełnię mą obietnicę, nie bój się, spełnię!... Choć serce moje dla ciebie biło jedynie... dla ciebie... rycerzu wolności... Pokalana niewolnica odejdę... Choć... czy może kalać przemoc?... Robili ze mną, co chcieli... Byłam w ręku ludzi, jako szmata bez duszy... Ty jeden tchnąłeś we mnie wzniosłość... Tobie, jako wolności mej przyniosę ofiarę... O, nie gardź mną, gdyż czyste były i myśli i żądze me i ciebie jedynie pełne...

— Uspokój się... Chodź... Czas ucieka!... Wstawaj!... Idziemy!... — wołał na nią Kim-non-czi, daremnie siłąc się ją podnieść i oswobodzić z jej rąk swoją odzież.

— Nie, nie!... Poco... ja zostanę!...

— Gdzie król? Wszak był z tobą?...

— O, tak, był... był!...

— Dawno?

— Nie wiem...

— Gdzież jest?

Wskazała ręką na przeciwległą komnatę. Kim-non-czi zawahał się.

— Chodźcie tutaj!... Do mnie!... — krzyknął na skupionych w sąsiedniej sali towarzyszy.

— Nie odchodź, nie odchodź!... Jeszcze króciutką, króciuchną chwileczkę... Niech oczy me napasę... Schył się do mnie!... — ciągnęła go mocno ku sobie.

— Puść!... Muszę iść, zginiemy!...

— O, tak, oko w oko... Zginiemy... — szeptała, unosząc się w górę, blisko u jego twarzy; jednocześnie ostrożnie wyciągnęła mu sztylet z za pasa.

— Teraz odejdz!... Patrz, rzucam nędzne me ciało, aby uwolnić mą duszę!... Tam spotkamy się jako dwie gwiazdy... jako dwa wolne wichry, lecące od morza...

Nagle osłabła i opadła na łożo. Wtedy spostrzegł własny nóż w jej piersiach broczących krwią.

— Idź, idź!... Pocałuj i odejdz, zaraz umrę!... — szeptała z bladym, zupełnie już świadomym uśmiechem.

— Naczelniku, japończycy!... — krzyknęły, wpadając wartownicy.

Kim-non-czi powiodł ręką po głowie, po twarzy umierającej kochanki, łowiącej ustami dłoń jego i niespuszczającej zeń omdlewających oczu. Uśmiechnęła się raz jeszcze, opadła niżej na wierz-głowie, jak podcięty kwiat i odwróciła lica, zazynające kurczyć się ostatnią boleścią.

Japoński oficer dotknął ramienia Kim-non-czi'ego.

— Król ujęty... Przybyli Minister Dworu i minister spraw wewnętrznych... Są uwięzieni w sali Wewnętrznej Poczekalni...

Kim-non-czi spojrział półprzymkniętymi oczami na małego człowieczka w ciemnym mundurze.

— Pociągacie tu przyszedli?!...

— Z rozkazu Jego Cesarskiej Mości cesarza Japonii, aby otoczyć pieczę osobę jego sprzymierzeńca Władcy Korejskiego. On już w bezpiecznym miejscu... Teraz spiesz się pan, czekają na pana!... Należy wydać ukazy do ludu i postawić straż na murach... W mieście już wiedzą... Lud zbiera się, z nim idą chińczycy...

Posepne, głębokie uderzenia Wielkiego Dzwonu rozdarły szary brzask dnia.

Spiskowcy wypadli na zewnątrz, na marmurowe schody pawilonu. Od miasta leciały wciąż rosnące gwary, tupot nóg i pojedyncze strzały.

Naraz, przed wielką bramą, huknęła salwa i kule, niby stado ptaków, przeleciały z szelestem przez wierzchołki drzew. Oficer z swym oddziałem rzucił się do głównego korpusu, lecz jednocześnie potężne ciosy wstrząsły boczną furtką przyległego dziedzińca. Rzucił się ku niej Kim-non-czi ze swymi ludźmi. Porzucony Ni-mem-san chyłkiem uciekał.

Trzask strzałów, łoskot lecących kamieni, wy-

cie szturmujących tłumów, krótka, stanowcza komenda broniących pałacu japończyków, dudnienie wybijanej furty, wybuchły tak nagle, że niedoświadczeni górale Kim-non-cziego stropili się.

— Za mną! — wołał młodzieniec — za mną! Zerwijcie z haków bramę pawilonu i nieście tutaj!..

Sam stanął z boku furty chwiejącej się i dudniącej pod uderzeniami, jak stary gong. Wzniósł szablę i gotował cios straszny. Wtem za padającymi blachami drzwi dostrzegł... ojca. Jednocześnie wysunęły się rury karabinów i plunęły ogniem w jego ludzi.

Kim-ok-kium wpadł jak rozjuszony dzik, uderzył ręką szablą między oczy syna i odrzucił go, torując drogę tłoczącym się za nim żołnierzom chińskim i przekupniom seulskim, zbrojnym w maczugi i halabardy...

Nadzór nad śledztwem i przewodnictwo w sądzie nad synem powierzono, w dowód niezmierniej łaski i zaufania... Kim-ok-kium'owi. Gdy stary nie zniósł wyrafinowanej tortury i rozplakał się, widząc dziecko swe szarpane przez woły na placu Dzon-no, skazano go za karę na wygnanie wraz z całą rodziną na wyspę Kwelpart.

Spiskowcy zostali straceni gromadnie i głowy ich wywieszono na murach miasta.

Chakki, z narażeniem życia, ukradł głowę swego pana i pogrzebał ją razem z ciałem, aby zabezpieczyć jego duchowi przyzwoite wejście do świata cieniów.

Król zbiegł do poselstwa »Północnego Państwa« i wydał stąd słynny płaczliwy manifest, w którym ogłędnie powiadał poddanych, że niewola zostaje zniesiona, lecz nędza, niesprawiedliwość i ciemnota pozostaną na wieki, jako naturalny owoc wad ludzkich.

Manifest kończył się cytata z Konfucjusza:

»Dążcie do mądrości, ponieważ ona czyni człowieka podobnym do Niebios«.

— A jednak nie ma teraz niewolnictwa w Krajinie Cichego Poranku!... — opowiadał z dumą Chakki podobnym, jak on nędzarzom...

PRZEPowiednia WERNYHORY

Skazówki zegara przesunęły się nareszcie na ostatnią, czternastą godzinę pracy, wskazywały kwadrans na ósmą.

W sklepionych, piwnicznych izbach warsztatu, pełnych węglowego czadu, swędu przypalonej oliwy, kopcia lamp, zapachu spracowanych ludzi, w obłokach kurzu, sadzy, rdzy żelaznej poruszały się cienie ludzi obdartych i brudnych. Postukiwały młotki, zgrzytały pilniki i chrzęściała sucho, odrażająco krajana blacha. Ale nie był to ruch poranny, świeży, pełny, wesoły... W dźwiękach czuć było przemagający się i rwący wciąż wysiłek. Kowadła odpowiadały półgębkiem, młoty opadały niezgrabnie, śrubsztaki jęczały niepewnie... Ich żarłoczne, nienasycone serca żelazne skarżyły się, że wyczerpane mięśnie ludzkie nie dość je naciskają, że obolałe kości dziecięce nie dźwigają ich dość szybko, że zużyte zmysły niewolników nie obsługują ich należycie...

Mały Wicek, który, jako najmłodszy w ter-

minie, musiał kręcić korbę bormaszyny, ledwie zipał. Ilekroć barczysty Władek przykręcił śrubę, świder zaciął się i stawał.

— Smaruj!... — jęczał chłopaczek przez zacięte usta.

— Co... »smaruj«! Zwaryowałeś?!... Bor aż pływa. Da nam »stary« wcieranie!... Całą oliwarkę zużyłem.... Dalej, dalej, pucuj.... Jeszcze dwadzieścia zostało dziurek!... Bierz za korbę... A jak nie masz siły, to idź do szewca! Słyszałeś, co ci stary mówił?!...

Nieszczęśliwy Wicek z rozpaczą zerknął na zegar, wzdychał, opierał omdlałe rączęta o korbę, wyginał się, jak nadeptany wąż, i znów furczało rozpędowe koło, ostre żądło świdra z piskiem zagłębiało się w metal i wyrzucało na jego powierzchnię loczki drobnych, świecących wióreczków...

— Tak, tak!... Ucz się, chłopcze, zawczasu... robić dziury! Podrośniesz, jakbyś znalazł!... I bez oliwy przebijając będziesz, zobaczysz!... — pocieszał malca czeladnik Kaliszer, pracujący w tej samej izbie.

— Oho!... hoo!... Wyskrob-hop! — rozśmiał się grubym głosem Władek.

Ale Wicek już nie tego nie słyszał, kręcił korbę zapamiętale, serce stukało mu w piersiach coraz boleśniej, a twarz powlekąły sine cienie, jak w konaniu.

— Cosik dłuży się dzisiaj?! Znowu pewnie

»stary« zegar przesunął. Hej, chłopcy, dużo tam jeszcze? — krzyknął po chwili Kaliszer do drugiej izby, gdzie wokoło okrągłego warsztatu, oświetlonego wiszącą lampą, pracowali u śrub-sztaków starsi uczniowie.

— Dużo!... Jeszcze trzy kwadransy!

— Ani wątpić, przesunął!... Posłałibyście Wicka do sklepiku, niechby zobaczył!...

— A to pójdę!... — wyrwał się od maszyny chłopak.

— Ani mi się waż! — wyrzekł starszy terminator Romek, podnosząc głowę od szuflady, gdzie czytał ukrytą w zmroku książkę. — Tknać nie pozwolę zegara!... Znowu mi stary nasobaczy!...

— Wielka rzecz! Spojrz na niego przez wyskrob-hop! Niech nie oszukuje! — mruknął Władek.

— Albośmy to nie słyszeli jego cholewy?!... Z jakiej racji choćby kwadrans dłużej...

Ja cierpię tu, a Bronka tam...

W cieniu wspaniałych bram!...

Falsetem zaśpiewał Stasiak, przystojny, kędzierzawy chłopak.

— Codzień bierzesz lanie, więc dla odmiany dostałbyś dziś... błogosławieństwo!... — żartował z Romka długonosy Wojtek, przezywany Księdzem.

Romek nie odpowiadał. Pochylony nisko nad

szufladą, tonął znów bez pamięci w białych, kropkowanych kartach. Wreszcie wyprostował się, westchnął i rozmarzonym wzrokiem potoczył po towarzyszach.

— Skończyłem... Cudna rzecz!

— Pies twoje serce, niech w tabakierce ma w poniewierce, że zegara nie cofasz! Ale za to choć opowiedz!... Powtórzę mojej Rakambolli, będzie się śmiać, aż w dołku zaboli!... — zagruchał zabawnie Stasiek.

— O-po-wiedz... wyskrrrob — hoppp! — हुआ Wladek z drugiej izby. — Prędszej czas przeleci! A ty boruj, boruj, mały!... To się ciebie nie tyczy!... — popędzał omdlewającego Wicka.

Romek pociągnął pilnikiem po wielkim, ujętym w śrubsztak ryglu.

— Dobrze, ale wy orzcie dalej, a to »stary« usłyszy, że cicho, i wpadnie, do licha...

— Starego niema, poszedł do swej Małgosi! — syknął Wicek.

Małgo-na-rzatko, Małgo-na-rzatko,
Powiedz, powiedz, co ci zrobił tatko?!

— Przestań błaznować!

— Cicho!...

— Opowiadaj Romek!

Bujne, jasne i ciemne czupryny pochyliły się nad warsztatem, młode namulone ręce wolno, ale pilnie zaczęły pełnić dalej zwykłą robotę.

— Gdzież to wczoraj stanąłem? Aha... Otóż, kiedy Mirza-bej cofnął wojsko na południe, Jurek znowu pić zaczął. Daremnie błagała Hanna, obiecywał, na klęczkach przed nią pęzał, rąbek szaty całował, ale cóż, kiedy niedługo potem śmiorował z Hryciem, swoim złym duchem... Hetmański kołpak z czapem piórem na głowę wdziewał, brał się pod boki, kłął, wymyślał, rozbijał... Słał pułki na gwałty i grabieże...

Hanna chroniła się w swych komnatach i razem z babką modliła, aby Bóg ulitował się nad krajem kochanym... Aż pewnej nocy obudził ją lekki szelest. Przez otwarte okno płynęły z sadu zapachy czeremchy i bzów, księżyc srebrzył kwiaty i drzewa... Poczuli, że ktoś jest w pokoju, a rychło zobaczyła u wezgłowia cień i czyjeś drżące ręce dotknęły jej piersi...

Zerwała się... Pijany Jurek stał nad jej pannieńskim łóżeczkiem... »Kocham cię, kocham, gołąbko! Bądź moją! Uczynię cię królową świata, na carogrodzkim posadzę tronie! Jutro każę, a tysiąc czajek Dnieprem popłynie przez prochy dla ciebie, jedyna!...

Chylił się i ścisnął ją coraz goręcej, ale wyslizgnęła mu się z objęć i w jednym gieliku wyskoczyła do sadu przez okno... Pijany Jurek mrucał dalej zaklęcia i ścisnął namiętnie poduszkę...

— Ha!... ha!... ha!... — rozśmieli się chłopcy. Romek zerknął na okno, wydało mu się, że

z ulicy przez brudne szyby zaglądają jakieś dra-
pieżne złe oczy.

— Cóż dalej?!... — wołali chłopcy. Nawet Ka-
liszer, ażeby lepiej słyszeć, zbliżył się z pilni-
kiem w rękę i stanął we drzwiach.

— Leciła tak w gieźelku przez sad daleko
w step... Rosa moczyła jej stopy, krzewy cze-
piały się koszuliny, trawy bujne płatały pod no-
gami. Biegła bez pamięci, aż dostała się na wy-
soki kurhan, co spał na rozdrożu w księżycowym
blasku. Tu upadła z jękiem i skarżyć się zaczęła
na swoją dolę i postanowiła pozbawić się życia.
Ale okazało się, że na tym kurhanie dawno już
siedział rycerz Spytko, który ją dostrzegł, poznał,
lecz ponieważ była w koszulinie, schował się, aby
jej nie wstydzić... Kiedy usłyszał, że chce się
dziewczyna życia pozbawić, wyszedł i zaczął do
niej przemawiać... Tylko jej tym razem nie nie
wspominał o swojej miłości. Dopiero, kiedy na
dworze hetmańskim uczynił się ruch, kiedy stam-
tąd zaczęły na wsze strony wyjeżdżać kozackie
oddziały, owinał dziewczynę w swą rycerską
burkę, porwał ją i siadł na koń... Pędzili jak
strzała... tonęli w wysokich bodiakach jak w mo-
rzu... gwiazdy migotały nad nimi, chłodził ich
wiatr stepowy... Ale rychło usłyszeli dzikie wrza-
ski, tętent koni i step zapalono za nimi. Dziel-
czyzna tuliła się coraz mocniej do rycerza... Koń
resztek sił dobywał. Wał ognia coraz był bliżej...

Luna mieszała się z zorzą wschodzącego dnia.
Wreszcie potknął się rumak i upadli wśród stepu...
Ogień z sykiem zwycięskim mknął ku nim, krwawe
języki pełzały nisko po ziemi, jak węże, zwijały
się i wspinały na siebie, rzucając ku górze kłęby
czarnych dymów... Spytko chciał pocałować Hannę
przed śmiercią i ona gotowa była dać mu brater-
ski pocałunek, ale wtem zjawił się... lirnik. Wziął
ich i odprowadził do poblizkiego jaru, gdzie nad
rzeczką, wśród wisien, stała chatka... Tam się
ukryli, a pożar przeleciał górą. Wtedy lirnik po-
wiedział im: pobierzcie się i zostańcie chłopami!
Ale Hanna nie zgodziła się, gdyż powiedziała, że
jeszcze pamięta pijacznę Jurka... Wtedy lirnik
powiedział rycerzowi: ha, jeśli tak, to nie ci nie
pozostaje, jak pójść i walczyć za ojczyznę... I ry-
cerz przypiął do siodła skrzydło orla, skórę ty-
grysią na plecy zarzucił i zniknął w zmroku nocy...
A co się później działo, jakie zamki zdobywał,
jakich królów ratował, jakie w nim się kochały
księżniczki i dziewice, jakie zdobył skarby i sławę...
tego nawet powtórzyć wam nie będę umiał.

On wszystko rzucił, wszystkiego zaniechał
i wrócił do chaty w jarze nad rzeczką... Cóż,
kiedy nie znalazł już ani Hanki ani lirnika, tylko
spalone zgliszczu... Więc się zbolały położył u wody
i zasnął, a we śnie zjawił mu się lirnik siwo-
brody i, grając na złotym teorbanie, śpiewał:

»Przyjdzie noc długa, noc głucha, i zapadną

w sen i błoto niewoli... I oduczą się mówić, a nauce szeptać... I oduczą się myśleć, a przyzwyczajają okłamywać siebie... Rany od kajdan weźrą im się w serca i bać się będą jego żywszych drgnień... Ochłapy życia uważać będą za jego rozkosze, a poniżenie własne za prawo niezłomne... Nędzni niewolnicy ukochają niewolę innych i będą przeklinali pragnienie swobody... Aż wstanie od ziemi, gdzie dojrzewał w krwawych znojach, w mgłach własnych łez, w rozpaczach nędzy, w pożądaniach wiedzy i jasności, olbrzym i rękami czarnymi od młota i pluga, dźwignie ich ku górze, ku słońcu... Wtedy oni, drżąc z trwogi, męczeni starami ranami, samolubni od niewiary, źli od słabości, oślepli od bezruchu, będą pluli w jasne oczy olbrzymowi, będą jak plugawe małpo-ludy gryzli pierś jego, będą wyrwać się z jego objąć macierzystych i w tył mu myśli obracać... Ale on silny, on wspaniałomyślny, on dobry... wyniesie ich mimo to na przestworza, jako niesie ogromna fala oceanu małą łupinkę... Uczyni ich ludźmi i braćmi, i dzieci błogosławić będą, kłaniane niegdyś przez ojców, dlonie olbrzyma!...

W świetle wiedzy rozproszą się nieporozumienia, w trosce każdego o wszystkich i wszystkich o każdego, zniknie wyzysk, a złość i nienawiść utoną w miłości...»

Zasłuchani, nie zauważyli, że cicho skrzypnęły

i otwarły się drzwi. Do warsztatu wpadła niespodzianie burza, książka zadrżała w ręku Romana. Zamigotały światła, zakolysały się lampy, i wpierv, nim chłopcy zrozumieli, co się stało, ogromny mężczyzna, zrzuciwszy futro na ziemię, zaczął ściśniętą pięścią bić Romana po twarzy i głowie. Chłopak chylił się od tych uderzeń z boku na bok, jak brzoza w podmuchach wiatru, wreszcie jęknął i potoczył się w kąt, chroniąc głowę wznie-sioną ręką.

— Złodzieje!... Łotry!... Darmozjady!... Moje, wszystko moje!... Wy też moi!... Placę wam... karmię was... odziewam!... Rodzice wasi po nogach mię całowali... A wy, szczeniaki nikezemne, okradacie mię!... Wasz psi obowiązek orać... od świtu do nocy orrrać!... Dam ja wam u-ni-wer-sy-te-ty... od-czy-ty!... Poszli won... na cztery wiatry!... Ja tracę, codzień tracę... A wy tu sobie orły... historye... króle... opowiadacie!... Powinienem kamienić mieć... A co ja mam?!... co mam?!... Psie krwie!... Szubienicznicy!... Zdrajcy!... Żandarmy!...

Bryzgał śliną, charczał, jak rozjuszona hyena, coraz ciszej, coraz wścieklej, aż zatknął się; nie przestawał wszakże walić nieszczęśliwego Romana, dopóki chłopak, jak urwana z wieszaka odzież, nie opadł na ziemię.

Wtedy wstrzymał się, odsapnął, spojrział groźnie na pobladłych terminatorów, powiesił futro na kołku i podszedł do puszki, gdzie uczniowie

składali zarobione w ciągu dnia pieniądze. Wytrząsnął je na stolik z rachunkowymi książkami, który tulił się w rogu izby i począł liczyć.

Terminatorzy stali bez ruchu, jak skamieniali. Jedynie Kaliszer w odległym kącie skrobał coś niemrawo.

— Cóż wy, psie krwie!... — zaryczał znowu, ale, spojrzawszy na posępne twarze chłopaków, dodał natychmiast spokojnym, nieledwie przyjacielskim tonem:

— Fajerant!...

SCLAVUS SALTANS

Wspomnienie z Syberyi

Rzecz napisana w roku jubileuszowym
Maryi Konopnickiej

Breza wracał do domu po całodziennej pracy na spiekocie. Znój i kurzawa zamieniły go w murzyna, któremu dziwny traf losu przylepił blond brodę i jasne wasy. Prowadził przed sobą na lej-cach parę koni wprzężonych do pługa. Okulary przekrzywiły mu się na nosie; czarny, filcowy kapelusz z obwisłymi od starości brzegami, zjechał na tył głowy. Opierając się mocno na zde-ptanych obcasach, Breza spuszczał się ostrożnie po pochyłości, ze świeżo pooranych zagonów ku swej samotnej chałupce, szarzejącej na dnie ko-tliny.

Zapadał wieczór. Już poczerniał las okala-jący dolinkę, już opar nocy białiał nad łąkami i émił odbłask zorzy na poblizkiem jeziorze, czar-nem od lasów odbicia. Gwiazdy migotały blade w wysokościach. A wkoło było tak cicho, że głu-chy tupot koni, rwących się niecierpliwie do od-poczynku i szmer ciągnionego przez nie pługa

wydawały się Brezie jedynymi dźwiękami, trącającymi o pomierzchlą pierś ziemi.

Brezę opadła nagle straszna tęsknota, jeden z tych gwałtownych wybuchów bólu, co wali od czasu do czasu wygnańców na łoże i zmusza ich tam do leżenia godzinami całymi bez ruchu. Pospiesznie wyprzągnął konie i uwiązał je u słupów, aby wypoczęły i obeschły z potu, zanim pójda na wilgotną trawę łąki. Od proga pies zabiegł mu drogę i zajrzał w oczy, ale rychło odszedł i czekał potulnie w oddali, czy go aby puszcza do chaty. Wiedział, że w takich chwilach pan jego nie lubi żadnych karesów. Breza wszedł do ciemnej izby i poczuł wielką ochotę do natychmiastowego leczenia wygnańczej przypadłości na łóżku, ale musiał przedtem ugotować coś dla psa, a z tej racji i dla siebie. Rozpalił więc na kominie ogień i przystawił doń garnek oraz imbryk. Poczem oparł czoło o róg stołu i przesiedział tak długo, bardzo długo, walcząc ze straszłą pustką, ssącą mu duszę, jak upiór. Ocuściło go głośnie ujadanie wiernego Sokoła. Wyszedł, wzięwszy na wszelki wypadek broń, gdyż nocne odwiedziny w tych stronach nie zawsze należą do pożądaných. Ktoś jechał ku niemu zamaszystym skroczem po leśnej drożyni. Wkrótce wyłonił się z ciemności jeździec.

— Poczta! Z gminy przysłali — rzekł po jakucku.

Podał Brezie pocztę i, nie zsiadając z konia, poprosił go o szczyptę tytoniu. Dostał ją od wygnańca, znikł równie szybko w nocnej pomroce, jak nagle się zeń wyłonił. Breza wpadł do izby, i zwitek niecierpliwie rozerwał. Było tam trochę gazet i tomik »Poezyi«. Jeszcze raz uważnie przejrzał numer za numerem, lecz listów nie znalazł. Czas jakiś patrzył nieruchomym wzrokiem w skaczące w kominie płomienie, poczem zaczął przebiegać od niechęcia zwykle pogardzane »poezye«. Czytanie jednak niepostrzeżenie pochłonęło go do tego stopnia, że dopiero wygaśnięcie ognia zmusiło go do oderwania oczu od książki. Wykipiały imbryk smętnie pykał w osypisku żarzących się węgli; nawpół opróżniony garnek warkotał gderliwie; pies widocznie zwątpił już o swej wieczery, gdyż zwinął się w kącie potulnie do snu; głodne konie rżały na dworze. Zanim Breza dopełnił swych obowiązków gospodarskich, noc ciemna jak loch, cicha jak śmierć, otuliła ziemię. Zapalił świecę i próbował dalej czytać, ale nie mógł: palące myśli, drogie, wdzięczne, dalekie obrazy, biły weń, jak wichry melodyjnemi strofami mowy ojczystej, porywały, szarpały za serce, unosiły w dal, w wyż, niby rozmachy potężnych skrzydeł.

Schwycił książkę, broń na ramię zarzucił i ruszył do podobnego sobie samotnika, który mieszkał o milę.

Już zdala dojrzał, że sąsiad też nie śpi — światelko w jego okienku migalo, jak zachodząca za skraj stepu, gwiazda. Gdy Breza zbliżył się do zagrody, usłyszał wewnątrz głosy. Towarzysz miał gości. To odrazu zepsuło humor Brezy. Nie wiedział, kogo zastanie u towarzysza. Ale był to trzeci, taki sam, jak i on samotnik-niewolnik, przygnany jak i Breza tęsknotą do towarzysza z innej i ze znacznie większej odległości. Zebrani przywitali Brezę radośnie, bez cienia zdziwienia, gdyż takie niespodziane nocne odwiedziny były rzeczą dość zwykłą pośród pustelników. Skorzystali jedynie z okazji jego przybycia, aby nastawić jeszcze raz samowar... Podczas, gdy się krzątali, Breza siedział zgarbiony na stolku i mrukliwie odpowiadał na krótkie pytania. Schowana w zanadrzu książka gniotła mu piersi, płonął pragnieniem odczytania im rzeczy, które go upoiły i zarazem wstydził się swego porywu przed tym trzecim, nieoczekiwanym gościem.

Poznali jednak coś po jego twarzy, gdyż gospodarz, którego wbrew wyszukanemu jego obejściu, przezywano »Dorożkarzem«, wyrzekł dobrotliwie:

— Co tam kryjesz? Widzę, że coś przyniosłeś... Syp! Syp!... Kolega Korneli też posłucha!...

Podsunął Brezie szklanę czarnej, jak atrament herbaty. »Kolega Korneli«, mężczyzna wysoki a taki tęgi, że wydawał się niskim, prawie

kwadratowym, podniósł na Brezę szafirowe oczy, ostro w ciemne brwi i rzęsy oprawne; następnie odgarnął z czoła bujne blond włosy i przysiadł na stolku.

— Słuchamy...

Chwilę Breza walczył z sobą, wreszcie z rozpaczliwą odwagą książkę z zanadru wyciągnął.

— To takie... śliczne... To takie... przedewszystkiem... przedewszystkiem... okropnie ładne... Wszystko ładne... Ale najpierw przeczytam wam jeden wiersz!...

— Owszem, owszem!...

Maro swych gości po uczcie prowadzi,
Gdzie zakupieni wczora niewolnicy
Na zgniłej słomie, wpólnadzy i bladzi,
Wypoczywają zamknięci w piwnicy.

— Doskonale! — zawołał Dorożkarz — wpólnadzy i bladzi! Doskonale! Co dalej?

Maro — to znawca! On swoje obole
Wie, na co wydać, krwi dobrej zna cenę:
Jak Amor każde u niego pachole,
A mąż — gladiator! choć dzisiaj w arenę!

— Hm! Co to, to wątpię! — mruknął Dorożkarz.

Ot, pierwszy: Numid, nabytek wspaniały:
Tors jakby z bronzu, a włos, jak lwie grzyw.

Rzut oka, zda się, przekuć można w strzały,
Nerwy drgające wyciągnąć w cięciwy!
Przepyszny towar!...

— To niby ty, Korneli! — wtrącił Dorożkarz.

— Cicho, Dorożkarzu, jeżeli raz się jeszcze
odezwiesz, zostaniesz zdegradowany na... konia! —
bronił się opryskliwie siłacz.

Gdy Maro go noga

Kopnął, wołając: »wstań bydlę!« — twarz dzika

Spłonęła jakąś ognistą pożogą

I ryknął wściekle: »nie budź niewolnika!«

Głos Brezy załamał się, ale co gorsza, przewracając kartkę zauważył, że i ręka mu drży niegodnie. Spojrzał lękliwie na towarzyszy. »Kolega Korneli« słuchał w surowym skupieniu, lecz Dorożkarz, korzystając z przerwy, westchnął bardzo cichutko i bardzo żałośnie:

— I to prawda! *Grato m'e' l' sonno e piu l'esser di sasso, neutre che'l danno...* Niech chrapie.

...Co za głos! — wstrząsła się podziemna cisza...

Lentulus w strachu zgubił wieniec róży...

Wiele bogowie!... Na brodę Jowisza,

Zda się, jak gdyby wołał: »nie budź burzy!«

»Kolega Korneli« wstał ostrożnie, odszedł w głąb izby i zaczął się przechadzać tam krokami stąpającego na palcach niedźwiedzia.

...Słysząc, jak kędyś powstaje bezładnie
Pomsta, co kiedyś nad światem zapadnie...
Warczącą przepaść zgrozy słysząc zdala...
Drżycie! to Romę niewolnik obala!

»Kolega Korneli« przystanął.

Breza nie mógł wytrzymać i zerknął nań ukradkiem. Pod wężowo zmarszczonymi brwiami »kolegi«, płonęły migotliwie dwa szafiry, jak dwie, wstrzymane w locie błyskawice. Na pobludłej twarzy Dorożkarza tulał się wymuszony uśmiech.

...Oto powstają wraz z kłatwy tej echem

Gromy straszego stuleciom wybuchu...

Goście pobledli, a Maro z uśmiechem

Rzekł: »Przez Herkula! wszak on na łańcuchu!...

— Słusznie... Bez obawy, *messieurs!*... — szepnął cichutko, jak przedtem, Dorożkarz.

...Lecz biesiadnicy cofali się żywo...

Maro ich tedy ku innej wiódł stronie,

Gdzie, jak łuk zgięty w pyszną linię krzywą,

Stał Grek młodzieńczy, ukrywszy twarz

[w dłonie.

I płakał. Biada, kto płacze w niewoli!

Łza, jak rdza, męską moc ducha przejada...

Kto w więzach słabnie, jest godzien swej doli...

Rozpaczającym niewolnikom — biada!

On rodzinnego nie ujrzy już nieba...

Lektor ciężko odetchnął i znów rzucił wzrok na towarzyszy. Dorożkarz już się nie śmiał — leżał

wyciągnięty na łożu z twarzą zwróconą ku górze i rękami założonemi pod głowę.

Ni na igrzysku nie chwyci w lot dzidy,

Rzuconej ręką gibkiego efeba...

Łańcuch rwą tylko lwy, albo Numidy:

Łzy — to zbyt wiele, i łzy — to zbyt mało!...

— Dość! — szepnął »kolega Korneli«, kładąc swą potężną dłoń na książce. Zdziwiony Breza spojrział mu w twarz przeciągle. Szeroko otwarte oczy młodzieńca płonęły teraz zupełnie inaczej: blask w nich rozlał się i zadymił posępnie, jak płomień pogrzebowej pochodni. Kiwnięciem głowy wskazał na Dorożkarza. Ten nie ruszał się, powieki miał przymknięte i w pierwszej chwili zgorzonnemu Brezie zdawało się, że słuchacz jego usnął, lecz wnet spostrzegł, że tak nie jest, że po delikatnych, poźłobionych cieniami policzkach towarzysza płynie coś okrągłego, lśniącego, jak szklane paciorki, że zaciśnięte kurczowo usta drgają mu porywczo, jak małemu dziecku... Odsunął książkę, czując, że i jemu coś przysłania i zwilża źrenice...

Czas jakiś milczeli, nie patrząc na siebie, aż Breza powstał nagle, wziął broń, książkę wcisnął napowrót w zanadrze i bez pożegnania wyniósł się za drzwi.

Switało.

Szare lasy, szara ziemia i szare mgły spletały

się razem w niewyraźne skręty. Poblądle niebo ledwie-ledwie poczynalo nasiąkać barwami młodego poranku. Dalekie jeziora świeciły mierzchliwie wśród sitowi. Siwa rosa dużemi perlami wisiała na okiściach traw, na gałązkach i liściach drzew, na nikłych kwiatach, na ciemnych igłach świerków i modrzewi. W puszczy odezwały się nieśmiało pierwsze ptaki...

Breza szedł zapatrzonny w cudny dlań widok budzącego się dnia i szeptał zdławionym głosem:

— Drżycie... To Romę niewolnik obala... Łzy to zbyt wiele... Łańcuch rwą tylko lwy, albo Numidy!...



72489